

Ksiegi krwi V

BARKER CLIVE



calibre 0.9.27

Clive Barker
Ksiegi krwi V

(Przełożyła: Beata Jankowska-Rosadzińska)

Każde ciało jest księgą krwi. Gdziekolwiek je otworzysz, jest czerwone.

ZAKAZANY

Jak doskonała tragedia, której struktura zagubiona jest w cierpieniu -- idealna geometria dzielnicy Spector Street była widoczna tylko z lotu ptaka. Spacerowanie jej mrocznymi, brudnymi uliczkami, z jednego betonowego placu do następnego pobudzało wyobraźnię. Na placu otoczonym murami rosły drzewa, zanim nie okaleczono ich i nie wyrwano z korzeniami, a wysoka trawa niewiele miała wspólnego ze zdrową zielenią. Bez wątplenia dzielnica była marzeniem architekta. Miejscy projektanci oplakiwali projekt zasiedlenia 36 osób na jednym hektarze, ale wychwalali miejsce przeznaczone na plac zabaw dla dzieci. Spector Street, a dokładniej mówiąc jej podwórza, cieszyły się wątpliwą reputacją, której w przyszłości miano zaradzić. Na razie projektanci porzucili ją na pastwę losu. Architekci zajmowali odbudowane domy Georgijczyków na drugim końcu miasta i prawdopodobnie nigdy nie postawili tu nogi.

Pewnie jednak nie byliby zawstydzeni odstrasającym wyglądem dzielnicy, nawet gdyby tu przyjechali. Ich dziecinne umysły były równie wspaniałe, jak jej precyzyjna geometria. To ludzie zniszczyli Spector Street. Nawet nie sprzeciwiali się temu oskarżeniu. Helen rzadko widywała centrum miasta tak zdewastowane. Porozbijane lampy i obdrapane ściany domów. Samochody, z których wymontowano koła i silniki, a resztę spalono, blokując wjazd do garaży. W jednym z podwórz dwa czy trzy dwupoziomowe mieszkania były całkowicie strawione przez ogień; w oknach i drzwiach sterczały osmolone deski i skorodowane żelastwo.

Jeszcze bardziej przerażające były graffiti, które specjalnie przyszła obejrzeć, zachęcona przez Archiego, i nie rozczarowała się. Trudno było uwierzyć patrząc na różnorodność kompozycji: nazwiska, niemoralne obrazki i doktryny religijne bazgrane sprayami na każdym dającym się wykorzystać murze. Spector Street istniało od trzech i pół roku. Ściany, niedawno dziewicze, teraz były tak zniszczone, że Miejski Departament Czystości stracił nadzieję, iż kiedykolwiek uda się przywrócić je do pierwotnego stanu. Warstwa bielidla pokrywająca tę wizualną kakofonię zachęcałaby tylko do bazgrania od nowa.

Helen była w siódmym niebie. Każdy kąt, w który spojrzała, oferował nowe materiały do jej rozprawy pt. „Graffiti wyrazem miejskiej rozpaczy”. Temat skupiał jej ulubione dyscypliny -- socjologię i estetykę -- i kiedy wędrowała przez tę szczególną dzielnicę, zaczęła zastanawiać się, czy ktoś nie napisał już o tym książki. Szła od podwórza do podwórza, kopiując większość interesujących bazgrołów i zapisując, gdzie je znalazła. Potem poszła do samochodu po aparat fotograficzny i wróciła w ciekawsze rejony.

Kiepsko jej szło. Nie była ekspertem-fotografem. Promienie październikowego słońca połyskiwały w kawałkach metalu i potłuczonego szkła, w załamaniach murów. Każdą ścianę fotografowała w różnych ujęciach, a było ich wiele. Przypomniła sobie, że jej obecne złe samopoczucie zostanie zrekompensowane, kiedy pokaże te materiały Trevorowi.

--Pisanie po ścianach? -- mówił uśmiechając się w ten irytujący, charakterystyczny dla niego sposób. -- Robili to ze sto razy.

Oczywiście, to była prawda. Sami nauczyli ich graffiti -- wypełnionych po brzegi socjologicznym żargonem: pozbawienie praw obywatelskich, wyrzutki społeczeństwa... Ale pochlebiała sobie, że właśnie ona może znaleźć między tymi bazgrołami coś, czego nie znaleźli poprzedni analitycy -- może jakieś jednoczące konwencje, których mogłaby użyć jako hasła

przewodniego swej rozprawy. Odpowiedni efekt może dać tylko sprawne skatalogowanie zebranych informacji i zdjęć, zanim je ujawni. Bardzo ważna jest także jakość zdjęć. Pracowało tu zbyt wiele rąk, zbyt wiele myśli zostało tu uwiecznionych -- chociaż, gdyby znalazła jakiś schemat, jakiś przeważający motyw, miałyby gwarancję, że rozprawa przyciągnie uwagę poważnych ludzi, a tym samym ona zostanie zauważona.

--Co robisz? -- zapytał ktoś stojący za jej plecami. Odwróciła się i zobaczyła młodą kobietę z wózkiem.

Stała na chodniku. Wyglądała na zmęczoną i zmarzniętą. Dziecko gaworzyło trzymając w rączce pomarańczowego lizaka.

Helen uśmiechnęła się do kobiety. Wydała jej się stęskniona serdeczności.

--Fotografuję ściany -- odpowiedziała.

--Masz na myśli te niemoralne brudy? -- zapytała kobieta.

Według oceny Helen mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat.

--Napisy i rysunki... -- powiedziała Helen, a po chwili dodała: -- Tak, niemoralne brudy.

--Jesteś z Rady Miejskiej?

--Nie, z uniwersytetu.

--To ohydne -- powiedziała kobieta spoglądając na ściany. -- To nie tylko dzieciaki.

--Nie?

--Dorośli mężczyźni. Także dorośli mężczyźni. Przekłęci. Rozejrzyj się, a zobaczysz ich wszędzie... -- Spojrzała na dziecko, które wyrzuciło lizaka na ziemię. -- Kerry? -- zawołała starszego chłopca, ale nie zwrócił na nią uwagi. -- Chcą to zamalować? -- zapytała.

--Nie wiem. Jestem z uniwersytetu -- przypomniała jej Helen.

--Ach! -- zdziwiła się, jakby usłyszała coś nowego. -- Więc nie masz nic wspólnego z Radą Miejską?

--Nie.

--Niektóre są niemoralne, po prostu wstrętne, prawda? Patrzenie na niektóre z tych bazgrołów wprawia mnie w zakłopotanie.

Helen przytaknęła, obserwując dzieci. Malec postanowił włożyć Kerry'emu lizaka do ucha.

--Nie rób tego! -- powiedziała do niego matka i lekko pacnęła dziecko po rączkach. To nie mogło zboleć, ale rozplakał się. Helen skorzystała z okazji i wróciła do pracy, ale kobieta uparcie dalej chciała rozmawiać: -- Nie tylko tutaj widać ich działalność -- stwierdziła.

--Słucham?

--Włamują się do pustych mieszkań. Rada Miejska próbowała temu zaradzić, ale niewiele zdziałali. Zawsze znajdą sposób, by dostać się do środka. Używają ich jako toalet i jeszcze więcej świństw wypisują na ścianach. Podpalają samochody i mieszkania. Nikt nie czuje się tu bezpieczny.

Jej słowa zaciekały Helen. Czy graffiti na wewnętrznych ścianach różniły się od tych z miejsc publicznych? Tamte z pewnością byłyby cenniejszym odkryciem.

--Znasz takie miejsca w tej okolicy?

--Chodzi ci o puste mieszkania?

--Z grafitti.

--W sąsiedztwie jest takie jedno czy nawet dwa -- powiedziała. -- Mieszkam przy Placu Buttsa.

--Mogłabyś mi je pokazać? -- poprosiła. Kobieta wzdrygnęła się. -- Przy okazji, nazywam się Helen Buchanem.

--Anne-Marie -- przedstawiła się.

--Byłabym wdzięczna, gdybyś mogła zaprowadzić mnie do jednego z nich.

Anne-Marie była zakłopotana entuzjazmem Helen, nie mogła jej zrozumieć i tylko otrząsnęła się z niesmakiem.

--Nie ma tam nic więcej prócz tego, co tu widzisz.

Helen zebrała swój sprzęt i poszły uliczkami łączącymi place. Wszystkie były otoczone pięciopiętrowymi, betonowymi budynkami, co w efekcie wywoływało okropną klaustrofobię. Wąskie uliczki i schody, ciemne zakamarki i nie oświetlone tunele były wymarzone dla złodziei. Sterty śmieci, wyrzucanych z okien na wyższych piętrach, musiały być siedliskiem szczurów i powodem wielu pożarów. Wszędzie było ich pełno -- nawet na klatkach schodowych. Odór, nawet w chłodny dzień, był nie do zniesienia, a co dopiero latem.

--Mieszkam po drugiej stronie -- powiedziała Anne-Marie, kiedy dotarły na miejsce. -- Tam, gdzie te żółte drzwi. A po tej stronie znajdziesz piąte albo szóste mieszkanie od końca. Oba są puste już od kilku tygodni. Jedna z rodzin przeprowadziła się na Plac Ruskina.

Odwróciła się plecami do Helen i zajęła dzieckiem.

--Dziękuję -- powiedziała Helen.

Anne-Marie spojrzała na nią przez ramię, ale nie odpowiedziała. Helen poszła we wskazanym kierunku. Firanki we wszystkich oknach były gęste i zaciągnięte tak dokładnie, że nic nie było przez nie widać. Przed drzwiami mieszkań nie było butelek na mleko ani porzuconych zabawek, którymi bawiły się dzieci. Nic, ani śladu życia. Na drzwiach okupowanych mieszkań było więcej szokujących graffiti. Obejrzała tylko tę na korytarzu, częściowo dlatego, że bała się otworzyć któreś drzwi i znaleźć coś naprawdę obrzydliwego, ale w końcu ciekawość zwyciężyła.

Na progu mieszkania numer 14 w jej nozdrza uderzył odór odchodów, farby i palonego plastyku. Wahala się dobrych dziesięć sekund, zastanawiając się, czy warto zajrzeć do środka. Bezspornie, dzielnica była dla niej obcym terytorium, zamkniętym we własnej nędzy, ale pokoje, do których weszła, przeszły jej najśmielsze oczekiwania -- ledwie mogła przebić wzrokiem zastraszającą ciemność tego labiryntu. Kiedy zaczynała tracić odwagę, pomyślała o Trevorze i o tym, jak bardzo chce uciszyć jego wątpliwości. Weszła do środka, rozmyślnie kopiąc walające się wszędzie deski -- z nadzieją, że nie spotka tam dzikiego lokatora.

Upewniwszy się, że z mieszkania nie dochodzi żaden dźwięk, weszła do pierwszego pokoju. Sądząc po stojącej w kącie zniszczonej sofie i podartym dywanie -- był to pokój dzienny. Jasnozielone ściany, jak obiecała Anne-Marie, pokryte były bazgrołami, których większość była miniaturowym pierwowzorem tych z miejsc publicznych, malowanych sprayami w sześciu kolorach.

Niektóre komentarze były interesujące, choć znała je już ze ścian na zewnątrz. Powtarzały się znajome imiona i pogróżki. Choć nigdy nie widziała tych ludzi -- wiedziała, jak bardzo Fabian J. chciał pozbawić dziewczęstwa Michelle, a Michelle miała chrapkę na kogoś nazywanego Mr Sheen. Mężczyzna nazywany Białym Szczurem chwalił się swoim interesem, a obietnica powrotu Okrutnych Braci wypisana była czerwoną farbą. Znalazła też jeden czy dwa rysunki, których podpisy były szczególnie interesujące, jakby natchnione. Obok imienia

Chrystusa namalowano chudego mężczyznę z włosami sterczącymi wokół jego głowy jak promienie, na których nadziane były inne głowy. Tuż obok w bardzo brutalny, odrażający sposób przedstawiono stosunek. W pierwszej chwili rysunek skojarzył się jej z nożem wbijanym w oko. Pokój był ciemny i Helen żałowała, że nie zabrała lampy błyskowej. Jeśli chciała udokumentować swoje odkrycie, musiała wrócić tu.

Mieszkanie nie należało do dużych i miało małe okna. Odór odchodów był odrażający. Czulo się go wszędzie. Wycofała się z pokoju dziennego i krótkim korytarzykiem przeszła do następnego pomieszczenia, najbardziej oddalonego od drzwi. Tutaj było jeszcze ciemniej i musiała odczekać, aż jej oczy przywykną do mroku, by mogła cokolwiek zobaczyć. Domyśliła się, że to sypialnia, choć meble roztrzaskane były na drzazgi. Tylko materac został prawie nietknięty, rzucony w kąt i przykryty nędznymi, poszarpanymi kocami. Na podłodze wały się gazety i potłuczone naczynia.

Na zewnątrz świeciło słońce, ale niewiele światła przedostawało się do pokoju, w którym graffiti okazały się jeszcze ciekawsze -- od listów miłosnych do pogróżek. W pośpiechu oglądała ściany, aż jej uwagę przykuł obraz na ścianie, w której były drzwi.

Artyści nie skończyli go jeszcze. Wyglądało na to, że celowo wybrali ścianę z drzwiami, które wykorzystali jako usta namalowanej sprayami wielkiej twarzy. Było to wymyślniejsze graffiti niż te, które dotąd widziała. Zawierało więcej detali zapożyczonych z wyobraźni. Kości policzkowe wystające przez skórę, zęby wbijające się w drzwi. Z powodu niskiego sufitu oczy znajdowały się zaledwie kilka cali nad górną wargą, ale ta fizyczna niezgodność sprawiała, że obraz wywierał silniejsze wrażenie. Gmatwanina poskręcanych włosów pokrywała cały sufit.

Czy to portret? Było coś specyficznego w linii brwi i zmarszczkach wokół szerokich ust. Pewnie pochodził z nocnego koszmaru albo może z transu narkotycznego. Jakikolwiek było jego źródło, było płodne. Choćby pomysł wykorzystania drzwi jako ust. W miejscu, gdzie powinna znajdować się szyja, był brzuch. Cała postać przywodziła na myśl okaleczonego bezwstydного upiora. Robił wrażenie. Stała na środku sypialni oszołomiona obrazem, z którego, z bezlitosnym uporem, patrzyły na nią przekrwione oczy. Postanowiła wrócić tu jutro z lampą błyskową i filmem o większej czułości.

Kiedy zbierała się już do wyjścia, przez okno wpadły promienie słońca. Obejrzała się przez ramię i dopiero teraz zauważyła na przeciwległej ścianie wypisany sprayem slogan.

„Słodczyce dla Cukiereczka!” -- przeczytała. Poznała już różne cytaty, ale nie знаła ich źródeł. Czy był to rodzaj wyznania miłosnego? Jeśli tak, to umieszczono je w dziwnym miejscu. Mimo materaca w kącie i względnej izolacji tego pokoju, nie mogła wyobrazić sobie autora tego napisu, stojącego tutaj i wręczającego bukiet swej wybrance. Żadni młodociani kochankowie, jakkolwiek zaangażowani, nie leżeliby tutaj bawiąc się w mamę i tatę. Nie pod tą ścianą, będącą wyrazem terroru. Przebiegła wzrokiem po pozostałych napisach. Przeważały odcienie różu. Nawet usta i dłonie przerażającej postaci były różowe.

Usłyszała za sobą hałas. Odwróciła się tak gwałtownie, że straciła równowagę i omal nie upadła na materac.

--Kto tam?...

Do pokoju wszedł chłopiec. Mógł mieć sześć -- siedem lat. Spojrzał na Helen błyszczącymi oczyma, jakby czekał, aż dojdzie do siebie.

--Tak? -- odezwała się.

--Anne-Marie pyta, czy chcesz herbaty -- wyrecytował jednym tchem.

Rozmowa z tą kobietą należała już do przeszłości, ale Helen była jej wdzięczna za zaproszenie. Zdążyła już zmarznąć.

--Tak... -- powiedziała do chłopca. -- Chętnie. Dziecko nie poruszyło się, wciąż w nią wpatrzone.

--Pokażesz mi drogę? -- zapytała.

--Jeśli chcesz -- odpowiedział bez entuzjazmu.

--Tak, chcę.

--Fotografujesz? -- zapytał.

--Tak, ale nie tutaj.

--Dlaczego?

--Jest za ciemno -- wyjaśniła.

--A nie można po ciemku? -- chciał wiedzieć. -- Nie.

Chłopiec ze zrozumieniem pokiwał głową, jakby odpowiedź zgadzała się z jego wiedzą na ten temat, odwrócił się bez słowa i Helen sama musiała domyślić się, że ma iść za nim.

Kiedy weszli, Anne-Marie była w kuchni. Wykonywała kilka czynności naraz, jak żongler. Helen patrzyła na nią z podziwem. Jej umiejętności, jeśli chodzi o prace domowe, były wprost żalotne. W końcu rozmowa zeszła na interesujący ją temat.

--Po co fotografujesz te ściany? -- zapytała Anne-Marie.

--Piszę pracę o graffiti i muszę mieć trochę ilustracji.

--Ale one nie są ładne.

--Nie, masz rację. Ale myślę, że są interesujące. Anne-Marie potrząsnęła głową.

--Nienawidzę całej tej dzielnicy -- powiedziała. -- Tutaj nie ma bezpiecznego schronienia. Ludzie są okradani na własnych klatkach schodowych. Dzieciaki co chwilę podpalają śmieci. Zeszłego lata straż pożarna musiała przyjeżdżać dwa albo trzy razy dziennie. Śmieci walają się wszędzie i pełno tu szczurów. To nie do zniesienia.

--Mieszkasz sama?

--Tak, odkąd Davey odszedł.

--To twój mąż?

--Ojciec Kerry'ego, ale nigdy nie byliśmy małżeństwem. Mieszkaliśmy razem przez dwa lata, wiesz. Dobrze nam było ze sobą. Ale kiedy byłam z Kerrym w ciąży, jednego dnia spakował się i odszedł. Może nawet lepiej, że tak się stało -- powiedziała. -- Ale czasami boję się mieszkać tu sama. Chcesz jeszcze herbaty?

--Nie mam zbyt wiele czasu.

--Tylko jeszcze jedną filiżankę -- nalegała Anne-Marie. Kiedy odwracała się, by sięgnąć po czajnik, zauważyła coś przy zlewozmywaku i rozduśla kciukiem. -- A masz, ty pluskwo -- mruknęła. -- Mamy tu też czerwone mrówki -- wyjaśniła głośno.

--Mrówki?

--Cała dzielnica jest skażona. To insekty z Egiptu -- nazywają je mrówkami faraona. Małe, brunatne robale. Dostają się do mieszkań przez otwory wentylacyjne. Istna plaga.

Mrówki z Egiptu? Chciało jej się śmiać, ale nie odezwała się. Anne-Marie wyjrzała przez okno na tylne podwórze.

--Powinnaś im powiedzieć... -- powiedziała, choć Helen nie bardzo wiedziała komu --

powiedz im, że zwykli ludzie nie mogą nawet przejść ulicą...

--Naprawdę jest aż tak źle? -- zapytała z niedowierzaniem.

Kobieta spojrzała jej w oczy.

--Tutaj wielu ludzi pada ofiarą morderstwa -- powiedziała poważnie.

--Naprawdę?

--Tego lata było jedno -- starszy człowiek z Ruskin. To niedaleko stąd. Nie znalazłam go, ale był przyjacielem siostry mojej sąsiadki. Nie pamiętam, jak się nazywał.

--I został zamordowany?

--Poćwiartowali go w jego własnym pokoju. Leżał tam prawie tydzień.

--A co z jego sąsiadami? Nie zauważyli, że zniknął?

Anne-Marie wzruszyła ramionami, jakby obecność sąsiadów nie miała najmniejszego znaczenia.

--To straszne -- powiedziała Helen.

--Ale stało się. -- Kobieta mówiła, siedząc bez ruchu. -- Miał wydłubane oczy.

Helen drgnęła.

--Nie -- szepnęła wstrzymując oddech.

--To prawda. Ale to jeszcze nie wszystko, co mu zrobili. -- Przerwała na moment, by dalszy ciąg zabrzmiał efektownie. -- Domyślasz się, jakiego rodzaju człowiek jest w stanie zrobić coś takiego?

Helen skinęła głową.

--Czy pociągnięto go do odpowiedzialności? -- zapytała.

Anne-Marie parsknęła kpiącym śmiechem.

--Policji nie obchodzi, co się tu dzieje. O ile to możliwe, omijają tę dzielnicę. Kiedy już przyjadą na patrol, ograniczają się do wylapywania pijanych dzieciaków. Po prostu boją się. Wolą mieć czyste ręce.

--Nie ścigają mordercy?

--Wątpię.

A po chwili dodała: -- On miał hak.

--Hak?

--Mężczyzna, który to zrobił, miał hak, jak Jednoręki Jack.

Helen nie była ekspertem, jeśli chodzi o morderstwa, ale była pewna, że Jednoręki nie używał swego haka do takich celów. Opowiadanie Anne-Marie zakrawało na fantazje, choć brzmiało dość makabrycznie -- wydłubane oczy, hak, poszatkwane ciało. Najskrupulatniejsi reporterzy z pewnością nie przegapiliby takiego zdarzenia.

Kobieta chciała dolać jej herbaty.

--Nie, dziękuję -- powiedziała Helen. -- Naprawdę muszę już iść.

--Jesteś mężatką? -- zapytała Anne-Marie.

--Tak. Jest wykładowcą na uniwersytecie.

--Jak ma na imię? -- Trevor.

Anne-Marie nalala sobie herbaty, wsypała dwie łyżeczki cukru i zamieszała.

--Wrócisz tu jeszcze? -- zapytała.

--Tak, mam nadzieję. Pod koniec tygodnia. Chcę zrobić kilka zdjęć graffiti w mieszkaniu, które mi wskazałaś.

--Odwiedź mnie.

--Chętnie. I dziękuję za pomoc.

--Nie ma sprawy -- odpowiedziała Anne-Marie. -- Ale nie mów nikomu, dobrze?

--Prawdopodobnie mężczyzna miał hak zamiast ręki.

Trevor spojrział na nią nieprzytomnie.

--Słucham?

Helen opowiedziała mu całą historię, starając się nie koloryzować jej. Interesowało ją, co Trevor myśli o tym, a wiedziała, że jeśli pierwsza wyrazi opinię, to on instynktownie będzie próbował podważyć wiarygodność tej krwawej sceny.

--Miał hak -- powtórzyła.

Trevor odłożył widelec i pociągnął nosem.

--Nie czytałem nic na ten temat.

--Nie czytasz lokalnej prasy. Zresztą, żadne z nas. Międzynarodowe chyba nigdy nie zajmowały się tego typu sprawami.

--„Starzec zamordowany przez hako-rękiego maniaka” -- zastanawiał się. -- Taki tytuł musiałbym zauważyć. Kiedy mogło się to zdarzyć?

--Minionego lata. Chyba akurat byliśmy w Irlandii.

--Może -- przyznał i zabrał się do jedzenia.

--Dlaczego powiedziałaś „może”? -- nie dawała za wygraną.

--Bo nie jestem pewny -- wyjaśnił. -- A poza tym, to opowiadanie brzmi absurdalnie.

--Nie wierzysz, że to się stało?

Trevor spojrział na nią, oblizując z kącika ust resztki sosu. Jego twarz wyrażała cierpliwość -- bez wątplenia, tak samo wyglądała, gdy słuchał swoich studentów.

--A ty wierzysz? -- zapytał. To był jego ulubiony chwyt -- odpowiadanie pytaniem na pytanie -- by zbić kogoś z tropu.

--Nie jestem pewna -- odpowiedziała, uparcie szukając stałego gruntu w morzu wątpliwości.

--Dobrze, zapomnijmy o tym... -- powiedział sięgając po szklankę z czerwonym winem. -- A ta kobieta? Uwierzyłaś jej?

--Tak. -- Wyobrazila sobie Anne-Marie, zanim usłyszała tę przerażającą historię. -- Tak, myślę, że wiedziałabym, gdyby kłamała.

--Więc dlaczego pytasz mnie o zdanie? Czy to jest ważne, do cholery, czy ona kłamała, czy nie?

Dobre pytanie. Dlaczego to jest takie ważne? Może chciała mieć własne zdanie o Spector Street, a nie sugerować się plotkami? Dzielnica, rzeczywiście, była brudna, beznadziejna, zaśmiecona. Tuszowano nieporządek i jej niekorzystne położenie, bo było to zbyt banalne, a ona akceptowała to jako nieprzyjemną rzeczywistość. Ale historia zamordowanego staruszka i innych okaleczeń była czymś więcej niż plotką. Na samo wspomnienie o tej strasznej śmierci paraliżowało ją przerażenie.

Zdała sobie sprawę, że uczucia ma wymalowane na twarzy i że patrzący na nią Trevor nie jest nimi zachwycony.

--Jeśli tak bardzo cię to martwi, to dlaczego nie wrócisz tam i nie popytasz ludzi, zamiast zastanawiać się przy obiedzie: uwierzyć czy nie uwierzyć?

Musiała coś odpowiedzieć.

--Myślałam, że lubisz takie łamigłówki. Rzucił jej ponure spojrzenie.

--Znowu błąd.

Przeprowadzenie śledztwa nie było złym pomysłem, choć niewątpliwie miał swoje powody, by to zaproponować. Z dnia na dzień patrzyła na Trevora mniej litościwie. Kiedyś uważała go za poważnego, odpowiedzialnego człowieka, ale teraz wiedziała, że tylko takiego zgrywał. Namawiał ją nie z powodu dreszczyku grozy, wywołanego makabrycznym opowiadaniem -- był patologicznie konkurencyjny. Patrzyła na niego, podejmowała wyzwania i wiedziała, że nie pomoże jej, nawet jeśli dojdzie do przelewu krwi. Dlaczego zawsze ją w to pakuje, dlaczego sam się tym nie zajmie? Akademia była jedną z ostatnich fortec zawodowego tracenia czasu, a ich otoczenie zdominowane przez wychowanych głupców, zagubionych na straconym łądzie przestarzałej retoryki i nieodpowiedzialności.

Z jednego straconego łądu na drugi. Następnego dnia wróciła do Spector Street z lampą błyskową i filmem o wysokiej czułości. Zerwał się silny, arktyczny wiatr, wyczuwalny nawet w wąskich uliczkach i na otoczonych murami placach. Poszła wprost pod numer 14 i ponad godzinę spędziła na fotografowaniu ścian sypialni i pokoju dziennego. Myślała, że od wczoraj prace nad wielką graffiti w sypialni posunęły się dalej, ale nie. Chociaż starała się, jak mogła -- wiedziała, że fragmentaryczne ujęcie wszystkich szczegółów będzie tylko marnym echem wspaniałej graffiti.

Oczywiście, by odebrać właściwy efekt, trzeba będzie oglądać ją w całości. Umieszczenie jej w tym szarym, okropnym miejscu było niewybaczalnym błędem. To tak, jakby szukała ikony w zsywie na śmieci -- połyskującego symbolu wywyższenia ze świata ciężkiej pracy i rozkładu. Tkwiała w bolesnym przeświadczeniu, że intensywność jej reakcji prawdopodobnie przewyższy jej zdolności krasomówcze. Jej słownictwo było analityczne, pełne potocznych zwrotów i akademickiej terminologii, ale teraz okazało się zbyt ubogie. Miała nadzieję, że fotografie będą wystarczająco czytelne, by można było zauważyć przynajmniej siłę wyrazu graffiti, nawet jeśli nie rzuci na nikogo uroku.

Kiedy wyszła na dwór, wiatr był jeszcze silniejszy, ale chłopiec -- ten sam, który wczoraj zaprowadził ją do Anne-Marie -- czekał wytrwale, ubrany jak na wiosenną pogodę. Na jej widok uśmiechnął się.

--Cześć! -- powiedziała Helen.

--Czekałem -- oznajmił.

--Czekałeś?

--Anne-Marie powiedziała, że wrócisz.

--Ale planowałam przyjść dopiero pod koniec tygodnia -- powiedziała. -- Mogłeś bardzo długo czekać.

Chłopiec zmarszczył nos w uśmiechu.

--W porządku -- powiedział. -- I tak nie mam nic do roboty.

--A szkoła?

--Nie lubię szkoły -- oznajmił, jakby nie musiał się uczyć, jeśli mu to nie odpowiada.

--Rozumiem -- odpowiedziała Helen i ruszyła w kierunku domu Anne-Marie. Chłopiec podążył za nią. Na środku placu był mały trawnik z kilkoma krzesłami i wyschniętymi drzewkami ułożonymi w stos.

--Co to jest? -- mruknęła do siebie.

--Noc Ogniska[1] -- poinformował malec. -- W przyszłym tygodniu.-Oczywiście.

--Idziesz odwiedzić Anne-Marie? -- zapytał.

--Tak.

--Nie ma jej w domu.

--Jesteś pewien?

--Tak.

--No, to może ty mi powiesz... -- Zatrzymała się i spojrzała na niego. Patrzył na nią wyczekująco, a jego oczy błyszczały dumą. -- Słyszałam o staruszkę, którego zamordowano tu w pobliżu. To było latem. Wiesz coś o tym?

--Nie.

--Nic? Nie pamiętasz, kto go zabił?

--Nie -- powiedział ponownie i dodał, by zakończyć rozmowę. -- Nie pamiętam.

--Tak czy inaczej, dziękuję.

Tym razem, kiedy zawróciła do samochodu, chłopiec nie poszedł za nią. Skręciła w boczną uliczkę i obejrzała się -- stał w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła, i patrzył za nią, jakby była wariatką.

Dotarła do samochodu i schowała sprzęt fotograficzny do bagażnika, gdy zaczął padać deszcz. Najchętniej zapomniałaby, że w ogóle słyszała o czymkolwiek, i wróciła do domu, gdzie była ciepła kawa, nawet jeśli nikt na nią nie czekał. Potrzebowała jednak odpowiedzi na pytanie Trevora: „A ty wierzysz?” Wtedy nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, i teraz też. Może terminologia określająca prawdę była tutaj bogatsza. Może ostateczna odpowiedź na jego pytanie wcale nie była odpowiedzią, lecz kolejnym pytaniem. Jeśli tak, to musiała je znaleźć.

Plac Ruskina była równie opuszczony, jak sąsiednie, jeśli nie bardziej. Nie było na nim nawet stosu na ognisko. Na trzecim piętrze, na balkonie, jakaś kobieta zbierała pranie, by nie zmokło. Na trawniku, pośrodku placu, gonili się dwa psy, beztrudnie merdając ogonami. Kiedy szła pustym chodnikiem, na jej twarzy malował się wyraz zdecydowania. Odważne spojrzenie, jak powiedziała raz Bernadette, powstrzymujące atak. Ujrawszy dwie kobiety rozmawiające na drugim końcu placu, szybko podążyła w ich kierunku.

--Przepraszam -- powiedziała uprzejmie.

Kobiety, obie w średnim wieku, spojrzały na nią zaskoczone.

--Czy mogłyby mi panie pomóc?

Wyczuła ich nieufność. W końcu jedna z nich zapytała wprost:

--Czego chcesz?

Helen nagle straciła całą pewność siebie. Jakby tu je podejść, by uzyskać odpowiedź nie wyjawiając powodu zainteresowania?

--Mówiono mi... -- zaczęła niepewnie --...mówiono mi, że gdzieś tu w pobliżu miało miejsce morderstwo. Czy to prawda?

Kobieta uniosła brwi.

--Morderstwo?

--Jesteś z prasy? -- zapytała druga. Wyglądała starzej. Wokół ust miała zmarszczki, a brunatne włosy przyprószone były siwizną.

--Nie, nie jestem z prasy -- powiedziała Helen. -- Jestem przyjaciółką Anne-Marie z Placu

Buttsa. -- Określenie „przyjaciółka” mijalo się z prawdą, ale najwyraźniej uspokoilo kobiety.

--Przyjechałaś w odwiedziny?

--Można to i tak nazwać...

--Masz inną wymowę...

--Anne-Marie mówiła mi o kimś, kto latem został tutaj zamordowany. Zaciekawilo mnie to.

--Naprawdę?

--Wiecie coś o tym?

--Tutaj dzieje się wiele rzeczy -- oznajmila jedna z kobiet. -- Nawet połowy jeszcze nie słyszałaś.

--A więc to prawda...

--Musieli zamknąć toalety -- wtręciła druga.

--To prawda -- przytaknęła pierwsza.

--Toalety? -- zdziwila się Helen. -- Co to ma wspólnego ze śmiercią tego staruszka?

--To było przerażające. Josie, czy to twój Frank mówił ci o tym?

--Nie, nie Frank -- odpowiedziała Josie. -- On był wtedy nad morzem. To była pani Tyzack.

Ustaliły fakty i Josie, spoglądając na Helen, opowiedziała całą historię od początku. Wciąż jednak była podejrzliwa.

--Właściwie to był już koniec lata -- mówiła. -- Koniec sierpnia, prawda? -- spojrzala na przyjaciółkę. -- Ty masz głowę do dat, Maureen.

--Nie pamiętam -- powiedziała niezadowolona. Było jasne, że nie chce mieć z tym nic wspólnego.

--Chciałabym wiedzieć... -- wtręciła Helen, ale Josie nie dopuściła jej do głosu: -- Przy sklepach były toalety. Wiesz, takie publiczne. Nie jestem pewna, jak to dokładnie było, ale kręcił się tu chłopak... No, właściwie nie był już chłopcem, miał dwadzieścia lat albo i więcej, ale był... -- szukała odpowiedniego słowa -- niedorozwinięty umysłowo. Matka musiała się nim zajmować, jakby miał cztery latka. W każdym razie pozwoliła mu pójść do toalety, podczas gdy sama poszła do supermarketu, jak on się nazywał? -- spojrzala na Maureen, ale ta odwróciła głowę... jakby w ogóle nie słuchała, więc Josie mówiła dalej: -- To było w biały dzień, w południe. A więc chłopak poszedł to toalety, a matka do sklepu. Potem, wiesz, jak to jest, zajęła się zakupami i zapomniała o nim, a kiedy przypomniała sobie, że nie ma go już dość długo...

W tym momencie Maureen nie wytrzymała i wtręciła się:

--Pokłóciła się ze sprzedawcą, bo sprzedał jej nieświeży bekon. Oto dlaczego straciła tyle czasu...

--Rozumiem -- powiedziała Helen.

--Tak czy inaczej -- kontynuowała opowieść Josie -- skończyła zakupy i kiedy wyszła przed sklep, jego nadal tam nie było...

--Więc poprosiła kogoś z personelu sklepowego -- zaczęła Maureen, ale Josie nie pozwoliła jej dokończyć. -- Poprosiła jakiegoś mężczyznę ze sklepu, by poszedł do toalety i poszukał go.

--To było straszne -- wtręciła Maureen.

--Leżał na podłodze w kałuży krwi.

--Zamordowany? Josie skinęła głową.

--Dla niego lepiej, że umarł. Zaatakowano go brzytwą... -- przerwała na moment. -- Odcięli mu intymne części ciała, a potem wrzucili do muszli klozetowej i spuścili wodę. Nie mieli

żadnego powodu, by mu to zrobić.

--O mój Boże!

--Lepiej, że umarł -- powtórzyła Josie. -- To znaczy... i tak nie mogliby mu pomóc, prawda?

Przerażająca historia w rzeczywistości musiała wyglądać gorzej, niż kiedy ktoś ją opowiadał, choćby stwierdzenie: „Lepiej, że umarł”.

--A chłopiec -- zapytała Helen -- nie był w stanie opisać napastników?

--Nie -- odpowiedziała Josie -- był niedorozwinięty umysłowo. Nie potrafił sklecić razem więcej niż dwa słowa.

--I nikt nie widział ich wchodzących do toalety? Albo wychodzących?

--Ludzie przez cały czas wchodzi tam i wychodzą... -- powiedziała Maureen, ale takie wyjaśnienie sprawy nie zadowoliło Helen. W tej dzielnicy nie ma na ulicach aż takiego ruchu. Może w okolicach sklepów kręci się więcej ludzi -- zastanawiała się -- ale ktoś musiał coś zauważyć.

--Więc nie znaleźli przestępców? -- zapytała.

--Nie. -- Oczy Josie straciły blask zapалу. Dla niej najistotniejszą rzeczą była zbrodnia i jej konsekwencje. Niewiele obchodzili ją sprawcy czy pojmanie ich.

--Nawet we własnych łózkach nie jesteśmy bezpieczni -- stwierdziła Maureen. -- Zapytaj kogokolwiek.

--Anne-Marie mówiła to samo -- przyznała Helen. -- Opowiedziała mi o tym staruszku, który został zamordowany latem, gdzieś w okolicy Placu Ruskina.

--Coś sobie przypominam -- powiedziała Josie. -- Stary człowiek i jego pies. Pobili go na śmierć, psa też wykończyli... Nie wiem. To z pewnością nie było tutaj. To musiało być w jednej z sąsiednich dzielnic.

--Jest pani pewna?

Kobieta patrzyła na nią szukając w pamięci.

--Tak -- powiedziała w końcu. -- To znaczy, gdyby to zdarzyło się tutaj, znałybyśmy tę historię, prawda Maureen?

Helen podziękowała im za pomoc i postanowiła rozejrzeć się po placu w poszukiwaniu innych pustych mieszkań, których, jak przypuszczała, powinno być wiele. Podobnie jak na Placu Buttsa, większość okien była dokładnie pozasłaniana, a wszystkie drzwi zamknięte na klucz. Ale jeśli w Spector Street naprawdę grasował mianak zdolny mordować w tak okrutny sposób, to nie była zaskoczona, że spokojni mieszkańcy siedzieli w domach, pozamykani na cztery spusty. Poza tym nie znalazła nic ciekawego. Okna i drzwi wszystkich pustych mieszkań dokładnie pozabijano deskami. Jednak jeden szczegół przyciągnął jej uwagę -- na chodniku, na wpół zmyty przez deszcz, widniał ten sam napis, który widziała w sypialni pod numerem 14: „Słodczyce dla Cukiereczka”. Słowa brzmiały tak życzliwie. Dlaczego więc wyczuwała w nich groźbę? Może właśnie zbyt życzliwie, zbyt słodko?

Szła przed siebie w strugach deszczu, aż dotarła do miejsca, do którego wcale nie zmierzała. Było to, chyba jedyne w tej dzielnicy, normalne miejsce. Znajdował się tam plac zabaw dla dzieci, ogrodzony płotem wybieg dla psów i basen, co prawda pusty, ale był. Zauważyła też sklepy. Niektóre były nawet otwarte, ale niezbyt atrakcyjne -- brudne i z kratami w oknach.

Mijała je z niesmakiem. Na narożniku ujrzała ceglasty budynek. Mimo że zlikwidowano

tablice informacyjne -- domyśliła się, że to publiczne toalety. Żelazne bramy pozamykane były na klódki. Stojąc przed tym budynkiem nie mogła pozbyć się myśli o tym, co się w nim wydarzyło. Na samo wspomnienie dostawała mdłości. W końcu udało jej się skupić uwagę na zbrodniarzu. Zastanawiała się, jak mógł wyglądać człowiek zdolny do takiego okrucieństwa. Próbowala wyobrazić go sobie, ale nie była w stanie. Potwory rzadko pokazują się w świetle dnia. Ten człowiek pobudzał wyobraźnię tak długo, jak długo znany był tylko ze swych czynów, ale wiedziała, że obraz stworzony przez ludzi ogarniętych grozą byłby gorzkim rozczarowaniem. On nie był potworem -- musiał wyglądać jak każdy, ale jego krwiożercze potrzeby okazały się silniejsze niż strach.

Wiatr wzmagał się i padało coraz mocniej. Stwierdziła, że wystarczy przygód, jak na jeden dzień. Odwróciła się i pobieгла do samochodu -- tą samą drogą, którą tu przyszła. Strugi lodowatego deszczu siekły jej twarz.

Zaproszeni na obiad goście z uwagą wysłuchali jej opowiadania, ale Trevor, sądząc po wyrazie jego twarzy, był zły. A jednak stało się -- zaczęła opowiadać i musiała skończyć. Gdy zamilkła, zapadła żenująca cisza, którą po chwili przerwała Bernadette, asystentka Trevora na wydziale historii.

--Kiedy to było? -- zapytała.

--Latem -- odpowiedziała Helen.

--Nie przypominam sobie, że bym o tym czytał -- odezwał się Archie, który wypił już trochę za dużo i płał mu się język.

--Może policja nie podała tego do wiadomości -- zastanawiał się Daniel.

--Konspiracja? -- zapytał Trevor cynicznie.

--To się często zdarza -- bronił się Daniel.

--Dlaczego mieliby nie podawać tego do wiadomości? -- zdziwiła się Helen. -- To bez sensu.

--Zapominasz, że mogło to mieć znaczenie dla policji, która musi postępować według określonej procedury... -- tłumaczył jej Daniel.

Bernadette ucięła jego wywód, zanim Helen zdążyła otworzyć usta.

--Przecież my nawet nie wysilamy się, by przeczytać tego rodzaju notatki -- powiedziała.

--Mów za siebie -- wtrącił ktoś, ale zignorowała go.

--Jesteśmy kompletnie znieczuleni na takie zdarzenia. Nie zauważamy ich, nawet jeśli mają miejsce tuż przed naszymi nosami.

--W telewizji każdej nocy możesz obejrzeć śmierć i nieszczęście w pełnych kolorach -- dodał Archie.

--Nie ma w tym nic nowego -- stwierdził Trevor. -- Za panowania Elżbiety I wciąż oglądano śmierć. Publiczne egzekucje były popularną formą rozrywki.

Po dwóch godzinach niewinnego plotkowania nagle rozpętała się burzliwa dyskusja. Temat okazał się kontrowersyjny. Słuchając, Helen żałowała, że nie zaczęła od pokazania im fotografii. Purcell, jak zwykle, upierał się przy swoim punkcie widzenia, co zapowiadało kłótnię.

--Przecież ci ludzie mogli kłamać -- powiedział.

--Kłamać? -- oburzyła się Helen.

--Dlaczego nie? -- podchwycił ktoś. -- Niektórzy mają bujną wyobraźnię. Historia fizycznego okaleczenia w publicznej toalecie. Zamordowanie staruszka. Nawet ten hak. To dość oklepane elementy. Musisz sobie uświadomić, że jest w nich coś tradycyjnego. Ktoś puścił

plotkę, a ludzie powtarzali ją sobie, dodając coraz to nowe szczegóły.

--Może dla ciebie to jest oklepane... -- zaatakowała Helen. Purcell zawsze był bardzo zrównoważony, co irytowało ją. Nawet jeśli jego argumenty były logiczne, raczej przeklełaby sama siebie, niż przyznała mu rację. -- Ja nigdy jeszcze nie słyszałam podobnej historii.

--Nie? -- zapytał Purcell, choć wypowiedziała się wystarczająco wyraźnie. -- A ta o kochankach i zbiegłym lunatyku? Tej też nie słyszałaś?

--Słyszałam o tym... -- odezwał się Daniel.

--Kochanek został wypatroszony przez hako-rękiego mężczyznę. Jego ciało leżało na dachu samochodu, w którym ukryła się jego luba. To miało być ostrzeżenie przed złem rozprzestrzeniającej się hetero-seksualności.

Z komentarza śmiali się wszyscy, prócz Helen.

--Te historie są bardzo pospolite.

--Więc uważasz, że kłamali... -- protestowała.

--Nie kłamali, po prostu...

--Powiedziałaś, że kłamali...

--Zostałem sprowokowany. -- Purcell próbował odwrócić kota ogonem. -- Tak tylko sobie powiedziałem. Nie miałem nic złego na myśli. Ale musisz przyznać, że wierzysz w każdą plotkę, którą usłyszysz. Wszystkie te zdarzenia miały miejsce nie wiadomo kiedy i przytrafiły się niezwykłym ludziom. Na dodatek okazuje się, że byli braćmi albo przyjaciółmi kogoś z dalszej rodziny. Proszę, rozważ możliwość, że w ogóle nie wydarzyły się w realnym świecie, lecz są wymysłem znudzonych gospodyń...

Helen zabrakło pomysłów, by odeprzeć argumenty Purcella. Jego punkt widzenia wydawał się logiczny i musiała ustąpić. Kobiety zdecydowanie stwierdziły, że staruszka zamordowano w innej dzielnicy. -- To rzeczywiście dziwne -- zastanawiała się.

--Ale dlaczego? -- zapytała nagle Bernadette.

--Dlaczego co? -- odpowiedział pytaniem Archie.

--Dlaczego opowiadają te okropne historie, skoro nie są prawdziwe?

--Właśnie -- podchwyciła Helen. -- Dlaczego? Purcell westchnął zadowolony, że rozpoczynając dyskusję stał się duszą towarzystwa.

--Nie wiem -- powiedział z uszczęśliwioną miną. -- Helen, naprawdę nie musisz brać tak poważnie tego, co mówię. Ja też nie biorę siebie poważnie. -- Duszę Purcella wypełniała pycha.

--Może to jest temat tabu -- podsunął Archie.

--Nie ujawniany publicznie... -- dodał Daniel.

--Źle mnie zrozumiałeś, Danielu -- zaprzeczył Archie. -- Przecież cały świat nie jest polityką.

--Co za naiwność.

--Co może być tabu w śmierci? -- wtrącił Trevor.-- Bernadette ciągle powtarza: mamy ją przez cały czas -- w telewizji, w gazetach...

--Może ta sprawa jeszcze nie jest zamknięta... -- zauważyła Bernadette.

--Co rozumiesz przez jeszcze nie zamknięta"? -- spytała Helen.

--Nie wiem dokładnie. -- Wzruszyła ramionami. -- Może to morderstwo miało miejsce całkiem niedawno i policja jeszcze nie skomentowała go przed dziennikarzami...

Helen ściągnęła brwi. To miałyby sens, ale Anne-Marie twierdziła, że to było latem.

--To naprawdę dziwne, że nie spotkałam nikogo, kto widziałby cokolwiek, nigdy nie było świadków.

--W porządku -- powiedział Purcell. -- Jeśli znajdziesz choć jednego świadka i będziesz mogła udowodnić, że twój maniak-morderca żyje i oddycha, stawiam wszystkim obiad w „Appollinaires”. No i jak? Myślisz, że zakładałbym się, gdybym nie był pewny wygranej? -- śmiał się, uderzając dłońmi w stół.

--Brzmi to ciekawie -- uśmiechnął się Trevor. -- Co ty na to, Helen?

Nie wróciła do Spector Street aż do następnego poniedziałku, ale przez cały weekend była tam myślami: stojąc przed zamkniętą toaletą, w deszczu i na wietrze, albo w sypialni wpatrzona w portret. Pochłaniały całą jej uwagę. Kiedy w sobotę, późnym popołudniem, Trevor przedstawił jej kilka nowych argumentów, udawała, że nie docierają do niej. Jej obojętność doprowadzała go do szału. Wpadł w furję i postanowił odwiedzić którąkolwiek z kobiet zapraszających go w tym miesiącu. Była zadowolona, że wyszedł. Nie przejmowała się, nawet kiedy nie wrócił na noc. Był głupi i niezbyt inteligentny. Straciła nadzieję na to, że kiedykolwiek ujrzy natchnienie w jego tępym spojrzeniu. A co jest wart mężczyzna bez natchnienia?

Nie wrócił do niedzielnej wieczoru, a następnego ranka zaczynała się już na niego złościć. Zaparkowała samochód w samym sercu dzielnicy i nikt nie wiedział, że przyjechała i że może tu utknąć na wiele dni. Jak staruszek, o którym mówiła jej Anne-Marie -- zapomniany, siedzący w swoim ulubionym fotelu, z wydłubanymi oczyma, przy stole, na którym leży spleśniałe jedzenie, zjelczałe masło.

Zbliżała się Noc Ogniska i stos na Placu Buttsa znacznie urósł przez weekend. Miał dziwny kształt, ale chyba nie zastanawiało to nikogo, oprócz niej. Były na nim meble, stare dywany, gazety. Miała wątpliwości, czy w ogóle uda im się to zapalić, a jeśli nawet, to upłynie sporo czasu, zanim cały spleonie. W drodze do domu Anne-Marie cztery razy zaczepiały ją dzieci zbierające pieniądze na zakup fajerwerków.

--Pieniązek dla kukły! -- wołały, choć żadne z nich nie miało jej ze sobą. W rezultacie Helen dotarła do drzwi z pustymi kieszeniami.

Anne-Marie była w domu, ale nie powitała jej uśmiechem. Tylko patrzyła na nią, jak zahipnotyzowana.

--Mam nadzieję, że nie zapomniałaś mnie jeszcze... -- Nie odpowiedziała. -- ...chciałabym porozmawiać.

--Jestem zajęta -- odezwała się w końcu. Nie zaprosiła jej do środka ani nie zaproponowała herbaty.

--No, tak... zajmę ci tylko kilka minut.

Tylne drzwi były otwarte, więc stały w przewiewie. Na podwórzu fruwały papiery. Helen zauważyła je, spoglądając ponad ramieniem kobiety.

--Czego chcesz? -- zapytała Anne-Marie.

--Chcę tylko zapytać o tego staruszka. Kobieta ściągnęła brwi. Wyglądała na chorą. Helen od razu zwróciła uwagę na jej bladą twarz i przetłuszczone, splątane włosy.

--O jakiego staruszka?

--Kiedy byłam tu ostatnim razem, opowiadałaś mi o staruszku, którego zamordowano, pamiętasz?

--Nie.

--Powiedziałaś, że mieszkał przy sąsiednim placu.

--Nie pamiętam -- powiedziała stanowczo.

--Ale wyraźnie powiedziałaś mi...

W kuchni coś spadło na podłogę i stłukło się. Anne-Marie obejrzała się, ale nie odeszła od drzwi. Jej ramię zagrażało Helen wejście do mieszkania. Korytarz zawałony był dziecinnymi zabawkami.

--Dobrze się czujesz? Twierdząco skinęła głową.

--Mam coś do zrobienia.

--I nie pamiętasz, że opowiadałaś mi o staruszkę?

--Musiałaś źle zrozumieć -- odpowiedziała, a potem dodała ponuro. -- Nie powinnaś przychodzić. Wszyscy wiedzą.

--Co wiedzą? Dziewczyna zaczynała drżeć.

--Nie rozumiesz, prawda? Myślisz, że ludzie nie patrzą?

--O co ci chodzi? Wszyscy, których pytałam, byli...

--Nic nie wiem -- powtórzyła Anne-Marie. -- Cokolwiek ci powiedziałam -- skłamałam.

--W takim razie, dziękuję -- powiedziała Helen. Dotarło do niej, że Anne-Marie nie chce mieć z tym nic wspólnego. Odwróciła się i, prawie natychmiast, usłyszała, jak kobieta zamyka drzwi na klucz.

Rozmowa była pierwszym niepowodzeniem tego ranka. Podążyła do supermarketu, o którym mówiła Josie. Chciała dowiedzieć się czegoś o toaletach, ale miesiąc temu zmienił się personel sklepu, a nowy właściciel, małomówny Pakistańczyk, oświadczył, że nie wie, kiedy i dlaczego je zamknięto. W pewnym momencie uświadomiła sobie, że wszyscy ją obserwują. Czuli się, jak parias. Uczucie to pogłębiło się, gdy wychodząc z supermarketu zauważyła Josie. Zawołała ją tylko po to, by nie iść samotnie wąskimi uliczkami. Nagle straciła całą pewność siebie.

Stała ze łzami w oczach, zakłopotana własną głupotą. Nie pasowała do tego miejsca. Ileż to razy krytykowała innych za ich zarozumiałość i brak zrozumienia? A teraz sama przychodziła tutaj z aparatem fotograficznym i listą pytań, traktując życie i śmierć tych ludzi jak materiał na plotki opowiadane przy herbacie. Nie miała żalu do Anne-Marie, że zamknęła jej drzwi przed nosem. Czyż nie zasłużyła sobie na to?

Zmęczona i zmarznięta uznała, że najwyższy czas przyznać Purcellowi rację. Wszystko, co jej opowiedziały, było fikcją. Zabawiły się jej kosztem, wyczuwając jej pragnienie usłyszenia jakiejś strasznej historii, a ona -- kompletna idiotka -- uwierzyła w każde ich słowo. Najwyższy czas spakować manatki i jechać do domu.

Tak czy inaczej, zanim wróci do samochodu, chciała ostatni raz spojrzeć na portret w mieszkaniu pod numerem 14. Kiedy tam dotarła -- okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz, a okna pozabijane deskami.

Jednak nie dała tak łatwo za wygraną. Obeszła dom od podwórza i znalazła tylne drzwi. Wyglądało na to, że zamknięto je od środka, ale pchnęła z całej siły i, ku jej zdziwieniu, ustąpiły. Przejście zagrażały stare dywany, kartony i sfatygowana choinka z ozdobami.

Wspięła się do okna zabitego deskami. Na dworze było jeszcze jasno, ale wewnątrz panował mrok, więc niewiele mogła zobaczyć.

Wtem przez sypialnię przesunął się jakiś cień. Odskoczyła ze strachu. Nie była pewna, co

właściwie zobaczyła. Może to był jej własny cień? Ale ona nie ruszała się, a on tak.

Ostrożnie zbliżyła się do okna. Powietrze drgało. Słyszała czyjś oddech, ale nie była pewna, czy dochodził z pokoju. Ponownie zajrzała przez szpary między deskami i nagle coś doskoczyło do okna. Krzyknęła. Coś skrobało od wewnątrz, jakby chciało się wydostać.

Pies! I to duży, bo skoczył dość wysoko.

--Głupia -- powiedziała do siebie głośno. Odetchnęła z ulgą.

Skrobanie ucichło, ale nie miała odwagi znowu podejść. Pewnie robotnicy, którzy zabezpieczali mieszkanie, nie sprawdzili go dokładnie i przez pomyłkę uwięzili w nim to biedne zwierzę. Dobrze, że nie udało jej się wejść do środka. Nie wiadomo, jak długo już tam siedział. Na samą myśl o zgłodniałym, może oszalałym w pułapce psie ciarki przeszły jej po plecach.

Czuła, że obserwuje ją. Słyszała jego równy oddech i skrobanie pazurami w parapet.

--Paskudna sprawa... -- szepnęła. -- Nie mogę go tak zostawić.

Cofnęła się do tylnych drzwi i zaczęła wyciągać choinkę, a potem kartony i dywany, ale nie było to takie proste. Niektóre kartony były pełne i za ciężkie, by mogła ruszyć je z miejsca. Zamknęła drzwi i obeszła dom od frontu. Wtedy usłyszała syreny. Zatrzymała się zdezorientowana. Coś działo się na Placu Buttsa. Dopiero teraz zauważyła kilku policjantów biegnących przez trawnik i ambulans zatrzymujący się na chodniku po drugiej stronie placu. Ludzie wyszli z mieszkań i stali na balkonach, spoglądając w dół. Inni zebrali się na dole. Helen poczuła skurcz żołądka, gdy dotarło do niej, że wszystko rozgrywa się przed drzwiami Anne-Marie. Policja torowała przejście dla lekarza i sanitariuszy. Po chwili podjechał drugi radiowóz, z którego wysiadło dwóch oficerów.

Podeszła do tłumu. Gapie rozmawiali półgłosem, a jedna czy dwie starsze kobiety płakały. Stawała na palcach, ale nic nie mogła zobaczyć ponad ich głowami. Zapytała stojącego obok mężczyznę. Słyszał, że ktoś nie żyje, ale nie był pewny.

--Anne-Marie? -- zapytała Helen. Kobieta stojąca przed nią odwróciła się.

--Znasz ją? -- zapytała takim tonem, jakby chodziło o kogoś bardzo jej bliskiego.

--Trochę -- odpowiedziała z wahaniem. -- Czy może mi pani powiedzieć, co się stało?

Kobieta mimowolnie zakryła usta dłonią, jakby chciała powstrzymać słowa, które już miała na końcu języka.

--Dziecko... -- wykrztusiła.

--Kerry?

--Ktoś włamał się do mieszkania tylnymi drzwiami i poderżnął mu gardło.

Helen znów poczuła skurcz żołądka. Przypomniała sobie podwórko, które widziała ponad ramieniem Anne-Marie, i latające po nim gazety.

--Nie -- szepnęła.

--Niestety, to prawda.

Patrzyła na tę tragedię i nic nie zauważyła.

--Nie -- powtórzyła. Nie mogła w to uwierzyć. Czuła, że robi jej się słabo.

Odwróciła się na pięcie i odeszła. Nie było tu nic do oglądania, a nawet jeśli było, to nie chciała tego widzieć. Nie chciała mieć nic wspólnego z tymi gapiami żądnymi sensacji, kolejnego tematu do plotek. Nie należała do nich i nigdy nie będzie należeć. Miała ochotę uderzyć w każdą z tych zaciekawionych twarzy, by ich właściciele odzyskali wrażliwość, zapytać:

„Chcecie poznać ból i cierpienie? Dlaczego? Dlaczego?” Ale nie miała odwagi. Nagle opuściły

ją siły i stchórzyła.

Trevor wrócił do domu. Nie raczył wyjaśnić swej długiej nieobecności -- czekał, aż zacznie go wypytywać. Kiedy tego nie zrobiła, zaczął wymyślać różne bzdury, co było gorsze niż dotychczasowe, ostentacyjne milczenie. Zdała sobie sprawę, że jej brak zainteresowania był dla niego gorszą karą niż atakowanie go pytaniami. Jednak nie dbała o to.

Nastawiła radio na lokalną stację i słuchała wiadomości. Stało się jasne, że kobieta chciała jej coś powiedzieć, ale nie mogła. Kerry Latimer nie żył. Nieznana osoba lub osoby włamały się do domu tylnymi drzwiami i zamordowały dziecko bawiące się w kuchni. Policjant, z którym rozmawiał reporter, określił śmierć Kerry'ego jako „nie dającą się opisać zbrodnię”, a napastnika jako „niebezpieczną i głęboko niepokojącą indywidualność”. To było potworne, a mężczyzna ze spokojem opisywał, co zastali w kuchni mieszkania Anne-Marie, jakby było to coś najnormalniejszego w świecie.

--Słuchasz radia? -- zdziwił się Trevor. Nie było sensu robić tajemnicy z tego, co odkryła w Spector Street. Prędzej czy później i tak by się dowiedział. Kiedy już trochę ochłonęła, opowiedziała mu, co wydarzyło się na Placu Buttsa.

--Ta Anne-Marie jest kobietą, którą spotkałaś, kiedy pojechałaś tam pierwszy raz, prawda?

Helen skinęła głową w nadziei, że nie będzie zadawał zbyt wielu pytań. Łzy cisnęły się jej do oczu, a nie chciała się przy nim rozkleić.

--Więc miałaś rację -- powiedział.

--Rację?

--Że grasuje tam maniak.

--Nie -- powiedziała. -- Nie.

--Ale ten dzieciak...

Wstała i podeszła do okna. Dlaczego czuła potrzebę odrzucenia tej teorii? Dlaczego modliła się, by Purcell miał rację, by wszystko, co opowiedziały jej te kobiety, okazało się kłamstwem? Przypomniała sobie wygląd i zachowanie Anne-Marie, gdy odwiedziła ją rano: blada, zdenerwowana, przestraszona i pełna nadziei. Potraktowała ją jak nieproszonego gościa, który zakłócił jej oczekiwanie. Ale na co czekała, albo na kogo? Czy to możliwe, by Anne-Marie już wtedy знаła mordercę? Może sama wpuściła go do domu?

--Mam nadzieję, że znajdą tego drania -- powiedziała, wciąż wyglądając na ulicę.

--Na pewno -- odpowiedział Trevor. -- Zamordował dziecko. Chryste! Za coś takiego powinien dostać karę śmierci.

Na rogu pojawił się jakiś mężczyzna. Rozejrzał się i odszedł. Usłyszała pisk opon -- to owczarek alzacki omal nie wpadł pod koła samochodu.

--Pies -- mruknęła do siebie.

--Co?

W tym wszystkim zapomniała o psie. Teraz, kiedy szok minął, przypomniała sobie o biednym zwierzęciu.

--Jaki pies? -- Trevor nie ustępował.

--Poszłam dziś do mieszkania, w którym znalazłam tę dużą graffiti. Był tam zamknięty pies.

--No i?

--Był tam uwięziony. Nikt o nim nie wiedział.

--Skąd wiesz, że nie zamknięto go tam, żeby pilnował?

--Robił za dużo hałasu... -- odpowiedziała.

--Wszystkie psy szczekają -- uśmiechnął się Trevor. -- Akurat to potrafią najlepiej.

--Nie... -- przypomniała sobie odgłosy dochodzące zza zabitego deskami okna. -- On nie szczekał...

--Zapomnij o psie -- poradził jej. -- I o dziecku. Nic na to nie poradzisz. Nie miałaś na to żadnego wpływu.

Jego słowa były echem jej własnych myśli, ale nie mogła się z nimi pogodzić. Nie potrafiła uwierzyć, uznać tego, co się stało, za przeszłość. Doświadczenie zawsze zostawia jakieś piętno. Jeszcze nie wiedziała, w co się wplątała, rozumiała tylko, że boi się tego.

--Nie mamy już nic mocniejszego do picia -- powiedziała, przechylając pustą butelkę po whisky.

Trevor wyglądał na ucieszonego, że wreszcie ma pretekst, by okazać jej uprzejmość.

--Wychodzę na chwilę -- powiedział. -- Przynieść butelkę albo dwie.

--Jeśli chcesz -- odpowiedziała obojętnie.

Nie było go tylko pół godziny. Wolalaby, żeby potrwało to dłużej. Nie chciała rozmawiać, tylko siedzieć i rozmyślać. Choć Trevor usilnie starał się odwrócić jej uwagę od psa, nie mogła o nim zapomnieć, ani o zamkniętym mieszkaniu, ani o grafitti w sypialni, ani o skrobaniu w deski... Cokolwiek mówił, nie wierzyła, by było tam coś godnego pilnowania. Nie, nie ulegało wątpliwości, że pies został przypadkowo uwięziony i szalał z przerażenia i głodu. Zaczynała się obawiać, że jakiś dzieciak, nie zastanawiając się nad konsekwencjami, mógł się tam włamać w poszukiwaniu drewna na ognisko. Bała się, że pies może ją odnaleźć, przyjąć po śladach.

Trevor wrócił z whisky i pili do oporu, aż zrobiło się jej niedobrze i zasnęła w toalecie. Zapytał przez drzwi, czy potrzebuje czegoś, ale zażądała, by zostawił ją samą. Kiedy, godzinę później, wyszła, Trevor spał w łóżku. Nie położyła się obok niego, lecz na sofie i tak zasnęła.

Następnego ranka we wszystkich gazetach ukazała się notatka o morderstwie i zdjęcia: roztrzęsionej matki wyprowadzanej z domu, z tylnego podwórza i kuchni. Czy to krew jest na podłodze, czy cień?

Helen nie była w stanie przeczytać artykułu -- miała okropnego kaca i ból rozsadał jej głowę -- ale, o dziwo, bardzo zainteresował Trevora, który osobiście przyniósł gazety.

--Kobieta przebywa w areszcie -- powiedział odkładając „Daily Telegraph”, swoją ulubioną gazetę, typowo polityczną, ale zawierającą dokładne notatki o każdym przestępstwie.

Wiadomość podziałała na Helen jak kubel zimnej wody.

--W areszcie? -- zdziwiła się. -- Anne-Marie?

--Tak.

--Pokaż. Podaj jej gazetę.

--Na trzeciej stronie -- poinformował uprzejmie. Znalazła artykuł i rzeczywiście -- Anne-Marie została zabrana do aresztu w celu wyjaśnienia, co robiła od momentu zgonu dziecka do godziny zgłoszenia na policję. Helen kilkakrotnie przeczytała to zdanie, by upewnić się, że dobrze zrozumiała. A jednak. Lekarz policyjny stwierdził, że Kerry zmarł między godziną 6.00 a 6.30 rano. Morderstwa nie zgłoszono do godziny 12.00.

Cztery razy czytała raport, ale straszne fakty pozostawały faktami. Dziecko zostało

zamordowane przed świtem. Kiedy była tam tego ranka, Kerry nie żył już od czterech godzin. Ciało leżało w kuchni, zaledwie kilka jardów od miejsca, w którym stała, a Anne-Marie nic nie powiedziała. Coś tu nie pasowało. Dlaczego czekała tak długo, zanim zawiadomiła policję?

--O Chryste... -- westchnęła Helen, odkładając gazetę.

--Co jest?

--Muszę iść na policję?

--Po co?

--Żeby powiedzieć im, że byłam w tym domu -- wyjaśniła. Trevor patrzył jak zahipnotyzowany. -- Dziecko nie żyło, Trevor. Kiedy wczorajszego ranka widziałam się z Anne-Marie, Kerry już nie żył.

Zadzwoiła na policję, pod numer wymieniony w artykule, i pół godziny później przyjechał po nią radiowóz. Zdziwiła się usłyszawszy, że nikt nie zgłosił jej obecności na terenie dzielnicy. Z pewnością zauważyło ją wiele osób.

--Oni nie chcą wiedzieć... -- wyjaśnił jej detektyw. -- ...nie chcą świadków z zewnątrz. Jeśli nawet sami coś widzieli, zaprzeczają. Przestępstwo tego rodzaju...

--Czy to pierwsze?... -- zapytała. Spojrzał na nią zaskoczony.

--Pierwsze?

--Słyszałam o kilku morderstwach w tej dzielnicy. Tego lata.

Detektyw pokręcił głową.

--Nic o tym nie wiem. Owszem, było kilka napadów, jedna z kobiet tydzień leżała w szpitalu. Ale morderstwa? Nie.

Detektyw podobał się jej. Jego oczy, z czarującym ociąganiem, lustrowały jej sylwetkę. I ten wyraz szczerości na twarzy.

--Dlaczego ci ludzie opowiadali mi różne kłamstwa? -- Nie dbała, czy zabrzmiało to głupio, czy nie. -- O ofiarach z wydłubanymi oczyma. To okropne.

Mężczyzna potarł swój długi nos.

--Nam też to opowiadali -- przyznał. -- Ludzie przychodzą tu i spowiadają się z różnych bzdur -- i to ze szczegółami. Czasami całą noc rozmawiamy o rzeczach, które zrobili, albo myślą, że zrobili. A kiedy zapytamy ich po raz drugi -- okazuje się, że nic nie pamiętają i nic nie wiedzą.

--Może nie opowiadali panu o tym, co już się zdarzyło..., lecz o tym, co dopiero mają zamiar zrobić...

Detektyw poderwał się z miejsca.

--Tak! -- powiedział z entuzjazmem. -- Niech nam Bóg pomoże. Pani może mieć rację.

Czyżby więc historie, które słyszała, były zapowiedzią przyszłych zbrodni? Ale skąd te kobiety mogły tak dokładnie znać przyszłe fakty? Wyglądało na to, że morderca potrzebuje bodźca i prawdopodobnie były nim te zmyślane historie. Wracając do domu zatłoczonymi ulicami zastanawiała się, ilu z mijających ją ludzi zna podobne historie. Czyżby Purcell miał rację? Gdzie ukrywał się morderca, skoro znalazł je wszystkie?

--Dzwonił Purcell -- powiedział Trevor, gdy weszła do mieszkania. -- Zaprasza nas na kolację.

Skrzywiła się, bo nie miała ochoty przyjąć zaproszenia.

--„Appollinaires”, pamiętasz? -- mówił dalej. -- Obiecał, że zaprosi nas wszystkich na

obiad, jeśli udowodnisz, że się mylił.

Na samą myśl, że zawdzięcza ten obiad śmierci syna Anne-Marie, robiło jej się mdło i powiedziała to głośno.

--Obrazi się, jeśli odmówisz.

--Z nikim się nie zakładałam i nie chcę jeść obiadu z Purcellem.

--Proszę cię -- powiedział łagodnie. -- Stawiasz go w trudnej sytuacji. Nie odmawiaj mu tej drobnej przyjemności.

Uniosła głowę i napotkała jego żebrzące spojrzenie spaniela. Cwany drań -- pomyślała.

--Dobrze, pójdę -- powiedziała. -- Ale nie oczekuj, że z radości będę tańczyć na stołach.

--To już zostawimy Archiemu -- ucieszył się. -- Powiedziałem Purcellowi, że jutrzejszy wieczór mamy wolny. Pasuje ci?

--Obojętne.

--Zamawia stolik na 20.00.

W wieczornych gazetach ukazały się kolejne notatki o tragicznej śmierci Kerry'ego. Zawierały kilka nowych informacji -- dokładniej opisano miejsce zbrodni oraz wspomniano, że Anne-Marie, po przesłuchaniu, została zwolniona z aresztu i obecnie przebywa u przyjaciół. Śledztwo trwa.

Helen nie mogła oprzeć się chęci powrotu do Spector Street. Poszła spać, a rano, gdy tylko obudziła się, podjęła decyzję.

Idąc uliczkami, a potem przez Plac Ruskina, zauważyła, że tragedia pobudziła dzielnicę do życia. Ludzie przekazywali sobie zasłyszane gdzieś plotki, niektórzy przywdziali nawet żałobę. Jedyne dzieci nadal bawiły się beztrąsko. Helen wczuła się w panującą wokół atmosferę.

Uliczki były zatłoczone, ale obecność tylu ludzi uspokajała ją. Musiała przyznać, iż jest szczęśliwa, że wróciła do Spector Street. Podwórza z połamanymi młodymi drzewkami i zszarzała trawa wydawały jej się realniejsze niż zadbane klomby i czyste chodniki, do których przywykła. Nie znane twarze na ulicach i balkonach znaczyły więcej niż jej koledzy z uniwersytetu. Słowem -- czuła się tu jak w domu.

Zza zakrętu wyłonił się kondukt żałobny złożony z kilku samochodów -- pierwszy pokryty był kaskadą białych kwiatów; na jego widok jakaś kobieta z tłumu zaszlochała głośno. Wszyscy patrzyli w milczeniu. Nawet dzieci ucichły.

Helen nie uroniła ani jednej łzy. Nie potrafiła zmusić się, jak niektórzy, a tym bardziej w tak licznym towarzystwie. W drugim samochodzie zauważyła Anne-Marie i dwie inne kobiety. Pozbawiona dziecka matka także unikała publicznego okazywania bólu. Siedziała wyprostowana, niewzruszona, prawie dumna. Helen nie mogła tego pojąć. Anne-Marie zachowywała się tak, jakby były to najwspanialsze chwile w jej życiu. Jakby nie docierał do niej fakt, że straciła syna -- ważne, że znalazła się w centrum zainteresowania. Kondukt powoli zniknął za zakrętem.

Gapie stłoczeni wokół Helen rozeszli się od razu. Była jednym z niewielu maruderów, którzy pozostali na swoich miejscach, a potem skierowali się na Plac Buttsa. Zamierzała wrócić do zamkniętego mieszkania, by sprawdzić, czy pies nadal tam jest. Jeśli tak, postanowiła odnaleźć dzielnicowego raka i poinformować go o tym.

Plac w porównaniu z innymi był praktycznie pusty. Może mieszkańcy udali się na pogrzeb Kerry'ego? W końcu byli sąsiadami Anne-Marie. Jakikolwiek był powód, plac był jak wymarły.

Tylko dzieci kręciły się wokół stosu przygotowanego na Noc Ogniska.

Dotarła do drzwi i, zaskoczona, zastała je znów otwarte, jak wtedy, gdy przyszła tu po raz pierwszy. Zajrzała do środka. Wszystko wyglądało po staremu. Żadnego dźwięku. Pies pewnie uciekł albo zdechl z głodu przez te kilka dni. Mała strata, krótki żal -- pomyślała ostatni raz wchodząc do sypialni. Spojrzała na portret i znajomy slogan.

„Słodczyce dla Cukiereczka”. Nigdy nie zastanawiała się nad jego pochodzeniem. Uważała, że to bez znaczenia. Każdy z widniejących na ścianach napisów miał jakieś źródło, ale to jej nie interesowało. Ważny był efekt.

Stała z bijącym sercem. Na jej ustach błąkał się uśmiech.

--Wspaniale graffiti- szepnęła do siebie. Cofając się, by całe objąć wzrokiem, potknęła się o materac, który wciąż leżał w kącie. Spojrzała w dół. Coś błysnęło wśród poduszek i kocy. Pochyliła się, by lepiej widzieć, i znalazła garść słodczy -- czekoladek i cukierków -- zawiniętych w błyszczący papier... umazany krwią. Podniosła się gwałtownie i cofnęła, ale w tym samym momencie usłyszała kroki w sąsiednim pokoju. Odwróciła się przestraszona. W mrocznym korytarzu zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Raczej wyczuła go, niż zobaczyła. Pachniał świeżym pieczywem i bakaliami -- i zagradzał jej drogę ucieczki.

--Właśnie... przyszłam obejrzeć... obraz -- wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Mężczyzna nie poruszył się. Słyszała jego równy oddech.

--No, tak... -- powiedziała. -- Zobaczyłam już to, co chciałam zobaczyć.

Miała nadzieję, że skłoni go tymi słowami do usunięcia się z drogi, ale nie poruszył się, a ona nie miała odwagi przejść obok niego.

--Muszę już iść. -- Jej głos drżał, mimo że całą siłą woli starała się nad nim panować. --
Czekają na mnie...

To nie całkiem było kłamstwem. Wieczorem umówili się na kolację w „Appollinaires”, ale do 20.00 zostały jeszcze cztery godziny. Czula, że dłużej nie wytrzyma.

--Czy mógłby mnie pan przepuścić? -- zapytała najuprzejmiej, jak potrafiła w tej chwili.

Nareszcie odezwał się, a jego głos był równie słodki jak zapach.

--Nie musisz jeszcze wychodzić -- westchnął.

--Jestem umówiona...

Choć nie mogła dojrzeć jego oczu, czuła na sobie spojrzenie, które, o dziwo, działało na nią uspokajająco.

--Przyszedłem dla ciebie -- powiedział. „Przyszedłem dla ciebie” -- powtórzyła w myślach.

Gdyby miały oznaczać groźbę, z pewnością nie powiedziałby ich tym tonem.

--Ja... nie znam pana.

--Nie -- mruknął -- ale wątpiłaś w moje istnienie.

--Wątpiłam?

--Nie wystarczyły ci te historie ani to, co napisali na ścianach, więc musiałem przyjść.

Dopiero po chwili dotarło do niej, co powiedział. Był legendą, a ona, nie wierząc w jego istnienie, zmusiła go do ujawnienia się. Spojrzała na jego dłonie -- jedną z nich zastępował hak.

--To ciebie będą winić -- mówił dalej. -- Powiedzą, że przez twoje zwątpienie polala się krew niewinnego dziecka. Ale po cóż jest krew, jeśli nie po to, by ją przelewać? Po jakimś czasie przerwą dochodzenie, policja odejdzie, reporterzy znajdą sobie nową sensację, a ludzie nadal będą opowiadać historie o Cukierniku.

--Cukiernik? -- szepnęła.

--Przyszedłem dla ciebie -- powiedział łagodnie i wszedł do sypialni.

Znała go, bez wątpienia. Znała go od pierwszej chwili, kiedy tu przyszła. To mężczyzna ze ściany. Jego portret nie był fantazją -- w rzeczywistości wyglądał równie przerażająco. Ale kiedy zastanowiła się, doszła do wniosku, że wygląda śmiesznie i w gruncie rzeczy jest niegroźny. Ludzie potrzebowali sensacji, istnienia jakiegoś okrutnego mordercy, demona powstającego z grobu, a ten człowiek zaspokajał ich potrzeby.

Była prawie oczarowana -- jego głosem, barwnym makijażem, słodkim zapachem jego ciała. Nie mogła mu się oprzeć. Była tu z potworem, wspaniale odgrywającym swoją rolę, a u jej stóp leżały zakrwawione jeszcze brzytwy. Czy zawahałby się podcinając jej gardło, gdyby ją schwytał?

Kiedy próbował zbliżyć się do niej, szybkim ruchem pochyliła się i poderwała koc. Grad brzytw i słodczy uderzył w ramiona mężczyzny. Zarzuciła mu koc na głowę. Ale zanim zdążyła prześliznąć się obok niego, poduszka, leżąca na materacach, stoczyła się jej pod nogi.

To wcale nie była poduszka! Cokolwiek widziała w karawanie okrytym kaskadą białych kwiatów -- nie było ciałem Kerry'ego, które teraz leżało u jej stóp. Na jego nagim, zakrwawionym ciele widniały znaki szatana.

Zamarła z przerażenia, a Cukiernik zrzucił z siebie koc. Kurtka nie miała guzików i gdy uniósł ręce do góry -- wbrew swej woli -- ujrzała jego nagi, poraniony tors. Kiedy odwróciła się ze wstrętem, roześmiał się.

--Słodczy dla Cukiereczka -- mruknął i zbliżył hak do jej twarzy. Nie widziała już światła wpadającego przez okno ani nie słyszała dzieci bawiących się na podwórzu. Nie miała już szans powrotu do normalnego świata. Cukiernik był coraz bliżej.

--Nie zabijaj mnie -- wykrztusiła.

--Wierzysz w moje istnienie? -- zapytał. Odpowiedziała niemal natychmiast:

--Jak mogłabym nie wierzyć?

--Więc dlaczego chcesz żyć?

Nie rozumiała, ale bała się zdenerwować go, więc milczała.

--Gdybyś nauczyła się trochę ode mnie... -- powiedział -- nie prosiłabyś o życie. -- Jego głos przeszedł w szept. -- Jestem wytworem ludzkiej fantazji -- pochylił się do jej ucha. -- To błogosławiony stan, uwierz mi. Żyć w ludzkich marzeniach, słyszeć, jak szepczą o tobie po kątach, ale nie istnieć naprawdę. Rozumiesz?

Jej umęczone ciało rozumiało. Jej nerwy, zmęczone hałasem, rozumiały. Słodczy, którą jej proponował, była życiem bez życia -- być martwym, ale pamiętanym przez wszystkich, uwiecznionym w plotkach i graffiti.

--Bądź moją ofiarą -- szepnął uwodzicielsko.

--Nie...

--Nie mogę używać przemocy -- powiedział uprzejmie. -- Nie mogę zmusić cię, żebyś umarła. Ale pomyśl. Pomyśl. Jeśli zabiję cię tutaj -- jeśli nie użyję haka... -- Najwyraźniej odgrażał się. Ciarki przeszły jej po plecach. -- Pomyśl, jak to wyjaśnią w swoich rozmowach... jak będą brzmiały plotki? Powiedzą: „Umarła tam. Ta kobieta z zielonymi oczami”. Twoja śmierć będzie opowiastką do straszenia dzieci. Kochankowie będą" używać jej jako pretekstu, by zachować dystans...

Miała rację -- próbował ją uwieść.

--Tak łatwo zdobyć sławę -- kusił. Potrząsnęła głową.

--Wolę być zapomniana niż zapamiętana w ten sposób.

Wzruszył ramionami.

--Wygrałaś! -- Opuścił hak. -- Powiedziałem, że nie będę cię zmuszać, i dotrzymam słowa.

Pozwól mi chociaż na pocałunek...

Przysunął się jeszcze bliżej. Wszeptała kilka bezsensownych protestów, które zignorował. Cofała się, aż plecami dotknęła ściany.

Jego słodki zapach przyciągał pszczoły. Wyobraziła sobie robactwo gnieźdzące się w jego włosach i lachmanach. Sama myśl o tym napawała ją obrzydzeniem.

Błagała, by ją zostawił, ale nie słuchał. Próbowwała go odepchnąć, lecz w tym samym momencie chwycił ją za kark i przyłożył hak do gardła. Zdrętwiała. Mógł ją zabić jednym zdecydowanym ruchem, ale dał słowo... i dotrzymał go.

Pszczoły były wszędzie. Czula je na swojej skórze, we włosach i uszach... i cukier na wargach, ale nic nie mogła zrobić, bo hak wciąż spoczywał na jej gardle. Znalazła się w pułapce bez wyjścia, jak w nocnym koszmarze z dzieciństwa. Kiedy we śnie znalazła się w tak beznadziejnej sytuacji, a demony dotykały jej ciała, pozostawał tylko jeden sposób -- odejść, zrezygnować z chęci do życia i pozostawić ciało w ciemności. Teraz, gdy twarz Cukiernika pochylała się nad jej twarzą, a brzęczenie pszczoł zagłuszało jej własny oddech, wykorzystwała ten sposób. I jak we śnie -- wszystko ucichło.

Kiedy się obudziła, było ciemno. W pierwszej chwili wpadła w panikę; nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Potem ze zdziwieniem stwierdziła, że nie czuje bólu. Ostrożnie dotknęła swego gardła. Żadnego draśnięcia po haku. Zdała sobie sprawę, że leży na materacu. Czyżby zemdląca? Nerwowo lustrowała swoje ciało -- nie krwawiła, ubranie też nie było poszarpane. Wyglądało na to, że Cukiernik chciał ją tylko pocałować. Nic więcej.

Usiadła. W sypialni panował mrok. Spojrzała na drzwi. Były otwarte. Usłyszała czyjś szept. W sąsiednim pokoju krzątała się jakaś kobieta.

Helen nie poruszyła się. Ci ludzie są szaleni. Wiedzieli, co wywołała jej obecność na Placu Buttsa, i chronili go -- tego cukrowego psychopatę. Dawali mu nocleg i słodycze, ukrywali go przed nieproszonymi gośćmi i zachowywali spokój, gdy przelewał krew niewinnych ofiar. Nawet Anne-Marie zachowała kamienną twarz, wiedząc, że jej dziecko leży martwe kilka jardów dalej.

Dziecko! To był dowód, którego potrzebowała. Musieli jakoś wykraść ciało (ale co podłożyli zamiast niego? martwego psa?) i przynieść tutaj -- do kryjówki Cukiernika -- jak zabawkę. Mogła zabrać Kerry'ego na policję i opowiedzieć całą tę historię. W cokolwiek by nie wierzyli, ciało dziecka byłoby wystarczającym dowodem. To jedyny sposób, by przerwać to szaleństwo i samej nie oszaleć.

Nagle szeptanie ucichło i ktoś wszedł do sypialni. Na szczęście nie miał ze sobą latarki. Helen skurczyła się i wcisnęła w kąt, w nadziei, że nie zauważy jej.

Szczupła postać pochylała się i podniosła z podłogi dość duże zawiniątko. Po jasnych włosach, opadających na ramiona, rozpoznała Anne-Marie, a w zawiniątku musiało być ciało Kerry'ego. Kobieta, nie patrząc w kierunku Helen, odwróciła się i wyszła.

Wsluchala się w odgłos kroków, a gdy ucichły, wstała i podążyła za nią. Na placu było

ciemno i kobieta zniknęła jej z oczu.

Była chłodna, bezwietrzna noc. W żadnym oknie nie paliło się światło. Plac Buttsa był jak wymarły.

Helen wahała się, czy iść za dziewczyną, czy skorzystać z okazji i uciec do samochodu. Ale jeśli ucieknie, to będą mieli czas, by ukryć ciało dziecka. Kiedy wróci tu z policją, wyprą się i wmówią jej, że wymyśliła sobie Cukiernika i zwłoki chłopca. Wszystko, co przeżyła, stanie się kolejną plotką, uwiecznioną na ścianie. A ona do końca życia nie odważy się wejść do publicznej toalety.

Pobiegła za Anne-Marie, która wcale nie szła do domu, lecz na środek placu. Do stosu! Tak, do stosu! Widziała wyraźnie, jak wspięła się na jego szczyt i odrzucała szczątki mebli, by ukryć pod nimi zwłoki. Oto jak planowali pozbyć się dowodu. Nie wystarczyło pochować chłopca, trzeba było go spalić! Kto by pomyślał?

Minęło zaledwie kilka minut. Kobieta wykonała swoją część zadania, pospiesznie zeszła ze stosu i zniknęła w ciemności.

Helen szybko pobiegła do miejsca, które opuściła Anne-Marie. Wydawało jej się, że już widzi blade ciało chłopca, ale w żaden sposób nie mogła się do niego dostać. Dziękując Bogu, że jest szczupła jak jej matka, wśliznęła się między graty. Gwoździe sterczące z roztrzaskanych mebli rozdzierały jej sukienkę. Uwalniała się od nich drżącymi palcami.

Wciąż napotykała przeszkody; jej dłonie dotykały desek i starych foteli zamiast zimnej skóry dziecka. Nie mogła sobie wybaczyć, że zemdląca i straciła tyle czasu - już dawno mogła zabrać Kerry'ego i wydostać się z tej przeklętej dzielnicy. Poranione ręce krwawiły. Nagle w narożnikach piramidy błysnął płomień. Krew zastygła jej w żyłach. Ogień! A była już tak blisko ciała -- niecały jard. Nerwowo odrzucała szczapy drewna, ale ciągle nie mogła go dosięgnąć. Miała coraz mniej czasu.

Wreszcie udało się. Dziecko leżało twarzą w dół. Już miała wziąć je w ramiona i wycofać się, gdy coś uderzyło ją w ramię. Zamarła z przerażenia. Ledwie opanowała się, by nie krzyknąć. Usłyszała brzęczenie pszczoł i poczuła słodki zapach. Przeszył ją dreszcz.

--Wiedziałem, że przyjdiesz. -- Usłyszała za plecami. Zanim zdążyła odpowiedzieć, Cukiernik zakrył jej usta dłonią i przycisnął do siebie. -- Musimy iść -- szepnął jej do ucha -- naszą wspólną drogą. Tylko ty i ja.

Próbowała uwolnić się, krzyknąć, by nie podpalali stosu, ale trzymał ją mocno. Ogniste języki były coraz bliżej. Robiło się gorąco. Widziała ludzi tłoczących się wokół wielkiego ogniska. Stali tam przez cały czas i doskonale wiedzieli, co się dzieje, ale nie reagowali. Zaplanowali to wszystko!

Krztusiła się dymem i patrzyła na uśmiechnięte twarze dzieci, rodziców ostrzegających je, by nie podchodziły za blisko, na rozradowane staruszki, ogrzewające splamione krwią dłonie i uśmiechające się niewinnie. Teraz Cukiernik pozwolił jej krzyczeć -- wiedział, że nikt jej nie usłyszy wśród trzasku płomieni, a nawet jeżeli -- to i tak już jej nie uratują.

Ogień dotarł do ciała Kerry'ego i zaczynał je trawić. Nie było drogi ucieczki.

Wszędzie tylko gorące płomienie i dym. Helen zaczynała się dusić. Na wpół świadoma spoczywała w ramionach Cukiernika. Jego twarz rozjaśniał triumfalny uśmiech. W jednej chwili znaleźli się na wspólnej drodze, jak obiecał, i nie było dla nich ratunku.

Może ludzie zapamiętają ją jako jego kochankę, a może będą straszyć nią dzieci.

Sklamala, mówiac, ze nie ma dla niej znaczenia, jak umrze. Teraz jednak nie mogla juz tego zmienic. On nie musial sie martwic. Smial sie. Jego oczy zostaly uwiecznione na setkach scian i dziesiec tysiecy ust bedzie powtarzac jego historie. Nie mial watpliwosci -- zapamietaja go. Wtem w tlumie ujrzala znajoma twarz. Trevor! Zrezygnowal z obiadu w „Appollinaires” i przyszedl jej szukać.

Patrzyla, jak zaczepial gapiow, a oni przeczaco kręcili glowami i smiali mu sie w twarz. Biedna ofiara oszustwa -- pomyslala -- tak naprawde obchodza go tylko antyki. Usilowala przyciagnac jego spojrzenie, by zauwazyl ja wzród plomieni. Nie po to, by ja uratowal -- stracila juz nadzieje na ocalenie; po prostu miala ochote zakpic z niego, dac mu powod do przerazenia, uczynic go swiadkiem tej strasznej smierci, ktorej wspomnienie bedzie go przesladowac do konca zycia.

MADONNA

Jerry Cologhoun czekał na Garveya ponad trzydzieści pięć minut. Przez cienkie podeszwy butów czuł zimne stopnie pływalni przy Leopold Road. Myśl, że kiedyś inni będą tak na niego czekać, uspokajała go. A było to realne w najbliższej przyszłości, jeśli uda mu się namówić Ezrę Garveya, by zainwestował w Kopułę Przyjemności. Sprawa wymagała zamilowania do ryzyka i pewnego źródła dochodów, a informatorzy zapewniali go, że Garvey, jakkolwiek cieszy się reputacją, spełnia oba warunki, i to w nadmiarze. W aktach nie było żadnej wzmianki o źródłach dochodów tego człowieka, ale Jerry nie miał wątpliwości. Większość bogaczy, do których zwracał się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, odkładała projekt do szuflady. Nie był tym zaskoczony. Nastaly ciężkie czasy, a nie każdy miał odwagę ryzykować. Więcej, wpływały na ich opinię o śmiałym projekcie przekształcenia pływalni w Salon Rozkoszy. Poszukiwania przekonały go, że w rejonach, w których kupują i remontują domy przedstawiciele klasy średniej nawykli do luksusu, nie dostanie ani centa.

Ale to już inna sprawa. Rada Miejska, której własnością była pływalia, stawiała coraz to nowe warunki, żeby zyskać na czasie. Jerry przekupił -- dworna butelkami dżinu -- faceta z kierownictwa Pomocy Społecznej, który doniósł mu, że budynek można kupić, jeśli zaproponuje się odpowiednią cenę. I teraz to stanowiło główny problem.

Oczywiście, Garveyowi brakowało pewnych umiejętności. Do czasu jego przyjazdu Jerry drżał z niepokoju, co rzadko mu się zdarzało. Jednak opanował się, gdy szofer otworzył drzwi samochodu i Garvey wszedł na schody. Jerry rozmawiał z nim tylko przez telefon i oczekiwał kogoś okazalszego, ale mimo tego braku, nie miał wątpliwości co do autorytetu tego człowieka. Obrzucił go uważnym spojrzeniem i uścisnęli sobie dłonie.

--Milo mi pana widzieć, panie Garvey. Mężczyzna bez słowa skinął głową. Jerry pragnął rozwiać ten chłód. Otworzył drzwi i puścił go przodem.

--Mam tylko dziesięć minut -- powiedział Garvey.

--Świetnie -- odpowiedział Jerry. -- Chciałem pokazać panu projekt.

--Obejrzał pan już to miejsce?

--Oczywiście.

Było to kłamstwo. Jerry krążył wokół tego budynku od sierpnia zeszłego roku i grzecznie czekał na odpowiedź z Departamentu Architektury, ale znał go tylko z zewnątrz. Nie zaglądał tam od pięciu miesięcy i miał nadzieję, że wewnątrz nie wygląda najgorzej. Weszli do obszernego hallu. Śmierdziało wilgocią, ale można było wytrzymać.

--Nie ma elektryczności -- wyjaśnił. -- Latarka musi nam wystarczyć. -- Wyjął ją z kieszeni i zapalił. Podeszli do wewnętrznych drzwi, lecz były zamknięte na klódkę. Nie przypominał sobie, by były zamknięte, kiedy był tu ostatnim razem. Próbował dopasować klucz, wiedząc, że i tak nic z tego nie wyjdzie. Klął w myślach, szukając wyjścia z niezręcznej sytuacji. Mogli zrezygnować i odejść, ale wtedy nici z planów Jerry'ego, albo musiał wyważyć drzwi. Spojrzał na Garveya, który zapalił cygaro i czekał otoczony chmurą aromatycznego dymu.

--Przepraszam za usterki -- odezwał się Jerry.

--Zdarza się -- odpowiedział spokojnie.

--Chyba będziemy musieli zrobić użytek z naszych silnych ramion.

--Zgoda.

Jerry rozejrzał się po mrocznym hallu. Znalazł gruby, stalowy pręt, włożył go w szparę między drzwi a futrynę i z pomocą Garveya zerwał łańcuch spięty klódką, który z brzękiem upadł na wyłożoną kafelkami podłogę.

--Sezanie, otwórz się -- mruknął z satysfakcją i pchnął drzwi, puszczając Garveya przodem.

Brzęk spadającego łańcucha brzmiał echem w pustych korytarzach, którymi szli. Wnętrze wyglądało gorzej, niż kiedy Jerry widział je poprzednio. Przez brudne okna wpadało niewiele światła dziennego. Kiedyś pływalnia przy Leopold Road była niewątpliwie luksusowym miejscem z błyszczącymi w słońcu kafelkami, mozaikami na ścianach i podłogach, ale Jerry nie pamiętał czasów jej świetności. Zniszczone przez wilgoć kafelki postukiwały pod ich stopami, a ściany pokrywał grzyb. Wyglądało to niezbyt zachęcająco i obawiał się, że Garvey wycofa się z interesu. No i na razie nie było szans na wykupienie budynku. Ale Garvey zaangażował się już bardziej, niż Jerry przypuszczał. Oglądał wszystko uważnie i mruczał coś do siebie. Wydawało się, że mężczyzna przyszedł do tego mauzoleum tylko z chorobliwej ciekawości.

--Co za atmosfera. To miejsce ma możliwości -- zaskoczył go Garvey. -- Musisz wiedzieć, Cologhoun, że nie mam zbyt dobrej reputacji jako filantrop, ale czasami lubię zrobić coś pożytecznego. -- Zatrzymał się przed mozaiką przedstawiającą mitologiczne nimfy, bogów morza i ryby. -- Dzisiaj już nigdzie nie znajdziesz czegoś takiego -- wskazał na nią cygarem.

--Tak, rzeczywiście wspaniale -- przyznał Jerry, choć kompletnie nie znał się na sztuce.

--Pokaż mi resztę.

Oprócz dwóch dużych basenów znajdowały się tam sauny oraz łaźnie tureckie. Wszystkie pomieszczenia połączone były labiryntem korytarzy, niewiele różniących się od tego, którym szli na początku, tyle że bez okien. Garveyowi nie przeszkadzała ciemność i mdłe światło latarki. Chciał obejrzeć każdy zakamarek. Dziesięć minut, które obiecał Jerry'emu, przedłużało się do dwudziestu, a potem trzydziestu, ale jednocześnie wzrastał jego entuzjazm.

--Teraz chcę zobaczyć baseny -- zażądał Garvey. Jerry z radością wskazał mu drogę. Szli wąskim korytarzem wzdłuż łaźni tureckich.

--Cicho! -- powiedział nagle Garvey. Jerry zatrzymał się.

--Co?

--Słyszałem czyjś głos. Nasłuchiwali chwilę.

--Nic nie słyszę...

--Cicho! -- warknął Garvey i zamarł w bezruchu. Panowała absolutna cisza. Wzruszył ramionami i wyrzucił cygaro, które zgasło z powodu wilgoci.

--To złudzenie -- wyjaśnił Jerry. -- Korytarze odbijają echo. Czasami, słysząc własne kroki, można mieć wrażenie, że ktoś idzie nam na spotkanie.

Garvey jednak nie dał się tak łatwo przekonać.

--Słyszałem coś -- upierał się i dalej nasłuchiwał. Korytarze były tak wygłuszone, że niemożliwością było usłyszeć ruch uliczny na Leopold Road. W końcu ustąpił.

--Dajmy sobie z tym spokój -- powiedział. Jerry nie pamiętał dokładnie drogi do basenów.

Kilka razy źle skręcili, aż wreszcie trafili tam, gdzie chcieli.

--Ciepły -- stwierdził Garvey, gdy stali przy mniejszym basenie.

Jerry przytaknął niepewnie, rozejrzał się, ale nie zauważył nigdzie termometru. Powietrze było wilgotne, lecz nie cuchnęło, jak w korytarzach. Miał nadzieję, że Garvey pałąc cygaro nie

zwrócił na to uwagi.

--Ogrzewanie jest włączone -- dodał.

--Na to wygląda -- przytaknął Jerry. Wrócił tu bezwiednie. Może Departament przysłał inżynierów, by uruchomili system grzewczy. Ale po co? Może Garvey usłyszał ich głosy? Na wszelki wypadek obmyślał sposób wytłumaczenia ich obecności tutaj.

Garvey podszedł do brzegu basenu. Niewiele było do oglądania. Dno, nie czyszczone od lat, pokrywała pleśń; ledwie można było zauważyć pod nią kafelki.

--Zawsze bałem się wody -- przyznał się Garvey, spoglądając na pusty basen. -- Nie wiem, skąd się to brało.

--Z dzieciństwa -- zaryzykował Jerry.

--Nie sądzę. Moja żona twierdzi, że to dziedziczne.

--Dziedziczne?

--Mój ojciec też nie znosił wody -- zaśmiał się. Nagle ciszę przeszył krótki dźwięk, jakby coś upadło. Garvey zamarł.

--Słyszał pan? -- szepnął. -- Ktoś tu jest.

--Szczyry -- powiedział Jerry z lekceważeniem. Za wszelką cenę chciał uniknąć spotkania z inżynierami i niezręcznych wyjaśnień.

--Niech mi pan da latarkę -- powiedział Garvey i wyrwał mu ją z rąk. Uważnie lustrował całe pomieszczenie, ale nic nie zauważył. -- Nie lubię gryzoni...

--Budynek już od lat jest zaniedbany -- wyjaśnił Jerry.

Garvey oddał mu latarkę.

--Mam wrogów, panie Cologhoun, a pan żartuje sobie ze mnie. Na pewno wie pan, że nie jestem czysty jak łąka. -- Niepokój Garveya wydawał się uzasadniony. Nie bał się szcurów, lecz ludzi, którym wyrządził krzywdę. -- Myślę, że powinniśmy już iść. pokaż mi drugi basen i wychodzimy.

--Jasne. -- Jerry był uszczęśliwiony. Trafił bezbłędnie, pchnął drzwi, lecz stały opór.

--Jakiś problem?

--Muszą być zamknięte od środka.

--Jest inne wejście?

--Chyba tak. Chce pan, żebym znalazł? Garvey spojrział na zegarek.

--Dwie minuty. Potem mam spotkanie. Patrzył, jak Cologhoun znika w ciemnym korytarzu. Nie lubił go -- był za dokładnie ogolony i nosił włoskie buty. Ale interesował go projekt. Garvey lubił atmosferę pływalni. Natomiast instytucje takie, jak szkoła, szpital czy więzienie niepokoiły go. Przerzątał go panujący w nich chaos. Uważał, że lepszy jest świat zbyt zorganizowany niż kompletnie niezorganizowany.

Zapalił kolejne cygaro, ale znów zgasło. W mdłym świetle płomienia zapalki uchwycił sylwetkę nagiej dziewczyny, stojącej na końcu korytarza i patrzącej na niego. Widział ją tylko przez ułamek sekundy, ale kiedy zapalka zgasła, pojawiła się w jego wyobraźni -- - taka, jaką zapamiętał. Była młoda -- miała najwyżej piętnaście lat i piękne ciało. Kropelki potu na skórze dodawały jej zmysłowości. Wyrzucił cygaro i pospiesznie zapalił następną zapalkę, ale dziewczyna zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu.

--Hej, maleńka -- szepnął.

Nagość i wyraz przerażenia w jej oczach obudziły w nim pożądanie.

--Maleńka?

Szedł kilka jardów korytarzem.

--Jesteś tam?

Nie może być daleko -- pomyślał. Szukał jej, zapalając jedną zapalną po drugiej. Usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się. To tylko Jerry -- westchnął rozczarowany.

--Nie ma innego wejścia -- oznajmił.

--Nie musisz mnie oślepić -- mruknął Garvey i niechcący wytrącił mu z dłoni latarkę. --
Przepraszam. Tu ktoś jest, Coloqhoun. Dziewczyna.

--Dziewczyna?

--Wiesz coś o tym?

--Nie.

--Była całkiem naga. Stała trzy albo cztery jardey ode mnie.

Jerry spojrział na Garveya z politowaniem. Czyżby ten człowiek miał zaburzenia na tle seksualnym?

--Mówię panu, że widziałem dziewczynę -- protestował, choć Jerry niczemu nie zaprzeczał. -- Gdybyś nie nadszedł, miałbym ją w rękach. -- Obejrzał się. -- Poświeć tu. --
Jerry skierował światło w dół korytarza, ale nie zauważył ani śladu życia.

--Do diabła! -- zaklął Garvey. Spojrział na Jerry'ego. -- No, dobrze. Wynośmy się stąd.

--Interesuje mnie pańska propozycja -- powiedział, gdy wyszli na schody. -- Projekt jest obiecujący. Ma pan plan tego budynku?

--Nie, ale mogę go zdobyć -- zapewnił Jerry.

--Dobrze. -- Garvey zaciągnął się cygarem i odetchnął z ulgą. -- I proszę mi przysłać dokładniejsze informacje, pańskie propozycje itd. Wtedy porozmawiamy konkretniej.

Zdobycie planu pływalni kosztowało Jerry'ego koleiną łapówkę, ale był na to przygotowany. Na planie wewnątrz budynku wyglądało jak labirynt. I, jak w najlepszych labiryntach, rozmieszczenie łaźni, pryszniców i szatni nie miało określonego porządku. Jednak Carole udowodniła mu, że jest w błędzie.

--Co to jest? -- zapytała, gdy wieczorem oglądał plan. Te cztery czy pięć godzin mieli spędzić razem, w jego mieszkaniu, z dala od codziennych problemów.

--Plan pływalni przy Leopold Road. Chcesz jeszcze brandy?

--Nie, dziękuję. -- Spoglądała na plan, kiedy napełniał swoją szklankę.

--Chyba dobiję targu w Garveyem.

--Chcesz załatwić z nim interesy?

--Nie traktuj mnie, jak białego niewolnika. Ten człowiek ma pieniądze.

--Brudne pieniądze.

--Co może być brudnego między przyjaciółmi? Rzuciła mu tak lodowate spojrzenie, że zapragnął cofnąć czas i to, co powiedział.

--Zależy mi na tym projekcie -- powiedział, siadając obok niej na sofie i rozkładając plan na podręcznym stoliku. -- Potrzebuję czegoś, co mi się uda, co będzie pożyteczne nie tylko dla mnie...

Spojrzała na niego laskawszym okiem.

--Nadal uważam, że Garvey i jego forsa nie wróżą nic dobrego -- powiedziała. -- Nie obchodzi mnie, ile jej ma. To łajdak, Jerry.

--A więc powinienem zostawić całą sprawę, tak? To chciałaś powiedzieć? -- Klócili się o to już od tygodni. -- Powiniennem zapomnieć o trudzie i pracy, którą w to włożyłem, i oddać mój pomysł innym?

--Nie ma powodu do krzyku.

--Nie krzyczę! Wzruszyła ramionami.

--W porządku -- powiedziała spokojnie. -- Nie I krzyczysz.

--Chryste!

Pochyliła się nad planem. Patrzył na nią znad szklanki whisky. Na jej pochyloną głowę, na jasne włosy... Pomyślał, że dotąd okazywali sobie zbyt mało uczucia. Proces, który doprowadził ich do obecnej namiętności, był oczywisty, choć czasami mieli trudności ze znalezieniem wspólnego języka, z rozsądną wymianą poglądów. Ale przecież zdarzało się to setkom innych par. Jakiegokolwiek myśli rodziły się w jej ślicznej główce, wydawały mu się okropne. I można przypuszczać, że podobnie myślała o jego pomysłach.

--To jest spirala -- powiedziała.

--Co?

--Korytarze pływalni tworzą spiralę.

Wstał i spojrział na plan z góry, a Carole palcem przebiegała gmatwaninę korytarzy. Miała rację, chociaż niełatwo było to zauważyć. Jej palec stopniowo przesunął się coraz bliżej środka, aż zatrzymał się na dużym basenie. Jerry w milczeniu oglądał plan. Wiedział, że bez jej pomocy nie odkryłby tego. Tygodniami mógłby się w niego wpatrywać i nic by nie zauważył.

Carole zdecydowała, że nie zostanie na noc, co wcale nie oznaczało, że między nimi wszystko skończone. Po prostu stwierdziła, że Jerry jest zbyt zaabsorbowany swoim planem, by poświęcić jej całą uwagę. Puścił ten argument mimo uszu. W końcu nie byli małżeństwem i nie mógł jej zatrzymać wbrew jej woli.

Przyzwyczał się do samotności. Właściwie wolał spać sam niż dzielić z kimś łóżko, nawet z Carole. Ale tej nocy chciał, żeby z nim została. Nawet niekoniecznie ona -- ktokolwiek. Czuł się bezradny jak dziecko. Kiedy zasypiał, zaraz budził się, jak z koszmarne snu.

Za którymś razem nie wytrzymał. Wstał, owinął się w szlafrok i poszedł do kuchni, by napić się herbaty, plan nadal leżał na podręcznym stoliku. Stał wpatrując się w niego i sącząc ciepły, słodki napój. Teraz, kiedy Carole wyszła, jedyną rzeczą, na której mógł się skoncentrować, była spirala ukryta w chaotycznej gmatwaninie korytarzy i pomieszczeń. Ponownie prześledził drogę do dużego basenu.

Potem dopił herbatę i wrócił do łóżka. Tym razem czuł się dziwnie odprężony i zasnął natychmiast. Carole obudziła go o 7.15 -- zadzwoniła z pracy, by przeprosić za ostatni wieczór.

--Nie chcę, żeby wszystko się między nami popsulo, Jerry. Wiesz o tym, prawda? Przecież wiesz, ile dla mnie znaczysz.

Rano nie potrafił prowadzić miłosnych rozmów, które uważał za bardzo romantyczne o północy -- nawet gdyby go obudziła. Odwzajemnił jej wyznania najlepiej jak tylko mógł i umówił się z nią na następny wieczór, a potem wrócił do łóżka.

Ezra Garvey nie mógł pozbyć się myśli o dziewczynie z pływalni. Wciąż widział jej twarz -- w czasie obiadu z żoną i upojnych godzin w ramionach kochanki. Nie dawała mu ani chwili spokoju. Garvey uważał się za Don Juana. Uwielbiał towarzystwo kobiet -- ich głosy, perfumy, śmiech... Stracił już na nie fortunę, ale nigdy nie mógł oprzeć się pokusie. Kiedy tego ranka

wrócił na Leopold Road, kieszenie miał wypchane pieniędzmi i drogimi błyskotkami.

Było zimno i padał deszcz. Nikt nie zwracał uwagi na mężczyznę stojącego na schodach pływalni pod czarnym parasolem i drugiego, manipulującego przy drzwiach. Chandaman był ekspertem od wszelkiego rodzaju zamków. Za pomocą wytrycha zajęło mu to zaledwie kilka sekund. Garvey złożył parasol i wszedł do hallu.

--Poczekaj tutaj -- polecił Chandamanowi. -- I zamknij drzwi.

--Tak, proszę pana.

--Jeśli będę cię potrzebował -- zawołam. Wzięłaś latarkę?

Chandaman podał mu ją bez słowa i Garvey zniknął w korytarzu. Mimo że na dworze było chłodno, wewnątrz panował upał. Rozpiął marynarkę i rozluźnił krawat. Gorące powietrze kojarzyło mu się z ciałem dziewczyny z jego marzeń, z namiętnym spojrzeniem jej ciemnych oczu. Zapalił latarkę. Zawsze dobrze orientował się w labiryntach i teraz też bez problemu trafił do korytarza, w którym widział dziewczynę. Zatrzymał się na chwilę i słuchał.

Garvey należał do ludzi, którzy mają oczy wkoło głowy. Życie nauczyło go ostrożności i czujności -w więzieniu czy poza nim musiał uważać, by nie dostać nożem w plecy. Po prostu wyczuwał obecność drugiego człowieka, zanim go jeszcze zobaczył. Panowała absolutna cisza. Był pewien, że w pobliżu nie ma nikogo. Nawet gdyby zawiodło go pięć zmysłów, szósty na pewno dalby mu znać o niebezpieczeństwie. Już wiele razy uratował mu życie i Garvey wierzył, że teraz doprowadzi go w ramiona tej ślicznotki.

Zdając się na instynkt, zgasił latarkę i poszedł w dół korytarza, w którym zniknęła dziewczyna. Drażnił go odgłos własnych kroków. Domyślał się, że w korytarzu musi znajdować się jakieś tajemne przejście, którego użyła a którego on nie potrafił znaleźć. Ta myśl podniecała go. Ona i on, sami w tym labiryncie, prowadzący grę, której zakończenie znali oboje. Czuł cudowny dreszcz przebiegający jego ciałem.

Nagle korytarz skończył się. Garvey zatrzymał się. Kusilo go, żeby zapalić latarkę, ale co mógł zobaczyć?

Ścianę? Znow zdał się na instynkt, skręcił w lewo i... trafił na drzwi. Były otwarte. Wszedł do dość dużego pomieszczenia. Słyszał tylko odgłos własnych kroków. Zatrzymał się. Wydawało mu się, że ze wszystkich stron dochodzą różne dźwięki -- między innymi stąpanie bosych stóp na kafelkach. Czy to tylko wyobraźnia, czy rzeczywiście widział dziewczynę -- jej ciało wylaniało się z mroku, bledsze niż otaczająca ich ciemność, aksamitne? Tak! To była ona. Już miał ją zawołać, ale powstrzymał się. Postanowił w milczeniu kontynuować jej grę, jak długo zechce. Przeszedł przez pokój i wyszedł innymi drzwiami, prowadzącymi do tunelu. Tutaj powietrze było jeszcze cieplejsze. Zawahał się -- może to pułapka? Może dziewczyna jest przynętą i za chwilę ktoś zatopi nóż w jego serce? Ale szósty zmysł mówił mu, że w pobliżu jest tylko ta kobieta i że nic mu nie grozi.

Szedł za dziewczyną. Kiedy jej kroki ucichły, zatrzymał się. Skądś dochodziło światło. Oblizując wargi poczuł słony smak. Dotknął ścian -- kafelki były mokre. Pod butami czuł śliską maź.

Światło wydało mu się jaśniejsze, ale nie były to promienie słońca -- wyglądało raczej na światło księżyca. Jakiegokolwiek było jego źródło, wreszcie mógł przyjrzeć się dziewczynie. Ze zdziwieniem stwierdził, że nie jest to ta sama, którą widział wcześniej. Także była naga i młoda, ale inna. Uchwycił jej spojrzenie, zanim skręciła w boczny korytarz. Doszedł do

wniosku, że nie jedna, lecz dwie dziewczyny ukrywają się w tym tajemniczym miejscu. Ale dlaczego?

Obejrzał się, by mieć pewność, że nic nie zagraża mu drogi ucieczki. Dokładnie pamiętał drogę, więc nie musiał obawiać się, że zginie. Posłusznie poszedł za dziewczyną, skręcił w lewo, potem znów w lewo, ale stracił ją z oczu. Korytarze były coraz krótsze. Zorientował się, że zbliża się do centrum czegoś, choć nie wiedział czego. Pogoń podniecała go coraz bardziej.

Nagle korytarz skończył się i wszedł do malej, słabo oświetlonej izby. Upał stawał się nie do zniesienia. Rozpiął kołnierzyk koszuli. Całe ciało miał złane potem i oddychał z trudem. Wiedział tylko, że pogoń dobiegła końca. Obiekt jego pożądania stał odwrócony do niego plecami, a jej aksamitna skóra sprawiła, że zapomniał o dokuczającej mu zwykle klaustrofobii.

--Maleńka... -- szepnął. -- Zmęczyłaś mnie tym polowaniem.

Udała, że nie słyszy, albo może była to dalsza część gry.

Ruszył w jej kierunku, ostrożnie stąpając po śliskich kafelkach.

--Mówię do ciebie.

Kiedy dzieliło go od niej jakieś sześć stóp, odwróciła się. Nie była to dziewczyna, za którą gonił korytarzami, ani ta, którą widział za pierwszym razem, lecz całkiem inna. Jego spojrzenie spoczęło na obcej twarzy, a potem ześliznęło się na dziecko, które trzymała w ramionach. Karmiła je, jak niemowlaka, przyciskając do piersi. Nigdy w życiu nie widział takiej kreatury. Zbierało mu się na mdłości.

Widok dziewczyny karmiącej piersią był wystarczającą niespodzianką, ale karmienie w ten sposób takiego czegoś -- właściwie nie wiadomo, jak to określić: ani człowiek, ani zwierzę - - przewyższało odporność jego żołądka.

--Na Chrystusa! Co to jest?...

Dziewczyna spojrzała na niego i uśmiechnęła się czule. Dziecko nadal ssalo jej pierś. Garveya doprowadzało to do szału. Ignorując protesty dziewczyny, wyrwał potworka z jej objęć, z całej siły rzucił nim o ścianę i z obrzydzeniem wytarł ręce w spodnie. Dziecko krzyknęło uderzając o kafelki i umilkło niemal natychmiast. Matka podbiegła i wzięła w ramiona bezkostne, roztrzaskane ciało.

Gdzieś w sąsiedztwie rozległ się ryk. Garvey nie miał wątpliwości co do jego znaczenia. Coś odpowiedziało na śmiertelny krzyk dziecka i coraz głośniejszy szloch matki. Przeraził się. Cudowny sen zmienił się w koszmar. Przypomnił sobie krwawe sceny z horrorów, potwora rozszarpującego swą ofiarę. Potem stwierdził, że ponosi go fantazja, ale kiedy ryk powtórzył się raz i drugi -- Garvey rzucił się do ucieczki.

Stracił orientację. Biegł z jednego korytarza w drugi i nie mógł znaleźć właściwego. Wszystkie wyglądały podobnie: takie same kafelki, taki sam mrok, a każdy z nich prowadził z powrotem do izby. Ogarnęła go panika. Był sam i coś czyhało na niego w ciemności. To Cologhoun był odpowiedzialny za tę mękę! Garvey przysięgał, że jeśli się stąd wydostanie, osobiście połamie mu wszystkie kości. Powtarzał to sobie w kółko, jakby w ten sposób chciał rozładować strach. Nagle zdał sobie sprawę, że zamiast oddalać się od izby, wciąż wraca do punktu wyjścia. Dziecko leżało na podłodze -- martwe i porzucone -- a jego matka zniknęła.

Garvey zatrzymał się i zaczął rozważać swoją sytuację. Jeśli cofnie się korytarzem, którym właśnie przyszedł, to znowu się zgubi. Jeśli pójdzie prosto, przez izbę, w stronę światła, może rozwiąże ten węzeł gordyjski i odnajdzie właściwą drogę. Nie miał czasu do stracenia.

Szybkim krokiem przeszedł przez izbę do drzwi na przeciwległej ścianie. Na końcu korytarza znalazł kolejne drzwi, a za nimi otwartą przestrzeń. Basen! Na pewno basen!

W pomieszczeniu panował jeszcze większy upał. Garvey czuł, że krew uderza mu do głowy. Skronie przeszył mu tępy ból.

Duży basen nie był wyschnięty, jak mniejszy. Prawie po brzegi wypełniała go -- nie czysta woda, lecz piana się maź, która bulgotała pod wpływem temperatury. To ona była źródłem światła. Jej powierzchnia fosforyzowała, zabarwiając wszystko -- kafelki, trampolinę, szatnie, natryski i -- niewątpliwie -- j jego również.

Rozejrzał się. Nigdzie ani śladu kobiety, a jego sytuacja nie uległa zmianie. Szedł od jednych drzwi do drugich, ale wszystkie były zamknięte. Kafelki pokrywała śliska maź. Przyjrzał się jej, lecz w mdłym świetle trudno było określić, co to może być i jakiego jest koloru.

Obejrzał się na basen -- ciekawość okazała się silniejsza niż strach. Coś zawirowało pod powierzchnią półpłynnej mazi i dziwny cień zamajaczył w ciemności. Garvey pomyślał o potworku, którego zabił, o jego bezkształtnym, oślizłym ciele. Czyżby spotkał następnego? Znow coś zbulgotało i cień znikł.

Zdenerwowany odwrócił się i stwierdził, że nie jest sam. Nie wiadomo skąd zjawily się trzy dziewczyny i szły w jego stronę. W jednej z nich rozpoznał tę, którą widział za pierwszym razem. W przeciwieństwie do sióstr, ubrana była w sukienkę ekstrawagancko prze- j pasaną sznurem. Jedną pierś miała obnażoną. Podchodząc bliżej, patrzyła na niego śmiało.

W momencie pojawienia się trzech piękności zawartość basenu zawrzała, jakby jego mieszkańcy usiłowali wyjść im na spotkanie. Garvey zauważył pod powierzchnią trzy czy cztery rozdrażnione, bezkształtne stwory. Wahał się między instynktowną chęcią ucieczki a pragnieniem ujrzenia, co kryje się w basenie. Spojrzał na drzwi oddalone o dziesięć jardów. Bez trudu pokonałby tę odległość kilkoma susami. Mógł pobiec chłodnym korytarzem i zawołać Chandamana, który musiałby go usłyszeć -- tego był pewny.

Dziewczyny stały zaledwie kilka stóp od niego. Odpowiadał na ich spojrzenia. Pożądanie, przez które się tu znalazł, wygasło. Nie pragnął już piersi tych kreatur, ani tego, co kryło się między ich gładkimi udami. Te kobiety nie były tym, na co wyglądały. Ich spokój nie był uległością, lecz narkotycznym transem. Ich nagość nie była zmysłowa, lecz odrażająco obojętna i odbierał ją jako obelgę. Nawet ich młodość, aksamitna skóra i błyszczące włosy -- nawet to było, w pewnym sensie, zepsute. Kiedy dziewczyna w skąpej sukience zbliżyła się i dotknęła jego złanej potem twarzy, jęknął z obrzydzeniem, jakby była oślizłą żmiją. Reakcja Garveya nie zniechęciła jej. Zbliżyła się jeszcze bardziej, patrząc mu w oczy. Nie pachniała perfumami, jak jego kochanka. W nozdrza uderzył go odurzający, naturalny zapach skóry. Stał jak sparaliżowany, napotykał jej spojrzenie, gdy całowała go w policzek i owijała sznur wokół jego szyi.

Jerry przez cały dzień, w półgodzinnych odstępach, wydzwaniał do biura Garveya. Najpierw poinformowano go, że wyszedł i prawdopodobnie wróci dopiero późnym popołudniem. Z biegiem czasu wiadomość zmieniała się, aż w końcu usłyszał, że w ogóle nie będzie go już dziś w biurze.

--Pan Garvey źle się czuł -- powiedziała sekretarka -- i poszedł do domu odpocząć. Proszę zadzwonić jutro.

Jerry zostawił wiadomość, że zdobył plan pływalni i chciałby spotkać się z panem Garveyem w celu przedyskutowania sprawy.

Późnym popołudniem zadzwoniła Carole.

--Może wyjdziemy gdzieś wieczorem? -- zaproponowała. -- Co powiesz na kino?

--Co chciałabyś obejrzeć? -- zapytał.

--Jeszcze nie wiem. Nie zastanawiałam się nad tym. Pomyślimy wieczorem, zgoda?

Ostatecznie poszli na francuski film, który, zgodnie z przypuszczeniami Jerry'ego, był kompletnie bez sensu. Składał się z serii nie związanych ze sobą dialogów między bohaterami dyskutującymi o swych porażkach i marzeniach. W rezultacie wyszedł śmiertelnie znudzony.

--Nie podobał ci się...

--Nie za bardzo. Flaki z olejem.

--I żadnej akcji.

--Żadnej akcji. Uśmiechnęła się do siebie.

--Co w tym śmiesznego?

--Nic...

--Nie mów, że nic. Wzruszyła ramionami.

--Po prostu uśmiecham się. Nie mogę?

--Jezu! Każdy z tych dialogów powinien mieć podtytuł.

Szli w dół Oxford Street.

--Chcesz coś zjeść? -- zapytał, gdy doszli do krzyżówki z Poland Street. -- Możemy wstąpić do Czerwonego Fortu.

--Nie, dziękuję. Nie znoszę późnych posiłków.

--Na Chrystusa! Nie sprzecajmy się o ten nędzny film.

--Kto się sprzecza?

--Jesteś bliska ataku szału...

--To nic nowego przy naszym trybie życia -- odpowiedziała. Jej twarz oblała się purpurą.

--Dziś rano powiedziałaś...

--Co?

--Że nie powinniśmy niszczyć...

--To było rano -- mruknęła, a po chwili dodała: -- Nikt cię nie obchodzi, Jerry. Ani ja, ani nikt inny.

Spojrzała na niego prawie wyzywająco. Wyglądała na bardzo zadowoloną, gdy stał zaszokowany i nie wiedział, co powiedzieć.

--Dobranoc... -- rzuciła krótko i odeszła. Patrzył za nią, walcząc z chęcią zawołania jej. Sam nie wiedział, co go powstrzymywało. Z przerażeniem pomyślał o pustym i zimnym łóżku, o kolejnej samotnej nocy...

--Carole!

Nie odwróciła się, nawet nie zwolniła kroku. Musiał ją dogonić. Uświadomił sobie, że ta scena może być początkiem rozpadu ich związku.

--Carole! -- Chwycił ją za ramię. Zatrzymała się. Kiedy stanął przed nią, ujrzał łzy spływające po jej policzkach. Był zdziwiony i zmieszany. Nie lubił, kiedy płakała.

--Poddaję się -- powiedział zmuszając się do uśmiechu. -- Ten film był arcydziełem. Prawda?

Nie reagowała, jakby wcale go nie słyszała.

--Przestań. Proszę, przestań... Ja nie... -- Chciał ją przeprosić, ale nie potrafił.

--Nic się nie stało -- powiedziała łagodnie. Zauważył, że nie była zła, tylko nieszczęśliwa.

--Chodźmy do domu.

--Nie chcę.

--Ale ja chcę, żebyś ze mną poszła -- odpowiedział. -- Nie lubię rozmawiać na ulicy.

Objął ją ramieniem i zawrócili do Kentish Town. Carole odezwała się dopiero w połowie schodów prowadzących do drzwi mieszkania.

--Wstrętny perfum.

Rzeczywiście, na schodach czuło się silny, kwaśny zapach.

--Ktoś tu był -- powiedział zaniepokojony i szybko wbiegł na górę. Drzwi swego mieszkania zastał otwarte. Zaklął.

--Co się stało? -- zapytała, dołączając do niego.

--Włamanie.

Wszedł do środka i zapalił światło. Mieszkanie było kompletnie zdemolowane -- potraskane meble, walające się wszędzie papiery, rozprute nożem poduszki, obicia foteli i sofy, wyrwane z ram obrazy, potłuczone szkło. Jerry stał pośrodku jak sparaliżowany, a Carole chodziła od pokoju do pokoju, wszędzie znajdując ten sam chaos.

--To wygląda na osobiste porachunki, Jerry. -- Skinął głową. -- Zadzwońę po policję -- zdecydowała. -- Sprawdź, co zginęło.

Był błąd jak ściana. Zastanawiał się, komu mogło zależeć na mieszkaniu się w jego życie. Posuwał się krok po kroku, wkładając szuflady na miejsce, zbierając dokumenty i odzież. W kącie sypialni znalazł album ze zdjęciami -- były podziurawione kulami dość dużego kalibru.

--Policja jest już w drodze -- oznajmiła Carole. -- Powiedzieli, żeby niczego nie dotykać.

--Za późno -- mruknął.

--Co zginęło?

--Nic -- odpowiedział. -- Włamywacze nie zabrali niczego: ani sprzętu stereo, ani wideo, ani kart kredytowych, ani biżuterii, którą kiedyś tu zostawiłaś... -- Przypomniał sobie o planie. Wrócił do pokoju dziennego i zaczął przewracać stosy papierów, choć wiedział, że i tak go nie znajdzie. -- Garvey -- szepnął.

--Nie rozumiem...

--Przyszedł po plan pływalni albo przysłał kogoś.

--Dlaczego? Przecież miałeś zamiar mu go dać.

Pokręcił głową.

--Sama ostrzegałaś mnie przed jego nieuczciwością...

--Ale nie sądziłam, że zrobi coś takiego.

--Ani ja.

Policja przyjechała i odjechała przepraszając, że w tej chwili nic nie mogą zrobić.

--Zdemolowali całe mieszkanie -- stwierdził oficer. -- Na dole nikogo nie ma...

--Nie. Wyjechali -- potwierdził Jerry.

--Obawiam się, że byli naszą ostatnią nadzieją. Mamy wiele podobnych zgłoszeń. Jest pan ubezpieczony?

--Tak.

--Nic nie możemy zrobić.

Taki obrót sprawy odpowiadał Jerry'emu. Wolał sam wyjaśnić to z Garveyem. Gdyby zajęła się nim policja, na pewno miałby przygotowane alibi.

--Co zrobisz? -- zapytała Carole, gdy zostali sami.

--Nie wiem. Nie ma pewności, że to był Garvey. A nawet jeśli, to jak mu to udowodnię?

--Nie wiem. Lepiej daj sobie z tym spokój -- radziła. -- Chcesz zostać tutaj czy idziemy do mnie.

--Zostajemy.

Uprzątnęli bałagan -- na tyle, na ile było to możliwe -- odwrócili materace na drugą stronę, znaleźli dwie całe poduszki i poszli do łóżka.

Chciała się z nim kochać, ale atmosfera nie sprzyjała amatorom. Pod wpływem zdenerwowania Jerry zrobił się szorstki, a to z kolei złościło Carole. Była spięta i niechętnie odpowiadała na jego pocałunki. Jej opór podniecał go jeszcze bardziej.

--Przestań -- powiedziała, gdy już miał w nią wejść. -- Nie chcę tego.

Ale on chciał. I to bardzo. Pchnął, zanim zdążyła ponownie zaprotestować.

--Jerry, powiedziałam: nie. Nic do niego nie docierało.

--Przestań.

Zamknął oczy. Powtórzyła żądanie -- tym razem z prawdziwą złością, ale naparł na nią jeszcze mocniej -- tak, jak prosiła go czasami, czując zalewającą ją falę ciepła. Próbowала go odepchnąć, jednak był o połowę cięższy niż ona. Wbijala mu w plecy paznokcie, szarpała za włosy, lecz jej protesty odnosiły wręcz przeciwny skutek, jakby ból sprawiał mu przyjemność. Był brutalny, choć bardzo dobrze wiedział, że Carole znienawidzi go za to.

Wreszcie osiągnął szczyt podniecenia i zsunął się z niej wyczerpany.

--Drań! -- powiedziała.

Plecy piekły go niemiłosiernie. Kiedy wstał, na prześcieradle zostały ślady krwi. W pokoju dziennym udało mu się znaleźć nienaruszoną butelkę whisky. Szklanki były nadtłuczone, ale nie lubił pić z butelki. Oparł się plecami o chłodną ścianę. Nie czuł ani wstydu, ani dumy. Drzwi wejściowe otworzyły się i zatrzasnęły. Stał, słuchając, jak Carole zbiega po schodach, a potem rozplakał się. W końcu poszedł do kuchni i upił się do nieprzytomności.

Gabinet Garveya robił wrażenie -- półki z książkami, dywan dobrany kolorystycznie do obić foteli i stylowe biurko. Jeżeli w nocy źle spał, tutaj mógł drzemać w swoim wygodnym, obitym skórą fotelu, albo snuć plany. Jednak nie tej nocy. Czymkolwiek by się nie zajął, jego myśli wciąż powracały na Leopold Road.

Pamiętał jak przez mgłę, co się tam wydarzyło, i był przerażony, bo zawsze szczylił się niezawodną pamięcią. Rzeczywiście, przypominał sobie twarze ludzi, których kiedyś spotkał, oraz setek swoich pracowników, choć nie wszystkich potrafił nazwać po imieniu.

Ale zdarzenia przy Leopold Road zaledwie sprzed trzydziestu sześciu godzin? Pamiętał tylko fragmenty -- otaczające go kobiety, sznur zaciskający się wokół jego szyi i to, że zaprowadziły go do izby, gdzie praktycznie stracił przytomność. A co się stało z dziwnymi stworzeniami poruszającymi się w mazi wypełniającej basen -- nieznanymi, budzącymi lęk? Z tamtych chwil pozostało mu uczucie upokorzenia i przerażenia. Nic więcej nie pamiętał.

Nigdy nie wierzył w opowiadki o potworach, ale teraz nie był pewny, co o tym myśleć. Nie lubił niejasnych sytuacji i musiał rozwikłać tajemnicę pływalni. Pierwszą rzeczą, którą zrobił,

było wysłanie Chandamana i Fryera do mieszkania Coloqhouna. Jeśli, jak przypuszczał, całe przedsięwzięcie było pułapką zaaranżowaną przez jego wrogów, to Coloqhoun był w to zamieszany. Na pewno nie był szefem, ale zdemolowanie mieszkania Garvey uważał za wystarczające ostrzeżenie dla jego pracodawców. Chandaman wrócił z planem pływalni, tak więc upiekli dwie pieczenie przy jednym ogniu. Garvey analizował leżący przed nim plan w nadziei, że przypomni sobie coś więcej, ale wkrótce zrezygnował rozczarowany.

Wstał i podszedł do okna. Za domem rozciągał się duży ogród, teraz pogrążony w mroku. Spojrzał na usiane gwiazdami niebo, ale wszystko, co mógł zobaczyć, to własne odbicie w szybie.

Stał jak zahipnotyzowany. Obraz zafalował mu przed oczyma i poczuł ukłucie w dole brzucha. Położył na nim dłonie. Drgał, jakby coś trzęsło się w jego wnętrzu. Myślami znów był na pływalni -- nagi i przerażony. Omal nie krzyknął. Odwrócił się od okna i rozejrzał po pokoju -- dywan, książki, meble -- to tylko nocny koszmar -- pomyślał. Jednak niepokój nie opuszczał go.

Minęło kilka minut, zanim mógł ponownie spojrzeć na swoje odbicie w szybie. Tym razem wspomnienia nie powróciły. Pragnął, by nigdy więcej nie powtórzyła się ta noc -- bezsenność i nawiedzona. Do świtu zostały niecałe dwie godziny. Nadchodził dzień ostatecznej rozprawy z panem Coloqhounem.

Jerry próbował dodzwonić się do Carole. Powinna już być w biurze, ale wciąż nie odbierała. W końcu zrezygnował i zajął się sprzątaniem mieszkania, które nadal wyglądało, jakby przeleciał przez nie tajfun. Po godzinie daremnego trudu dał sobie z tym spokój. Chaos odzwierciedlał jego samopoczucie -- absolutnie nie mógł zebrać myśli.

Koło południa zadzwonił telefon.

--Pan Coloqhoun? Pan Jerry Coloqhoun?

--Zgadza się.

--Nazywam się Fryer. Dzwonię w imieniu pana Garveya.

--Ach, tak?

Czy miało to być napawanie się cudzym nieszczęściem, czy groźba?

--Pan Garvey oczekuje od pana propozycji -- powiedział Fryer.

--Propozycji?

--Bardzo zainteresował go projekt dotyczący pływalni przy Leopold Road, panie Coloqhoun. Chciałby rozpocząć jego realizację.

Jerry nie odpowiedział. Wyczuwał coś złowróżbnego w głosie swego rozmówcy.

--Pan Garvey chciałby się z panem spotkać możliwie najprędzej.

--Tak?

--Przed pływalnią. Jest tam kilka architektonicznych szczegółów, które chciałby pokazać kolegom.

--Rozumiem.

--Odpowiada panu dziś po południu?

--Tak. Oczywiście.

--O 16.30?

Mniej więcej w ten sposób zakończyła się ta niespodziewana dla Jerry'ego rozmowa. Głos Fryera brzmiał spokojnie. Nie czynił żadnych konkretnych aluzji, ale coś w tym wszystkim nie

pasowało. Może policja miała rację -- włamania dokonali przypadkowi wandalie i zabrali plan pływalni sądząc, że nie wiadomo co tam znajdują? Jeszcze nie wszystko stracone -- pomyślał z optymizmem.

Podniesiony na duchu takim obrotem spraw ponownie zadzwonił do Carole. Tym razem nie przyjął przeprosin wyrecytowanych przez którąś z jej koleżanek, lecz zażądał, by połączyła go z Carole. W końcu odebrała telefon.

--Nie chcę z tobą rozmawiać, Jerry. Idź do diabła!

--Tylko wysłuchaj mnie...

Zanim zdążył dokończyć, odłożyła słuchawkę. Natychmiast zadzwonił jeszcze raz. Kiedy usłyszała głos Jerry'ego, wydawała się zakłopotana jego uporem.

--Po co w ogóle próbujesz? -- zapytała. -- Jezu Chryste! Po co?

Słyszał jej głos zdławiony łkaniem.

--Chcę, żebyś zrozumiała, jak podle się czuję. Pozwól mi to naprawić. Proszę, pozwól... Nie odpowiedziała.

--Nie odkładaj słuchawki. Proszę. Wiem, że to było niewybaczalne. Jezu, wiem...

Nadal milczała.

--Pomyśl o tym, dobrze? Daj mi szansę, żebym mógł wszystko naprawić. Zgoda?

--To nie ma sensu -- powiedziała bardzo spokojnie.

--Mogę zadzwonić do ciebie jutro? Westchnęła.

--Mogę?

--Tak. Tak. -- Prawie zawołała i odłożyła słuchawkę.

Do spotkania przed pływalnią zostały jeszcze trzy kwadranse, ale w połowie drogi zaskoczył go deszcz. Na ulicach były korki, bo wycieraczki nie nadążały i zbierały strumieni zalewających szyby i kierowcy z ledwością mogli dojrzeć światła jadących przed nimi pojazdów. Tak czy inaczej, spóźnił się. Nikt nie czekał na schodach pływalni. W dole ulicy zauważył zaparkowany samochód Garveya, ale nie było w nim szofera. Jerry znalazł wolne miejsce po drugiej stronie ulicy. Od drzwi pływalni dzieliła go niecałe pięćdziesiąt jardów, ale pokonując biegiem tę odległość przemókł do suchej nitki. Drzwi były otwarte. To pewnie dzieło Garveya, który chciał ukryć się przed ulewą. Jerry zajrzał do środka.

Ktoś był w hallu, lecz nie Garvey. Przy wewnętrznych drzwiach stał człowiek wzrostu Jerry'ego, ale o połowę cięższy. Na rękach miał skórzane rękawiczki.

--Coloqhoun?

--Tak.

--Pan Garvey czeka na pana w środku.

--Kim pan jest?

--Chandaman -- odpowiedział mężczyzna. -- Proszę wejść.

Na końcu korytarza paliło się światło. Jerry pchnął szklane drzwi i podążył w jego kierunku. Za sobą usłyszał, jak mężczyzna zamyka frontowe drzwi na klucz.

Garvey rozmawiał z innym mężczyzną, niższym od Chandamana, który trzymał latarkę. Kiedy Jerry pozdrowił ich, spojrzeli w jego stronę i zmienili temat. Garvey nie podał mu ręki.

--Spóźnił się pan -- powiedział tylko.

--Ulewa... -- zaczął Jerry, a potem pomyślał, że lepiej zachować wyjaśnienia dla siebie.

--Masz pecha -- powiedział mężczyzna. Jerry natychmiast rozpoznał jego głos.

--Fryer.

--We własnej osobie.

--Miło mi pana widzieć.

Uścisnęli sobie dłonie i w tym momencie Jerry uchwycił spojrzenie Garveya, który patrzył na niego jak na dziwoląga. Nie odzywał się przez dłuższą chwilę, jakby zmieszanie malujące się na twarzy Jerry'ego sprawiało mu przyjemność.

--Nie jestem głupi -- powiedział w końcu.

Zmieszanie ustąpiło miejsca zdziwieniu.

--Nie wierzę, żebyś był szefem tej kombinacji -- mówił dalej. -- Stać mnie na litość.

--O co panu chodzi?

--Litość... -- powtórzył Garvey -... ponieważ myślę, że manipulują panem. Prawda?

Jerry ściągnął brwi.

--Właśnie -- wtrącił Fryer.

--Nie sędzę, by wiedział pan, w jakie wpakował się kłopoty -- powiedział Garvey.

Jerry wyczuł stojącego za nim Chandamana i stracił pewność siebie.

--Ale nie sędzę też, żeby w pana sytuacji ignorancja była na miejscu -- kontynuował. -- To znaczy, jeśli pan nie zrozumiał, że nie wywinie się. Jasne?

--Nie mam pojęcia, o czym pan mówi -- zaprotestował Jerry. W świetle latarki twarz Garveya była wychudła i blada. Najwyraźniej potrzebował wakacji.

--O tym miejscu -- odpowiedział. -- Mówię o tym miejscu. O kobietach, które pan tu zamknął... na moją zgubę. O co w tym wszystkim chodzi, Coloqhoun? Chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi!

Jerry drgnął. Słowa Garveya przejęły go grozą, ale, jak usłyszał, ignorancja nic mu nie pomoże. Doszedł do wniosku, że pytanie będzie najmądrzejszą odpowiedzią.

--Widział pan tutaj kobiety?

--Raczej dziwki -- odpowiedział. W jego oddechu czuło się aromat cygar. -- Dla kogo pracujesz, Coloqhoun?

--Dla siebie. Interes, który proponuję...

--Zapomnij o swoim pieprzonym interesie. Nie obchodzi mnie twój projekt.

--Rozumiem -- powiedział Jeny. -- W takim razie ta rozmowa nie ma sensu. -- Cofnął się o pół kroku i zamierzał odejść, ale Chandaman przytrzymał go za kłapy prochowca.

--Jeszcze nie pozwoliłem ci odejść -- stwierdził Garvey.

--Mam sprawę...

--Więc będzie musiała poczekać -- przerwał mu Fryer. Jerry zrozumiał, że nie ma szans na ucieczkę ani l na zaatakowanie Garveya. Chandaman miał nad nim zbyt dużą przewagę, no i ich było trzech, a on sam.

--Nie lubię takich numerów -- powiedział Garvey. -- Lepiej zastanów się, zanim ulegniesz tragicznemu wypadkowi. Pozwól, że coś ci powiem... -- zbliżył się do Jerry'ego. -- Nie doniosę na ciebie. Chcę tylko wiedzieć, dla kogo pracujesz. Rozumiesz?

--Przecież powiedziałem już...

--Dla kogo pracujesz? -- W jego głosie zabrzmiała groźba. -- A może wolisz sam za to zapłacić?

--Chryste... Dla nikogo nie pracuję. I nic nie wiem o żadnych kobietach.

--Nie bądź uparty -- radził Fryer.

--Mówię prawdę.

--Chyba będziemy musieli mu pomóc -- powiedział Fryer, a Chandaman roześmiał się: --

Bardzo chętnie.

--Nazwiska albo połamiemy ci nogi -- zagrozili Garvey. Jerry wpadł w panikę. Wszystko, co mógł zrobić, to dalej powtarzać, że jest niewinny. Gdyby podał im fałszywe nazwiska, bardzo szybko zorientowaliby się w kłamstwie i tylko pogorszyłyby swoją sytuację.

--Sprawdź moje papiery uwierzytelniające -- prosił. -- Od początku pracuję sam. Nie mam współników, Garvey. Nigdy nie miałem.

Garvey zmierzył go zimnym spojrzeniem. Serce tłukło się w piersiach Jerry'ego jak oszalałe. Nagle Chandaman chwycił go za kołnierz i rzucił o ścianę. Oślepiony bólem osunął się na podłogę. Znow padło pytanie:

--Kto jest twoim szefem?

Potrząsnął głową. W tym samym momencie Chandaman wymierzył mu kopniaka w nerki.

--Jezu... Jezu... -- jęknął. Nie mógł powstrzymać łez płynących mu po policzkach. Fryer skierował na niego strumień światła.

--Nazwiska!

Kolejny kopniak -- tym razem w brzuch.

--Jeszcze raz -- poleciał Garvey i but Chandamana trafił w głowę Jerry'ego.

--Wstań, kiedy do ciebie mówię -- rozkazał Garvey.

Jerry drżał na całym ciele. Udał, że nie może się podnieść.

--Wstań! -- ryknął Fryer, pochylając się nad nim. Wtedy Jerry poczuł zapach, na który Carole zwróciła uwagę, gdy wchodzili do domu -- to była woda po goleniu Fryera. -- Wstań! -- powtórzył.

Jerry podniósł rękę do zmasakrowanej twarzy. Prawie nic nie widział, ale słyszał, że Fryer powstrzymuje Chandamana przed kolejnymi rękoczynami, a Garvey zapala właśnie cygaro. Wykorzystał ten moment nieuwagi.

Przyczał się w mroku i skoczył, wytrącając latarkę z ręki Fryera. Spadła na kafelki i zgasła.

Ciemność okazała się sprzymierzeńcem Jerry'ego -- rzucił się do ucieczki. Za plecami słyszał rozkazy Garveya oraz sprzeczki Fryera i Chandamana szukających latarki. Dłońmi namacał kant ściany i skręcił w następny korytarz. Nie miał szans na przedostanie się do frontowych drzwi. Jediną nadzieją było ukrycie się w labiryncie korytarzy.

Znow namacał kant ściany i skręcił w prawo, starając się zapamiętać drogę. Z trudem oddychał. Każdy krok wywoływał ostry ból przeszywający całe ciało. Omal nie krzyknął, kiedy pośliznął się na kafelkach.

Wciąż słyszał, niesiony echem, głos Garveya. Znaleźli latarkę i zamierzali dogonić go. Jerry przyspieszył kroku, choć i tak mieli nad nim przewagę. Jeśli, jak wspominała Carole, korytarze tworzą spiralę, to był zgubiony. Ból rozsadzał mu czaszkę, ale uparcie szedł naprzód i modlił się o ratunek.

--Szedł tędy -- stwierdził Fryer. -- Nie ma innej drogi.

Garvey skinął głową. Dla Cologhouna był to nie lada wyczyn -- w jego stanie i bez światła zapuszczać się w labirynt.

--Idziemy za nim? -- zapytał Chandaman. Najwyraźniej miał ochotę dokończyć masakry, którą zaczął. -- Nie mógł ująć daleko.

--Nie -- powiedział Garvey. Nic, nawet obietnica zemsty, nie mogła zmusić go do powrotu do tego piekła.

Fryer poszedł jeszcze kilka jardów w dół korytarza.

--Ciepło -- stwierdził.

Garvey zbyt dobrze wiedział, jak ciepło było w centrum labiryntu. Ten upał nie był naturalny, a przynajmniej nie w Anglii. W tym klimacie temperatury są umiarkowane -- dlatego bał się tajemniczego ciepła.

--Co robimy? -- dopytywał się Chandaman. -- Czekamy, aż wyjdzie?

Garvey zastanawiał się chwilę. Odór z korytarza odstraszał go. Na samą myśl o wejściu w głąb dostawał gęziej skórki. Instynktownie położył dłonie na brzuchu. Jego męskość skurczyła się z niepokoju.

--Nie -- powiedział nagle.

--Nie?

--Nie czekamy.

--On nie może zostać tam na zawsze.

--Powiedziałem, nie! -- To miejsce przerażało go. Na razie musiał zrezygnować z zemsty. Wiedział, że jeśli zostanie tu dłużej, straci nad sobą kontrolę.

--Możecie poczekać na niego w mieszkaniu -- powiedział do Chandamana. -- Prędzej czy później będzie musiał wrócić do domu.

--Szkoda -- mruknął Fryer, wycofując się do wyjścia. -- Lubię polowanie.

Może nie szli za nim. Już od kilku minut Jerry nie słyszał ich głosów. Bicie serca wróciło do normy. Uspokoił się, ale jednocześnie opuściły go siły.

Stał oparty o ścianę, a potem osunął się na podłogę. Przemoczone ubranie przyłgnęło do jego ciała. W korytarzu panował upał. Jerry'emu zaschło w gardle. Zdjął płaszcz, potem krawat i rozpiął koszulę, ale niewiele to pomogło.

Zamknął oczy i starał się zapomnieć o bólu. Wtem w pobliżu rozległy się kroki i głosy -- nie Garveya i jego kompanów, lecz kobiece. Natychmiast uniósł powieki, ale nic nie zauważył w otaczającej go ciemności.

Wstał i zdjął moką marynarkę. Szedł w kierunku, z którego dochodziły głosy. Potem zauważył dziwne światło. Temperatura wzrastała z każdą minutą -- zaczynał mieć halucynacje.

Wreszcie dotarł do zakrętu. Światło wydało mu się jaśniejsze. Jeszcze jeden zakręt i znalazł się w małej, wyłożonej kafelkami izbie. Z trudem łapał oddech, jak ryba wyjęta z wody. Szedł z wyciągniętymi przed siebie rękoma. Nagle pośliznął się, upadł i stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, nadal leżał na podłodze, a w drzwiach stała naga dziewczyna. Jej skóra błyszczała, jakby była naoliwiona. Na jej piersiach i udach zauważył smugi zakrzepłej krwi, ale na pewno nie była to jego krew.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Nie potrafił ukryć zmieszania. Uniósł głowę, by lepiej jej się przyjrzeć. Wciąż uśmiechając się, ruszyła w jego kierunku. Dopiero teraz zauważył, że za nią stały inne. To kobiety, o których wspominał Garvey -- uświadomił sobie Jerry.

--Kim jesteś? -- zapytał, gdy dziewczyna pochyliła się nad nim. Kiedy uważnie lustrowała

jego zwinięte z bólu ciało, uśmiech znikł z jej twarzy.

Próbował usiąść, ale zdrętwiałe ramiona nie wytrzymały obciążenia i z powrotem osunął się na posadzkę. Kobieta nie odpowiedziała na pytanie ani nie próbowała mu pomóc. Tylko patrzyła na niego, jakby była w transie. Jerry czuł, że znów traci przytomność. Upał, ból i to nagle spotkanie było ponad jego siły. Pozostałe kobiety zniknęły w ciemności. Izba wydawała mu się magicznym pudełkiem, dopóki jego uwagi nie przyciągnęła dziwna istota. Na jej nieme polecenie Jerry wszedł w hipnotyczny trans i poczuł dotyk jej skóry, jej bezkształtnego ciała... Był jej. Zatapiała go w swoich oczach i pieściła rękami. Owijała go wokół swego brzucha i miękkiego grzbietu. Potem złożyła go na swym łonie i wprowadziła jego nabrzmiałego członka do gorącej pochwy, aż doprowadzająca do szału rozkosz przywróciła Jerry'ego do życia. Uświadomił sobie, że jego ciało spoczywa w objęciach wodnistego stworzenia, ale zanim zdążył przyjrzeć się temu fenomenowi, znów stracił przytomność.

Ciało nie potrzebuje świadomości. Procesy napełniania i opróżniania, pompowania krwi i oddychania są zakodowanymi odruchami organizmu. Świadomość jest potrzebna tylko wtedy, gdy jeden z tych odruchów zostanie zakłócony. W przypadku Coloqhouna trwało to zaledwie kilka minut, ale kiedy się ocknął, w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest i co się dzieje.

Kobiety wzięły go na ręce. Zdał sobie sprawę, że niosą go wzdłuż krawędzi dużego basenu. Wciągnął w nozdrza dziwny zapach. Kątem oka zauważył fosforyzującą maź wypełniającą basen, a w niej poruszające się bezkształtne cienie.

Chcą mnie utopić -- pomyślał. Wyobraził sobie wodę wypełniającą mu usta, cienie chwytające go za gardło i ściągające na samo dno. Ciałem Jerry'ego wstrząsnęły konwulsje.

Poczuł dłoń spoczywającą na jego twarzy. Palce były cudownie chłodne.

--Spokojnie -- szepnął ktoś.

Miał wrażenie, że wyrwał się z nocnego koszmaru i zapada w błogi sen.

Dłoń rozplynęła się w powietrzu. Rozejrzał się po mrocznej izbie w poszukiwaniu swego wybawcy. Z rur wychodzących ze ściany tryskały fontanny wody. Drobne kropelki przyjemnego prysznica unosiły się w powietrzu. Jerry usiadł. Za kaskadami wody zauważył jakiś ruch; cień był zbyt rozległy, by mógł należeć do człowieka. Próbował rozróżnić jego kształty. Czy to zwierzę? Ostry zapach sugerował mu, że znajduje się w menażerii.

Jerry, nie spuszczać z oka dziwnego współlokatora, starał się wstać nie zwracając na siebie uwagi.

Jednak nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Wszystko, co był w stanie zrobić, to czolgać się.

Czuł, że jest przytomny i że spogląda na niego ciemna, rozleniwiona kreatura. Ciało Jerry'ego przeszył dreszcz. Nie mógł oderwać od niej oczu. A potem, kiedy przyjrzał się jej dokładnie -- stwierdził, że fosforyzuje i zmienia okropny kształt, jakby chciała mu się przypodobać.

Nie miał wątpliwości, że ta kreatura jest rodzaju żeńskiego, choć nie zauważył typowych narządów płciowych. Fizyczna powierzchnia istoty zmarszczyła się i ponownie zmieniła kształt. Patrząc na nią Jerry pomyślał o szkle, które pod wpływem temperatury staje się półpłynne i zachowuje się podobnie, jak ten fenomen. Nie miała głowy ani kończyn -- w pełnym tego słowa znaczeniu -- ale zachowywała idealne kontury ciała ludzkiego, które rozplywały się, a potem znów pojawiały -- udoskonalone.

Poruszając się wydawała ciche dźwięki, jak mlaskanie czy westchnienia. Jerry domyślił

się, że są adresowane do niego i że powinien na nie odpowiedzieć, Wtedy usłyszał kroki i do izby weszła młoda kobieta,

--Nie bój się -- powiedziała.

--Nie boję się -- odpowiedział i było to zgodne z prawdą. Piękno jej ciała paraliżowało go, lecz nie budziło w nim strachu. -- Kim jesteś? -- zapytał.

Kobieta stanęła blisko niego. Jej skóra, skąpana w świetle emitowanym przez kreaturę, połyskiwała złotem. Mimo sytuacji, w której się znalazł -- a może właśnie z jej powodu -- Jerry poczuł przeszywający go dreszcz pożądania.

--To Madonna. Dziewicza Matka.

--Matka? -- szepnął i odwrócił głowę, by przyjrzeć się jej ponownie. Źródło pulsującego światła znajdowało się w centrum ciała Madonny. Usłyszał kolejne kroki, potem szepty, śmiech i aplauz.

Madonna rodziła. Jej nabrzmiałe ciało było otwarte, a w powietrzu unosił się odór dymu i krwi. Dziewczyna krzyknęła, jakby odczuwała ból zamiast Madonny. Aplauz nagle przeszedł w spazm i dziecko -- coś między ośmiornicą a jagnięciem bez sierści -- upadło na podłogę. Woda tryskająca z rur ocuciła je, jak klaps wymierzany każdemu noworodkowi. Miało tylko jedno lśniące oko. Dziewczyna stojąca obok Jerry'ego podeszła i wzięła je na ręce. Bezzębne usta natychmiast odnalazły jej pierś. Dziewczyna nie wyglądała na zaskoczoną ani nie protestowała.

--To nie jest człowiek -- mruknął Jerry. Nie był przygotowany na to, że ujrzy potworka i to tak inteligentnego. -- Czy wszystkie... wszystkie dzieci są takie, jak to?

Zastępcza matka spojrzała czule na maleństwo spoczywające w jej ramionach.

--Żadne nie jest takie samo -- powiedziała. -- Karmimy je. Kilka umarło, a te, które przeżyją, idą własną drogą.

--Na Boga! Gdzie?

--Do wody. Do morza. W sny.

Łagodnie szeptała do wpatzonego w nią potworka.

--A ojciec?

--Ona nie potrzebuje męża -- wyjaśniła. -- Jeśli tylko zapragnie, może rodzić dzieci w fontannach wody.

Obejrzał się na Madonnę. Emitowane przez nią światło zbladło, jakby wyczerpana zapadła w sen. Tymczasem matka i dziecko zniknęli. Właściwie odeszły wszystkie, prócz jednej -- tej, którą ujrział pierwszą. Uśmiechnęła się jak wtedy i usiadła na drugim, końcu izby. Niecierpliwie pożerał wzrokiem jej piękne ciało.

--Czego się boisz? -- zapytała.

--Nie boję się.

--Więc dlaczego do mnie nie przyjdiesz?

Wstał posłusznie i podszedł do niej. Obecność Madonny nie krępowała go. Prawie o niej zapomniał. Jeśli w ogóle go widziała, to niewątpliwie uznała za śmiesznego. Jezu! Nawet on sam tak o sobie myślał. Wciąż jeszcze miał nadzieję, że nie jest zgubiony.

Jutro to wszystko -- woda, dzieci, piękne kobiety kuszące go swoją nagością -- okaże się snem. Jutro pomyśli, że umarł na jeden dzień i odwiedził łaźnię dla aniołów. Teraz mógł robić, co mu się podoba, i korzystać z okazji.

Kochali się -- on i uśmiechnięta dziewczyna. Kiedy potem próbował przypomnieć sobie

szczegóły aktu -- nie był pewny, czy stanął na wysokości zadania. Zdał sobie sprawę, że nie pamięta jej pocałunków ani samego stosunku -- tylko mleko sączące się z jej piersi i szept: „Nigdy... nigdy”, kiedy leżeli spleceni w miłosnym uścisku. Potem nagle zmieniła się -- nie odezwała się ani nie uśmiechnęła. Po prostu wstała i wyszła. Jerry założył brudne spodnie i zostawił Madonnę spoczywającą za wodną zasłoną.

Krótki korytarz prowadził do hali z dużym basenem. Jak już wcześniej zauważył, gdy niosły go przed oblicze Madonny, wypełniała go fosforyzująca, półpłynna maź, w której bawiły się jej szkaradne dzieci. Kobiety czuwały nad ich bezpieczeństwem, nie zwracając na niego uwagi. Drzwi na zewnętrzny korytarz były otwarte. Wyszedł i ledwie zdążył zrobić kilka kroków, gdy zatrzasnęły się za nim.

Za późno. Ezra Garvey wiedział, że powrót na j pływalnię był błędem, ale żądza zemsty zagłuszyła j rozsądek. Krzyk Coloqhouna przypominał mu jego drugą wizytę tutaj, kobiety i to, co z nim wyprawiały. Pamiętał swoje przerażenie, gdy odkrył ich prawdziwą naturę. Był przekonany, że nafaszerowały go narkotykami, a kiedy stracił przytomność, wykorzystwały w ohydny sposób. Karmiły go piersią, jak dziecko, potraktowały go jak żywą zabawkę. Wspomnienia wprawiły go w zakłopotanie. Gdyby opowiedział to komuś, z pewnością wyśmiałyby go, a przecież było w tym coś przerażającego -- izba, ściana wody tryskająca z rur, potworek, ciemność i fosforyzująca maź...

Nadszedł czas, by przerwać ten koszmar. Był wpływowym człowiekiem. Mógł robić, co mu się żywnie podoba. Dochodziła 23.00. Garvey telefonicznie wydał polecenia. Cokolwiek zamieszkiwało pływalnię przy Leopold Road, nie miało prawa dłużej istnieć. Zadowolony z nocnych manewrów, poszedł spać.

Po powrocie ze spotkania z Coloqhounem wypił pół butelki wódki, zanim się uspokoił, i miał już nieźle w czubie. Nawet nie próbował się rozebrać. Położył się w ubraniu i zapadł w kamienny sen. Kiedy się obudził, była godzina 1.30.

Usiadł i jęknął. Miał potwornego kaca -- ból głowy prawie go oślepił. Przytrzymując się ścian, dowlókl się do kuchni. Nalał sobie szklankę mleka, usiadł przy stole i próbował zmusić się do wypicia, ale nie chciało mu przejść przez gardło. Jego spojrzenie spoczywało na dłoni trzymającej szklankę. Widział ją jak przez mgłę. Nie wyglądała na jego własną -- była za delikatna, za gładka. Zadrżał i odstawił szklankę z takim impetem, że mleko wylało się na stół i spłynęło na podłogę.

Wstał, a odgłos kapiącego na kuchenne kafelki mleka przywołał wspomnienia. Garvey wpadł w panikę. Nie chciał być sam. Podniósł słuchawkę i usiłował Przypomnieć sobie numer telefonu któregoś z przyjaciół, ale nie mógł zebrać myśli. Ogarniało go coraz większe przerażenie. Czy to początki obłądzenia? Złudzenie zmienionej ręki, nienaturalne drżenie przebiegające jego ciałem... Próbował rozpiąć koszulę i w tym momencie jego dłoń znów zmieniła kształt -- na jeszcze bardziej absurdalny niż przedtem. Palce brutalnie szarpały koszulę. Garvey wmawiał sobie, że to wszystko nie może być prawdą. To niemożliwe!

Ale fakty pozostawały faktami. Dotykał ciała, które nie było już jego własnym. Widział, jak przeistacza się w galaretowatą substancję i zmienia kształt.

Z przerażeniem uświadomił sobie, że upodabnia się do pięknych kobiet z pływalni. Tamte męki były niczym w porównaniu z obecnymi. Nie był sobą! Co one zrobiły z jego ciałem, gdy leżał nieprzytomny?!

Nie mógł powstrzymać lez. Zaczął nerwowo rozpinąć pasek u spodni. Boże! Błagam -- lkał -- błagam, pozwól mi znowu być sobą. Łzy obfitym strumieniem spływały mu po policzkach. Otarł je i spojrzął na swoje genitalia. Widząc, że też uległy deformacji, zawył, aż zadrżały szyby w oknach.

Garvey nie był już prawdziwym mężczyzną. Według prawa właściwie nie istniał. Nie był pewien, jak tę zmianę odbiorą współnicy, ale nie martwił się tym zbyt. W tej chwili wiedział tylko, że umrze ze wstydu, jeśli cała sprawa wyjdzie na jaw. Wrócił do kuchni, wyjął z szuflady duży nóż do mięsa, a następnie ubrał się i wyszedł z domu.

Opanował się na tyle, że mógł bezpiecznie jechać pustymi ulicami w dół rzeki. Przy moście Blackfriars zatrzymał samochód i zszedł na nabrzeże. Tej nocy wody Tamizy były wzburzone, na powierzchni tworzyły się białe grzywy.

Dopiero teraz zastanowił się, po co tu przyszedł. Był bogatym i wpływowym człowiekiem. Co kazało mu tu przyjść? Zachowywał się, jak lunatyk kroczący przed siebie bez celu. Ale na jak długo będzie świadomy tego, co się z nim dzieje? Wiedział, że prędzej czy później znów pójdzie gdzieś bez wyraźnego powodu. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Chłodny wiatr i deszcz ocuciły go nieco. Przypomnił sobie wszystko: łaźnię, fontanny wody tryskające rur, podłogę wyłożoną kafelkami, upał, kobiety śmiejące się i wiwatujące. A w końcu istotę żyjącą za ścianą wody, kreaturę bardziej odrażającą niż te, które pamiętał ze swych nocnych koszmarów. Zgwałciły go! -- przypomniał sobie brutalny akt; kiedy stracił przytomność, te dziwki dobrały się do niego. I o to nie miał do nich żalu. Ale co jeszcze mu zrobiły, co jeszcze? Ostatecznie poczynił już pierwsze kroki, by zniszczyć ich kryjówkę. Teraz mógł unicestwić to, co z niego uczyniły posługując się czarami.

Wiatr był zimny, ale jego krew gorąca. Gdy przeciął żyłę, trysnęła szkarłatnym strumieniem. Tamiza przyjęła ją z entuzjazmem. Błyskawiczna utrata krwi osłabiła Garveya. Nie martw się -- pomyślał -- osuwając się na kolana i staczając do wody -- nikt się o tobie nie dowie... tylko ryby. Gdy spienione fale rzeki zamykały się nad nim, modlił się, by śmierć nie była kobietą.

Zanim Garvey obudził się w nocy i stwierdził, że jego ciało zbuntowało się, Jerry opuścił pływanię, wsiadł do samochodu i zamierzał wrócić do domu. Jednak nie był przygotowany na kolejną niespodziankę. Oczy mu łzawiły i miał przytępiony refleks. Mało brakowało, a spowodowałby wypadek. Wtedy zaparkował samochód i dalej poszedł pieszo. Po ostatnich przeżyciach pozostało niejasne wspomnienie, choć minęła dopiero niecała godzina. Głowę miał pełną dziwnych skojarzeń. Pogrążony w marzeniach, szedł ulicami. Do rzeczywistości przywołał go widok Chandamana i Fryera, czekających w jego sypialni.

Nie czekał, aż go złapią, lecz odwrócił się na pięcie i uciekł. Znudzeni długim oczekiwaniem, opróżnili gospodarzowi cały barek i zanim zdążyli się zorientować, Jerry był już na ulicy.

Poszedł do Carole, ale nie było jej w domu. Postanowił poczekać. Prawie pół godziny siedział na schodach, a kiedy wrócił sąsiad z góry, Jerry skorzystał z jego zaproszenia. Wypił filiżankę gorącej herbaty i, nie chcąc nadużywać gościnności, poszedł do śródmieścia, gdzie zostawił samochód. Zebrało się tam mnóstwo ludzi.

--Dokąd idziecie? -- pytał ich.

--Obejrzeć czarownice -- odpowiadali.

--Jakie czarownice? -- chciał wiedzieć, ale nikt nie zwracał już na niego uwagi. Szedł za innymi. Zapadał zmierzch i ulice rozjaśniało tylko słabe światło latarni. Ze zdziwieniem stwierdził, że tłum podąża w kierunku pływalni. Słyszał odgłos podobny do plusku fal rozbijających się o morski brzeg. Skręcił w Leopold Road. Skąd ten plusk? -- zastanawiał się. Wciągnął w nozdrza powietrze nasycone wilgocią i solą, jakby znajdował się blisko morza, a nie rzeki. Jerry był coraz bardziej zdziwiony. Zatrzymał się i patrzył, jak ulicą płynie woda. Ludzie zbierali się przy schodach pływalni. Wkrótce Jerry stał już po kostki w wodzie, Ryby -- drobne, srebrzyste strzałki -- płynęły z jej prądem.

--Jerry? -- Carole stała na schodach i patrzyła na niego zaniepokojona. -- Co się z tobą, do diabła, działo?

Opowiedział jej o zasadzce zorganizowanej przez Garveya, o tym, jak go zbili, a potem czekali na niego j w domu. Skwitowała to chłodną sympatią. Nie powiedział jej nic o ucieczce, ani o kobietach, ani o tym, co widział w łaźni. Nie potrafił jej tego wyjaśnić, nawet gdyby chciał -- z każdą godziną tracił pewność, że w ogóle cokolwiek widział.

--Chcesz tu zostać? -- przerwała jego wyjaśnienia.

--Bałem się, że nigdy nie zapytasz.

--Kąpiel dobrze by ci zrobiła. Jesteś pewien, że nic ci nie złamali?

--Myślę, że czułbym.

Kości miał całe, ale nie obyło się bez siniaków, Dopiero teraz potłuczone ciało dało o sobie znać. Kiedy, po półgodzinnej kąpieli, wyszedł z wanny i przejrzał się w lustrze, stwierdził, że wygląda okropnie.

--Jutro musisz iść na policję -- powiedziała Carole, gdy leżeli już obok siebie. -- Myślisz, że aresztują tego drania, Garveya?

--Chyba tak.

Pochyliła się nad jego zapuchniętą twarzą i pocałowała go delikatnie.

--Chcę cię kochać -- powiedziała. -- Dlaczego tak mi to utrudniasz?

--Ja? -- przymknął oczy. Chciała wsunąć rękę pod płaszcz kąpielowy, który wciąż jeszcze miał na sobie -- nigdy nie mogła pojąć jego nieśmiałości, ale uważała ją za czarującą -- i pieścić go. Kiedy syknął z bólu, dając jej do zrozumienia, że nie jest w formie, uszanowała jego wolę.

--Zgaszę światło -- powiedziała, ale Jerry już spał.

Prąd nie był życzliwy dla Ezry Garveya. Porwał jego ciało i bawił się nim, jak dziecko bawi się obiadem, na który nie ma apetytu. Uniósł je kilka mil w dół rzeki i wyrzucił na mieliznę przy brzegu. Nie krwawiło już.

Jerry'ego obudził odgłos wody puszczanej w łaźni. Okna sypialni były zasłonięte, więc trudno było określić, która może być godzina. Obolałe ciało utrudniało każdy, najmniejszy nawet ruch. Cekał go ciężki dzień -- musiał pójść na policję i wyjaśnić wydarzenia, których wcale nie był pewien. Najbardziej obawiał się pytań. Plusk wody drażnił go. Usiadł i odrzucił prześcieradło, którym był przykryty.

Pierwszą myślą, gdy spojrział na siebie, było, że jeszcze się nie obudził, że nadal leży z głową na poduszce i śni o własnym przebudzeniu. Śni, że ma piersi i miękkie łono... To nie było jego ciało! Jego było innej płci!

Próbował obudzić się z koszmarne snu, ale nic się nie zmieniło. Był kobietą! I to przerażoną własnym wyglądem.

Plusk wody przypomniawszy mu Madonnę i kobietę, z którą się kochał. Teraz rozumiał, co miały oznaczać słowa, które czule szeptała mu do ucha: „Nigdy... nigdy...” Tak, wtedy po raz ostatni współżył jako mężczyzna. Były w zмовie -- Madonna i ta kobieta. Za chwilę doprowadzającego do szału szczęścia zapłacił własną męskością. Ukaraly go! Czy nic już nie da się zrobić? Ogarniała go rozpacz.

Wstał i dotykał dłońmi swego nowego ciała. Nie bał się go, ale i nie wpadał w zachwyт. Musiał pogodzić się z faktami i zacząć życie od nowa -- nie miał wyboru.

Musiał istnieć jakieś logiczne wytłumaczenie tego, co się stało. A jeśli tak, to powinien wrócić na pływalnię i znaleźć je. Musiał dotrzeć do gorącego serca spirali i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodził. Zdarzają się jeszcze cuda na świecie! Moc wywracająca ciało na drugą stronę bez przelewu krwi... To okropne!

Z łazienki ciągle dochodził plusk wody. Podeszedł do drzwi. Nie były zamknięte, więc otworzył je. Carole siedziała na brzegu wanny z rękami przyciśniętymi do twarzy. Kiedy usłyszała, że wszedł, wstrząsnęła nią dreszcz. Nie spojrzała.

--Widziałam... -- powiedziała. Głos jej drżał. -- Czy ja zwariowałam? -- Nie.

--Więc, co się dzieje?

--Nie wiem -- odpowiedział. -- Czy wyglądam aż tak strasznie?

--Podle! -- Rozplakała się. -- Inaczej. Nie chcę na ciebie patrzeć. Słyszysz? Nie chcę widzieć!

Nie próbował przekonywać Carole. Nie chciała go znać i miała do tego pełne prawo.

Wycofał się do sypialni, założył brudne, poszarpane ciuchy i postanowił natychmiast wrócić na pływalnię.

Szedł nie zauważony, albo raczej ludzie, nie wiedząc o jego przemianie, nie zwracali na niego uwagi. Czuł się okropnie.

Kiedy dotarł na Leopold Road, na schodach stało kilku mężczyzn. Jerry nie słyszał ich, ale rozmawiali o zniszczeniu budynku. Wszedł do sklepu po przeciwnej stronie ulicy i odczekał, aż odejdą, a potem spokojnie podążył do frontowych drzwi. Obawiał się, że mogli zmienić zamki, ale na szczęście nie zrobili tego. Wszedł do hallu i zamknął za sobą drzwi.

Nie wziął ze sobą latarki, więc musiał zdać się na własny instynkt. I nie zawiódł go -- kilka minut później znalazł marynarkę, którą wczoraj zgubił uciekając. Kilka zakrętów i już był w izbie, gdzie po raz pierwszy ujrzał uśmiechającą się zalotnie dziewczynę.

Szybkim krokiem przemierzył izbę i -- stracił wszelką nadzieję. Basen, wypełniony po brzegi brudną wodą, był opustoszały. Odeszły -- pomyślał. Matki, dzieci... Niewątpliwie Madonna również zniknęła.

Sprawił łazienkę. Rzeczywiście, odeszła. Nagle zdał sobie sprawę, że pomieszczenia wyglądają jakby inaczej. Były zdewastowane! Wszędzie wały się obtłuczone ze ścian kafelki, rury wyrwane ze ścian... Gdzieś zauważył plamy krwi.

W pierwszej chwili myślał, że to jego niespodziewane wtargnięcie wypłoszyło je z kryjówek. Cokolwiek było powodem, czarownice odeszły, a jego -- dzieło swoich przeklętych czarów -- zostawiły na łaskę losu.

Pogrążony w ponurych myślach, spacerował wzdłuż basenu. Powierzchnia wody nie była całkiem spokojna -- pulsowała, jakby gdzieś w jej otchłani biło serce. Wpatrzył się w nią. Nagle coś zawirowało i poziom wody zaczął się gwałtownie obniżać, jakby ktoś otworzył zawór

wypustowy. Czy tutaj schroniła się Madonna? Szybkim krokiem obszedł basen, uważnie oglądając kafelki. Tak! Uciekając zostawiła za sobą smugę mazi. Dzięki temu mógł ją odnaleźć.

Nie wiedział dokładnie, gdzie wypuszczano wodę z basenu. Pewnie do kanalizacji, potem do rzeki, a w końcu do morza. Śmierć przez utopienie. Wraz z zagładą czarownic, ich magia powinna stracić moc, ale chyba nic z tego. Wody ubywało w błyskawicznym tempie.

Nie miał nic do stracenia -- skoczył. Wir wciągnął go natychmiast. Prąd ścigał go coraz niżej i niżej, aż uderzył o dno basenu i wśliznął się do kanału. Otworzył oczy, ale nic nie mógł dojrzeć. Wir rzucał nim we wszystkie strony.

Wtem zauważył przed sobą światło. Nie potrafił określić odległości, ale co za różnica, i tak brakowało mu już powietrza. A jeśli utonie, zanim dopłynie do światła, i tak zakończy się jego śmiertelna podróż? Śmierć była niczym więcej jak snem, w którym żył -przez całe lata. Oczyma wyobraźni oglądał to, co bezpowrotnie utracił -- ziemię, słońce, gwiazdy... Otworzył usta, jakby chciał krzyknąć, a światło było coraz bliżej i bliżej...

DZIECI KRZYKU

Dlaczego Vanessa nie mogła oprzeć się nie oznaczonej drodze, prowadzącej Bóg jeden wie, dokąd? Uważała, że ma nosa, choć już wiele razy dzięki niemu wpakowała się w kłopoty. Kiedyś całą noc błądziła w Alpach; epizod w Marrakech omal nie skończył się gwałtem; nie wspominając już o przygodzie z uczniami polykacza mieczy na okropnych peryferiach Manhattanu. Te gorzkie doświadczenia powinny ją czegoś nauczyć, ale kiedy miała wybrać między drogą oznaczoną a nie oznaczoną -- bez wahania wybrała tę ostatnią. Droga wiodła wzdłuż wybrzeża Kithnos. Co mogło być przyjemnego w samotnej jeździe przez pustkowie? W najlepszym wypadku miała szansę natknąć się na kozy wypasane w pobliżu i ujrzeć strome, skaliste wybrzeże Morza Egejskiego. Ale ten sam widok mogła podziwiać z okien hotelu w zatoce Merikha -- w tym celu nawet nie musiała wstawać z łóżka. Na krzyżówce zauważyła drogowskazy: jeden do Lutry, gdzie znajdowały się ruiny weneckiego fortu, i drugi do Driopis. Słyszała, że obie wioski są urocze, ale nie odwiedziła ani jednej, bo zdaniem Vanessy, z powodu zbyt poważnie brzmiących nazw traciły na atrakcyjności. Droga, którą jechała, nadal pozostawała bez nazwy. Krajobraz zmienił się.

Nigdzie nie zauważyła kóz, a rzadko rosnące na polach warzywa wyglądały dość marnie. Wyspa nie była rajem. Niepodobna do Santorini z malowniczym wulkanem, albo do Mykonos z pięknymi plażami i luksusowymi hotelami -- Kithnos niczym nie przyciągała turystów. Dlatego przyjechała tu Vanessa - chciała uciec jak najdalej od ludzi, a ta droga dawał jej upragniony azyl.

Nagle wśród skał rozległ się krzyk, którego nie mogła zignorować. Ktoś wzywał pomocy. Zatrzymała samochód i zgasiła silnik. Przeróżliwy krzyk powtórzył się, ale tym razem po nim nastąpił strzał, cisza i drugi strzał.

Nie namyślając się, otworzyła drzwi samochodu i wyszła na drogę. Powietrze było przesycone zapachem kwiatów i ziół, którego przedtem nie czuła. Wtem padł trzeci strzał i ujrzała sylwetkę -- stała zbyt daleko, by ją rozpoznać, nawet gdyby to był jej mąż -- wdrapującą się na wzniesienie, aby zaraz za nim zniknąć. Po chwili ukazali się prześladowcy. Padł kolejny strzał. O ile mogła się zorientować, strzelali w powietrze, a nie do mężczyzny. Raczej ostrzegali go, by się zatrzymał, niż chcieli zabić. Nie widziała ich dokładnie, ale wydawało jej się, że prześladowcy ubrani byli w luźne, czarne kombinezony.

Wsiadając do samochodu wahała się, czy powinna po prostu odjechać, czy dogonić ich i dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. Wystrzały nie brzmiały zbyt zachęcająco, ale czyż mogła biernie patrzeć na coś takiego?! Mężczyźni w czerni podążali za swą ofiarą. Obserwowała ich przez moment i ruszyła w kierunku wzniesienia, za którym zniknęli.

Ukształtowanie terenu okazało się bardzo zwodnicze. Wszystkie wzniesienia były do siebie podobne. Przez dziesięć minut błądziła po polach, ale nigdzie nie zauważyła śladu mężczyzn. Krzyki i wystrzały ucichły- Słyszała tylko wrzask mew i cykady. Rozejrzała się i stwierdziła, że nie wie, gdzie jest.

--Do diabła! -- zakląła. -- Dlaczego ja to robię?

Wybrała najwyższe wzniesienie, z którego mogła rozejrzeć się po okolicy. Jednak zanim tam dotarła, straciła z oczu samochód. Z optymizmem pomyślała, że jeśli dojrzy skaliste wybrzeże, to już z łatwością odnajdzie drogę, na której go zostawiła, a potem wróci po własnych śladach i wszystko będzie w porządku. Ale wzniesienie okazało się niewiele wyższe

od pozostałych i plany Vanessy speszły na niczym. Gdzie nie spojrziała -- wszędzie identyczny krajobraz zalany promieniami popołudniowego słońca. Zdesperowana, oblizła palec i wystawiła go na wiatr, wnioskując, że powinien wiać od morza. Ledwie wyczuwalny -- był jedyną wskazówką, jaką miała.

Jednak po pięciominutowej wędrówce ujrzała nie swój samochód, lecz kompleks białych budynków otoczonych murem, z wieżą pośrodku. Przyszło jej na myśl, że może właśnie tutaj dotarli mężczyźni, co było wystarczającym powodem, by ominąć to miejsce z daleka. Ale bez czyjejś pomocy nie miała szans na odnalezienie samochodu i powrót do hotelu. Poza tym bliskość budynków uspokajała ją. Wokół rozciągały się ogrody, w których mogła znaleźć przynajmniej cień, a może nawet owoce -- była spragniona i głodna. Ruszyła w kierunku bramy.

Jedno skrzydło było uchylone, więc weszła do środka. Zarośnięte drzewami i krzewami podwórze przecinały liczne chodniczki. Z ulgą wkroczyła w zacienioną alejkę i podążyła do jednego z budynków. Tajemnicze miejsce obudziło w niej żądzę przygód. W niszy zauważyła figurę Marii Dziewicy z małym Jezusem na ręku. Patrząc na nią, Vanessa poczuła się bezpieczniej. To musi być jakieś sanktuarium -- pomyślała.

Nie była wierząca już od wczesnej młodości. Od dwudziestu pięciu lat nie przekroczyła progów kościoła, a teraz, mając lat czterdzieści jeden, szukała w nim schronienia. Tak czy inaczej -- zamierzała spytać o drogę i zaraz wyjść.

Kiedy spojrziała na zalane promieniami słońca mury, wydawało jej się, że czuje ich świadomość, tętniące w nich życie. To były skutki przebywania z Ronaldem, wysłuchiwanie jego teorii na temat szóstego zmysłu. Jego śmieszna zazdrość zniszczyła ich małżeństwo. Rozstali się przed trzema miesiącami, bo nie mogła dłużej znieść ciągłego szpiegowania. Taktyki Ronalda nie powstydziliby się nawet agenci Białego Domu. Wtem poczuła, że ktoś ją obserwuje. Jakiś cień zamajaczył w wąskim oknie, jednak nikt nie zapytał jej, co tu robi. Może nie wolno im mówić -- pomyślała -- i będę musiała dogadać się na migi? Lepsze to niż nic.

Gdzieś w pobliżu usłyszała bieżnię, a po chwili szcęk zamykanej bramy. Ze strachu serce zamarło jej w piersiach. Czowała, że nogi ma jak z waty.

Poszła w kierunku, z którego dochodziły odgłosy bieżni. Kątem oka zauważyła, że głowa figury obróciła się nieznacznie. Jej niebieskie oczy podążały za Vanessą, która zatrzymała się nasłuchując. W bocznej alejce pojawiły się trzy zakonnice w czarnych habitach. Tylko brody i połyskujące pistolety zdradzały, że nie są służebnicami Chrystusa. Chciało jej się śmiać z tej niekonsekwencji, ale w tym samym momencie skierowali na nią broń.

Najwyraźniej nie mieli ochoty na wysłuchiwanie wyjaśnień. Zresztą widok uzbrojonych mężczyzn przebranych za zakonnice przeraził ją do tego stopnia, że i tak nie mogła wykrztusić ani słowa.

Trzy święte „siostrzyczki” związały ją i dokładnie przeszukały. To jeszcze mogła znieść, ale modliła się, by wreszcie odłożyły broń. Wyglądało na to, że stawianie oporu nie ma sensu. Kiedy zakończyli rewizję, jeden z mężczyzn zaprowadził ją do małego pokoju i zamknął. Czowała się, jak Alicja zagubiona w Krainie Czarów i marzyła o powrocie do Chicago.

--Chyba nastąpiła pomyłka -- powiedział mężczyzna z obfitym wąsem. Nie miał nic wspólnego z zakonem. Znajdowali się w jego gabinecie. Siedział na biurku i patrzył na nią. Ubrany był w białą koszulę, krawat i spodnie na szelkach. Miał dziwny akcent. Vanessa zastanawiała się, czy jest Francuzem, czy może Niemcem?... Kiedy obserwowała, jak wyjmuje

z szuflady czekoladę, doszła do wniosku, że musi być Szwedem. Przedstawił się jako pan Klein.

--Pomyłka? -- przerwała mu. -- Do diabła! Ma pan rację! To pomyłka!

--Zlokalizowaliśmy pani samochód. Skontaktowaliśmy się także z pani hotelem. Tak więc... mówiła pani prawdę.

--Nie jestem kłamczuchą -- odpowiedziała. Mimo milej powierzchowności, pan Klein nie przypadł jej do gustu. Pewnie jest już późna noc -- zastanawiała się. Nie miała zegarka, a w pokoju nie było okien. Tylko pan Klein wiedział, która jest godzina, ale nie miała odwagi zapytać. -- Cieszę się, że jest pan zadowolony. Czy teraz może mnie pan odwieźć do hotelu? Jestem zmęczona.

Pokręcił głową.

--Nie. Obawiam się, że nie będzie to możliwe.

Vanessa wstała tak gwałtownie, że omal nie przewróciła krzesła. W tym samym momencie drzwi otworzyły się i do pokoju wpadła jedna z uzbrojonych „siostrzyczek”.

--W porządku, Stanislaus -- powstrzymał go Klein. -- Pani Jape nie rzuciła mi się do gardła. „Siostra” Stanislaus wycofała się, zamykając za sobą drzwi.

--Dlaczego? -- zapytała Vanessa. Obecność strażnika rozzłościła ją.

--Dlaczego co?

--Zakonnice.

Klein spojrział na nią i dotknął dzbanka z kawą, przyniesionego przed godziną, by sprawdzić, czy jeszcze nie ostygł. Zanim odpowiedział, napełnił swoją filiżankę do połowy.

--Moim zdaniem powodów jest wiele, pani Jape. I przyrzekam, że uwolnię panią, jak tylko będzie to możliwe. Do tego czasu będę spełniał pani zachcianki. Proszę pomyśleć o tym, jak o grze... -- Na jego ustach błąkał się uśmiech. -- ...Oni lubią gry...

--Kto? Klein ściągnął brwi.

--Nieważne -- powiedział. -- Im mniej pani wie, tym mniej będziemy musieli zrobić, żeby pani zapomniała.

--To wszystko jest bez sensu -- stwierdziła.

--I o to chodzi -- odpowiedział i wypił kawę. -- Przychodząc tutaj popełniła pani niewybaczalny błąd Oczywiście, my też zrobiliśmy błąd wpuszczając panią. Normalnie brama jest zamknięta. Zaskoczyła nas pani i...

--Niech pan posłucha -- przerwała mu Vanessa. -- Nie wiem, co się tu dzieje, i nie chcę wiedzieć. Wszystko, czego pragnę, to wrócić do hotelu i w spokoju spędzić resztę wakacji. -- Była coraz bardziej zdenerwowana. -- Czy proszę o zbyt wiele? -- zapytała. -- Nic nie zrobiłam i nic nie widziałam. W czym problem?

Klein wstał.

--Problem -- powtórzył z namysłem. -- Oto jest pytanie. -- Najwyraźniej nie zamierzał na nie odpowiedzieć. -- Stanislaus? -- zawołał.

Drzwi otworzyły się i weszła „zakonnica”.

--Odprowadź panią Jape do jej pokoju.

--Złożę protest w mojej ambasadzie! -- zagroziła. -- Mam prawa!

--Proszę -- zrobił zbolalą minę. -- Groźby nie pomogą żadnemu z nas.

„Zakonnica” ujęła Vanessę za ramię. Na żebrach poczuła lufę pistoletu.

--Możemy już iść? -- zapytał Stanislaus.

--A mam wybór?

--Nie.

Dobra farsa, jak poinformował ją kiedyś przyrodni brat -- tymczasowy aktor -- polega na odegraniu jej ze śmiertelną powagą. Nie wolno okazać ani odrobiny rozbawienia. Powinna zabrzmieć prawdziwie. Umiejętności Vanessy oceniała grupa ekspertów, biorąc pod uwagę niezwykłość sytuacji. Dawała z siebie wszystko, żeby ich zadowolić. Oczywiście, brakowało jej, niezbędnych do tego rodzaju komedii, cech charakteru. Wkrótce zauważą pomyłkę i wypuszczą ją na wolność, szczęśliwszą niż kiedykolwiek.

Dzięki butelce whisky, którą ktoś wspaniałomyślnie zostawił w jej pokoju, spała dobrze. Była kompletnie pijana i kiedy obudziła się rano, miała okropnego kaca. Ból rozsadał jej czaszkę i męczyło ją pragnienie. Chwilę rozglądała się po pokoju, zanim przypomniała sobie, gdzie jest. Nagle okienko w drzwiach otworzyło się i ujrzała w nim obcą twarz. Był to starszy mężczyzna z siwiejącą brodą i rozbieranymi oczyma.

--Pani Jape -- szepnął. -- Pani Jape. Mogę prosić na słówko?

Podeszła do drzwi. Mężczyzna miał nieświeży oddech, więc stanęła w bezpiecznej odległości, choć przywoływał ją bliżej.

--Kim pan jest? -- zapytała Vanessa. Nie była pewna, ale kogoś jej przypominał.

Rzucił jej dumne spojrzenie.

--Jestem pani wielbicielem -- powiedział.

--Znam pana? Zaprzeczył ruchem głowy.

--Jesteś za młoda, ale ja znam ciebie. Widziałem, jak wchodziłaś. Chciałem cię ostrzec, ale nie zdążyłem.

--Pan też jest więźniem.

--Niestety, tak. Proszę mi powiedzieć... widziała pani Floydą?

--Kogo?

--Uciekł przedwczoraj.

--Aha. -- Vanessa zaczynała łączyć fakty. -- Floyd był mężczyzną, którego gonili?

--Na pewno. Kiedy uciekł, poszli za nim, dranie, i zostawili bramę otwartą. W ostatnich dniach poczuli się bezpiecznie... -- Wyglądał na doskonale zorientowanego w sytuacji. -- Nie żebym się cieszył, że tu jesteś, ale słyszeliśmy strzały i... -- zawahał się. -- Nie dostali go, prawda?

--Nie widziałam -- odpowiedziała. -- Przyszłam tu i...

--Ha! -- krzyknął. -- A więc uciekł.

Nagle przyszło jej do głowy, że ta rozmowa mogła być pułapką. Że mężczyzna był szpiegiem, który miał wy badać, ile o nich wie! Ale instynkt mówił jej co innego. Na jego pomarszczonej twarzy klowna malowała się taka radość, że nie mógł być jednym z nich. Zaufała mu. Nie miała wielkiego wyboru.

--Pomóż mi uciec -- prosiła. -- Muszę się stąd wydostać.

Spojrzał na nią zaskoczony.

--Już? Przecież dopiero co przyjechałaś.

--Nie jestem złodziejem. Nie lubię siedzieć w zamkniętym na klucz pokoju.

Ze zrozumieniem pokiwał głową.

--Oczywiście, że nie. Przykro mi. Taka piękna kobieta... Nigdy nie miałem do czynienia...

--Czy jest pan pewien, że nie znam skądś pana? -- zapytała. -- Pańska twarz wydaje mi się znajoma.

--Naprawdę? -- ucieszył się. -- Bardzo mi miło. Wszystkim nam się wydaje, że nikt nas już nie pamięta.

--Wszystkim?

--Uprowadzili nas wiele lat temu. Wielu z nas było tylko początkującymi badaczami. To dlatego Floyd uciekł. Chciał, chociaż kilka miesięcy przed końcem, uczciwie popracować. Czasami czuję to samo -- zaczynał wpadać w melancholię. -- Nazywam się Harvey Gomm. Profesor Harvey Gomm. Chociaż dziś zapomniałem już, czego byłem profesorem.

Gomm. Gdzieś już słyszała to nazwisko, ale w tej chwili nie mogła skojarzyć.

--Nie pamiętasz, prawda? -- spojrzał jej prosto w oczy.

Miała ochotę skłamać, ale mogło go to obrazić bardziej niż prawda.

--Nie... Rzeczywiście nie pamiętam. Chociaż, może gdyby mi pan odpowiedział...

Zanim zdążył otworzyć usta, usłyszał głosy.

--Nie możemy teraz rozmawiać, pani Jape. -- Mów mi Vanessa.

--Mogę? -- Jego twarz oblał ognisty rumieniec. -- Vanessa -- szepnął. -- Pomożesz mi? -- zapytała.

--Najlepiej, jak będę mógł -- odpowiedział. -- Ale jeśli zobaczysz mnie w towarzystwie...

--...Nigdy się nie spotkaliśmy.

--Właśnie. Au revoir -- powiedział i zamknął okienko. Usłyszała kroki -- ktoś szedł korytarzem. Za każdym razem, gdy strażnik -- uprzejmy bandyta imieniem Guillemot -- przynosił jej posiłki i herbatę rozpywiała się w uśmiechach.

Jej starania zaczynały dawać owoce. Tego ranka, po śniadaniu, pan Klein zawołał ją do siebie i oświadczył, że będzie mogła spacerować po ogrodzie, oczywiście, w towarzystwie Guillemota. Najbardziej ucieszyła się z nowych ciuchów -- trochę na nią za dużych, ale mimo to lepszych niż te, które nosiła w ciągu ostatnich dni, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Klein nie musiał być aż tak zły, skoro darzył ją takimi względami.

Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim -- raczej niezbyt rozgarnięty -- dyrektor hotelu zauważy, że nie wróciła. I co wtedy zrobi? Może już zawiadomił władze? Może znajdą porzucony samochód i dotrą do tego dziwnego fortu? Jednak rano pozbawiono ją tej nadziei -- samochód stał przy bramie, w cieniu laurowych drzewek, a w nocy padał deszcz, który z pewnością zmył wszystkie ślady. Ci dranie nie byli głupi. Wyglądało na to, że będzie musiała czekać, aż ktoś w Anglii zainteresuje się jej przedłużającymi się wakacjami, ale do tego czasu mogła umrzeć z nudów.

W przeciwieństwie do niej, inni więźniowie nie mieli prawa spacerować po ogrodzie. Pewnego ranka Vanessa usłyszała głosy dochodzące z sąsiedniego podwórza -- jeden z nich należał do Gomma. Wyrażały podniecenie.

--Co tam się dzieje? -- zapytała.

--Grają w coś -- odpowiedział Guillemot.

--Możemy pójść i popatrzeć? -- prosiła.

--Nie...

--Lubię gry.

--Tak? -- zastanawiał się chwilę. -- Więc możemy w coś pograć.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała, ale naleganie mogłoby wzbudzić podejrzenia.

--Dlaczego nie? -- odpowiedziała. Może uda jej się zdobyć jego zaufanie.

--Poker?

--Nigdy w to nie grałam.

--Nauczę cię -- zaproponował z entuzjazmem. Z sąsiedniego podwórza dochodziły krzyki i pohukiwania, jakby odbywały się jakieś wyścigi. Guillemot zauważył jej skupienie.

--Żaby -- wyjaśnił. -- Zorganizowali wyścigi żab.

--Domyśliłam się.

Guillemot spojrział na nią prawie czule.

--Lepiej nie.

Mimo ostrzeżenia, wciąż wsłuchiwała się w głosy, które rozbrzmiewały przez całe popołudnie. Gomm i jego przyjaciele bawili się, jak dzieci, co chwilę wybuchając śmiechem. Ale czy dzięki temu zapominali, że nadal są więźniami? Kiedy późnym wieczorem twarz Gomma pojawiła się w okienku, Vanessa nie pozwoliła mu dojść do słowa.

--Słyszałam was rano na sąsiednim podwórzu. A potem po południu. Wyglądało na to, że dobrze się bawiliście.

--Och, zabawy -- westchnął. -- To był ciężki dzień. Tyle pracy mieliśmy przy sortowaniu.

--Mógłbyś przekonać ich, żeby pozwolili mi przyłączyć się do was? Umieram z nudów.

--Biedna Vanessa. Chciałbym ci pomóc, ale to praktycznie niemożliwe. W tej chwili jesteśmy zbyt zapracowani, tym bardziej że Floyd uciekł.

Zapracowani? Wyścigami żab? -- pomyślała. Jednak nie wyraziła głośno wątpliwości, gdyż bała się go obrazić.

--Co tu się dzieje? -- zapytała. -- Przecież nie jesteście kryminalistami, prawda?

Gomm wyglądał na urażonego.

--Kryminaliści?

--Przepraszam...

--W porządku, wiem, co miałaś na myśli. Rozumiem, że zastanawia cię, dlaczego jesteśmy tu uwięzieni. Ale zapewniam cię, że nie jesteśmy kryminalistami.

--Więc kim? Czy to jakaś tajemnica? Zanim odpowiedział, wziął głęboki oddech.

--Jeżeli ci powiem... -- zawahał się. -- Czy pomożesz nam wydostać się stąd?

--Jak?

--Przy bramie stoi twój samochód.

--Tak, widziałam...

--Gdybyśmy dostali się do niego... wywiozła by nas?

--Ilu was jest?

--Czterech: ja, Ireniya, Mottershead, Goldberg. Oczywiście, gdzieś na zewnątrz jest jeszcze Floyd, ale skoro udało mu się uciec, sam musi sobie poradzić.

--To mały samochód -- ostrzegła.

--Jesteśmy małymi ludźmi -- odpowiedział Gomm. -- Z wiekiem człowiek kurczy się, wiesz, jak suszony owoc. A my jesteśmy już starzy. W sumie mamy trzysta dziewięćdziesiąt osiem lat. Wszyscy mamy za sobą gorzkie doświadczenia, ale żaden z nas nie zmądrzał.

Nagle na podwórzu rozległ się krzyk. Gomm zniknął na moment, a kiedy pojawił się znowu, szepnął zdruzgotany:

--Znaleźli go. O mój Boże! Znaleźli go. Vanessa podbiegła do okna, ale niewiele mogła zobaczyć. Podwórze pełne było „zakonnicy”, a dwaj strażnicy prowadzili więźnia -- bez wątpienia zbiegłego Floyda. Nie najlepiej wyglądał po kilku dobach tułaczki -- brudne, poszarpane ubranie, twarz spalona słońcem i zapadnięte policzki. Usłyszała głos Kleina, który zbliżył się do Floyda i wykrzykiwał coś -- wychwytywała tylko co dziesiąte słowo, ale ogólny sens doprowadził starszego mężczyznę do łez. Odwróciła się od okna, modląc się, by pan Klein udławił się kolejnym kawałkiem czekolady, którą ciągle zajadał.

Była zaskoczona: funduje jej pizzę, nowe ciuchy, pozwala na spacer po ogrodzie, a tamtego człowieka traktuje z takim okrucieństwem. Sprawa stawała się coraz bardziej tajemnicza. Dlaczego jest tu tylko pięciu więźniów (z nią sześciu) i wszyscy (oprócz niej) są starszymi ludźmi? Po tym, co zobaczyła na podwórzu, musiała poznać sekret, nawet gdyby miało to być niebezpieczne, i pomóc Gommowi i jego towarzyszom odzyskać upragnioną wolność.

Profesor nie pokazał się już tego wieczoru. Może schwytanie Floyda zakłóciło normalny plan zajęć -- zastanawiała się, choć sama w to nie wierzyła. Raczej wyglądało na to, że zapomniał o niej. Guillemot przyniósł jej jedzenie i picie, ale nie został, by nauczyć ją grać w pokera, jak obiecywał, ani nie zabrał na spacer. Siedząc w dusznym pokoju, bez towarzysztwa, pograżyła się we własnych myślach.

Po południu usłyszała głucho uderzenie w zewnętrzną ścianę. Wstała i już miała wyrzecć na podwórze, gdy coś wpadło przez okno. Na dole nikogo nie zauważyła.

Podniosła z podłogi klucz owinięty papierem. „Vanessa -- przeczytała -- bądź gotowa”. Twój, in saecula saeculorum. H. G.”

Łacina nie była jej mocną stroną. Miała nadzieję, że ostatnie słowa nie były zaszyfrowaną instrukcją. Sprawdziła, czy klucz pasuje do drzwi jej pokoju. Pasował. Domyśliła się, że nie powinna teraz wychodzić, lecz Poczekać na sygnał od Gomma. Oczywiście, łatwiej powiedzieć niż zrobić. Kusilo ją, by otworzyć drzwi i uciec, zapomnieć o Gommie i innych. Ale przecież H. G. musiał sporo ryzykować, by zdobyć ten klucz. Miała u niego dług wdzięczności.

Niecierpliwiła się. Za każdym razem, gdy słyszała kroki na korytarzu albo wołanie na podwórzu, podrywała się, gotowa do rozpoczęcia akcji, ale Gomm nie odezwał się. Minęło południe i nadszedł wieczór. Guillemot przyniósł jej pizzę i butelkę coca-coli. Zanim się obejrzała, zapadła noc.

Może przyjdą pod osłoną ciemności -- myślała, ale nie przyszli. Już dawno minęła północ i nadal żadnego znaku od H. G. Zaczynała obawiać się najgorszego -- że odkryto spisek i zostali ukarani. Jeśli tak, to Klein, prędzej czy później, dowie się ojej współudziale. Była pewna, że potraktuje ją tak, jak ich. Zastanawiała się, czy warto czekać, aż dobiorą się jej do skóry -- to nie w jej stylu! Ucieknie, ale co dalej? Będzie się błąkać jak Floyd, aż znowu ją złapią? Nie ma nic do stracenia.

Wyszła z pokoju, zamknęła za sobą drzwi i pobiegła korytarzami. Na podwórzu nie było nikogo, ale przypomniała sobie o kamerze zamontowanej w figurze. Niczemu nie można tu zaufać -- pomyślała. Zastanawiała się, która ścieżka prowadzi do wyjścia, gdyż wszystkie wyglądały tak samo. Ta, którą wybrała, prowadziła na sąsiednie podwórze. Na środku rosły drzewka laurowe. Światło księżyca połyskiwało w ich liściach.

Vanessa nie mogła oprzeć się pokusie, by nie zwiedzić go. Na betonowym placu zauważyła

malowidło. Podkradła się bliżej. Była to mapa świata z zaznaczonymi oceanami, kontynentami i wielkimi miastami, z nakreślonymi granicami państw, dziwnymi symbolami... Nie bardzo wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi.

Fascynacja zagłuszyła rozsądek. Nawet nie usłyszała za sobą kroków. Gomm zatrzymał się w cieniu. Zauważyła go dopiero, gdy się odezwał.

--Nie ruszaj się -- mruknął.

Usluchała. H. G. rozejrzał się i podszedł do niej.

--Co tu robisz? -- zapytał z wyrzutem.

--Nie przyszedłeś -- usprawiedliwiała się. -- Myślałam, że zapomniałeś o mnie.

--Sprawy skomplikowały się. Obserwują nas przez cały czas.

--Nie mogłam dłużej czekać, Harvey. To nie jest wymarzone miejsce na wakacje.

--Masz rację, oczywiście -- przyznał. -- To beznadziejne. Beznadziejne. Powinnaś próbować sama się wydostać. Zapomnij o nas. Nigdy nas nie wypuszczą. Prawda jest zbyt okropna.

--Jaka prawda? Potrząsnął głową.

--Zapomnij o tym. Zapomnij, że kiedykolwiek się spotkaliśmy.

Vanessa przytrzymała go za ramię.

--Nie. Muszę wiedzieć, co się tu dzieje. Gomm wzruszył ramionami.

--Może powinnaś wiedzieć. Może cały świat powinien wiedzieć. -- Wziął ją za rękę i poprowadził pod osłonę drzew.

--Co to za mapa? -- zapytała.

--To tutaj się bawimy -- zaczął -- choć nie zawsze są to gry... To plan strategiczny...

--Nic z tego nie rozumiem -- przerwała mu. -- Jaki plan?

Przez chwilę milczał, wpatrując się w mapę świata.

--W 1962 roku, w Dniu Zdrowia, zarzucono wielkim potentatom, że niszczą świat.

Odrzucono nawet ich projekty ochrony środowiska. Potem odbyło się sympozjum w Genewie. To było niesamowite! Przedstawiciele partii, parlamentów, kongresów i senatów -- władcy Ziemi -- debatowali w jednej sali nad eksploatacją... -- Vanessa niewiele z tego rozumiała, ale słuchała w milczeniu. -- ...zajęli się tym specjaliści z trzynastu państw: kilku Europejczyków, jeden z Nowej Zelandii i grupa Amerykanów... Posiadaliśmy wielką wiedzę. Dostaliśmy dwie nagrody Nobla...

Teraz przypominała sobie, skąd go zna. Oboje byli o wiele młodszy. Była uczennicą wkuwającą na pamięć jego teorie.

--...Chcieliśmy pogodzić problemy ekonomiczne i ekologiczne. Oczywiście, w teorii wyglądało to wspaniale, ale gorzej wypadło w praktyce.

--Dlaczego?

Gomm wskazał na mapę.

--Pomoc światu polegała na wywoływaniu małych wojen i niedopuszczaniu, by przerodziły się w większe. Chcieliśmy oczyścić świat z brudu... Możliwości były ogromne, ale nie potrafiliśmy ich wykorzystać. Na początku bawiło nas to. Rządziliśmy światem, a nikt nie domyślał się nawet naszego istnienia. Oczywiście, prócz Najwyższej Rady Międzynarodowej.

To syndrom Napoleona -- pomyślała Vanessa. Gomm jest bohaterem! Ale dlaczego zamknęli go tutaj? Przecież był przeciwny zniszczeniom.

--To chyba nie fair, że zamknięto cię tutaj...

--Powiedzieli, że to dla naszego bezpieczeństwa -- westchnął. -- Pomyśl, co by było, gdyby ktoś odkrył naszą działalność, przyjechał tutaj i nie zastał nas. Wszystko zaplanowali. Zrobiliśmy swoje, ale nie możemy odejść, bo za dużo wiemy. Zmuszają nas do podejmowania strasznych decyzji, za które sami nie ponoszą odpowiedzialności. Tak im wygodniej. Jesteśmy tu odcięci od świata, który każe nam zniszczyć...

--To śmieszne -- przerwała mu Vanessa.

--Może, ale tylko na pierwszy rzut oka -- odpowiedział. -- Skutki będą tragiczne. Połowa ekipy już nie żyje. Solovatenko wyskoczył oknem. Buchanan zmarł na syfilis -- nawet nie wiedział, że jest chory. Yoniyoko, Berheimer i Sourbutts -- ze starości. Prędzej czy później wykończą nas wszystkich. Klein obiecał powiedzieć ludziom prawdę, ale nie zrobi tego. Nikogo nie obchodzi, że jesteśmy marionetkami! Nikogo...

Czy to wszystko było prawdą? -- zastanawiała się Vanessa. Jeśli tak, to może mogłaby powstrzymać ten proces...

--Chcesz się stąd wydostać? -- zapytała. Gomm skinął głową.

--Zanim umrę, chciałbym jeszcze raz zobaczyć mój dom. Tak wiele straciłem, Vanesso. Zrobili ze mnie niewolnika. Chcę się stąd wydostać! Chcę...

--Ciszej! -- rozejrzała się przestraszona. Gomm opamiętał się.

--Zanim umrę, chcę jeszcze trochę pożyć na wolności. Wszyscy chcemy. I ty możesz nam w tym pomóc -- spojrzał na nią błagalnie. -- Co się stało?

--Stało?

--Dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób?

--Wydaje ci się, Harvey. Nie sądzę, żebyś był niebezpieczny, ale...

--Poczekaj chwilę -- przerwał jej. -- Jak myślisz, co ci powiedziałem? Te wszystkie kłopoty...

--Harvey. To wspaniała historia...

--Historia? Co chcesz przez to powiedzieć? -- Spojrzał na nią przestraszony. -- Ach, rozumiem. Nie wierzysz mi, tak? Ale to prawda! Zdradziłem ci największy sekret świata, a ty mi nie wierzysz!

--Nie twierdzą, że kłamiesz...

--Czyżby? Myślisz, że jestem lunatykiem! -- krzyknął Gomm. Jego głos odbił się echem wśród nocnej ciszy i wszystkich postawił na nogi. -- Zobacz, co narobiłaś -- powiedział z wyrzutem.

--Ja?

--Mamy kłopoty.

--Posłuchaj, H. G., to nie znaczy...

--Za późno na dyskusje. Zostań tu, a ja ich odciągnę.

Przed odejściem odwrócił się do Vanessy, ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek.

--Jeśli oszalałem -- szepnął -- to przez ciebie.

Potem pobiegł przez podwórze. Kiedy był w połowie drogi, pojawili się strażnicy. Krzyczeli, by się zatrzymał, a kiedy nie usłuchał, jeden z nich strzelił. Na szczęście nie trafił -- odetchnęła z ulgą, Vanessa.

--Dobrze już, dobrze -- zawołał, zatrzymując się z rękami nad głową. -- Mea culpa!

Otoczyli go strażnicy.

--Ach, to ty, Sidney -- powiedział H. G. do kapitana.

--Co robisz na zewnątrz o tej porze? -- zapytał.

--Oglądam gwiazdy.

--Nie byłeś sam -- stwierdził kapitan. Serce Vanessy zamarło. Żeby dostać się z powrotem do pokoju musiała przeciąć podwórze. Nie miała szans. Poza tym Guillemot na pewno sprawdził już, czy jest u siebie.

--To prawda -- przyznał Gomm. -- Nie byłem sam. -- Czy obraziła go, aż tak bardzo, że zaraz ją zdradzi? -- Widziałem kobietę, którą tu trzymacie...

--Gdzie?

--Wspinającą się po ścianie -- odpowiedział.

--Tego jeszcze nam brakowało...

--Powiedziałem do niej -- kontynuował Gomm -- powiedziałem, że skręci sobie kark i lepiej żeby poczekała, aż otworzycie bramę...

Otwarta brama! Wcale nie jest lunatykiem -- pomyślała z uznaniem.

--Philipenko... -- rozkazał kapitan --...odprowadź Harveya do jego pokoju...

--Dziękuję, ale nie potrzebuję bajki na dobranoc -- protestował Gomm.

--Idź z nim.

Strażnik prowadził H. G. przed sobą. Kapitan przeklinał pod nosem i wydawał polecenia. Po chwili podwórze było puste.

Vanessa odczekała, aż ucichną ostatnie kroki, wyszła z ukrycia i podążyła tą samą drogą. Musiała dostać się do znajomego ogrodu. Przemykała się pod ścianami, tak ukryta w cieniu, że nikt nie mógł jej zauważyć. Wreszcie dotarła do bramy. Rzeczywiście była otwarta. Jak wspominał Gomm, nie zawsze zachowywali ostrożność.

Kiedy biegła w jej stronę, za plecami usłyszała szelest. Obejrzała się przez ramię -- z kępy drzew wyszedł kapitan z pistoletem w dłoni.

--Trochę czekolady, pani Jape? -- zapytał pan Klein.

--To szpital lunatyków -- powiedziała, gdy odprowadził ją do pokoju. -- Nic więcej. Nie ma pan prawa trzymać mnie tutaj.

Zignorował jej protesty. -- Rozmawiałś z Gommem.

--A jeśli nawet, to co?

--Co ci powiedział?

--Ja pierwsza zadałam pytanie.

--A ja odpowiedziałem pytaniem. Co ci powiedział? -- powtórzył z naciskiem. Vanessa życzyła mu ataku apopleksji. -- Chcę wiedzieć, pani Jape.

Zadrżała z obawy przed wybuchem gniewu tego człowieka.

--Opowiadał jakieś bzdury. Jest umysłowo chory, Myślę, że wszyscy jesteśmy świrami.

--Jakie bzdury ci opowiadał?

--Po prostu bzdury.

--Chcę wiedzieć, pani Jape. -- Klein wpadł w furję. -- Odpowiedz!

--Opowiadał o jakiejś Radzie Międzynarodowej, grupie naukowców rządzących światem politycznym... że jest jednym z nich. Kompletnie bez sensu.

--Co jeszcze?

--Delikatnie dałam mu do zrozumienia, że jest wariatem.

Klein uśmiechnął się zadowolony.

--Oczywiście, to tylko fikcja.

--Tak -- potwierdziła Vanessa. -- Jezu Chryste! Niech mnie pan nie traktuje jak niedorozwiniętą umysłowo, panie Klein. Jestem dorosłą kobietą...

--Pan Gomm...

--Powiedział, że jest profesorem.

--Kolejne kłamstwo. Pan Gomm jest paranoicznym schizofrenikiem. Może być niebezpieczny, jeśli wymknie się spod kontroli. Miała pani szczęście.

--A inni?

--Inni?

--Przecież nie jest tu sam. Słyszałam ich. Czy wszyscy są schizofrenikami?

Klein skinął głową.

--Wszyscy są umysłowo chorzy, choć w różnym stopniu. A na wolności byli mordercami. -- Zamilkł na moment, a potem dodał: -- Niektórzy z nich wielokrotnie mordowali dla czystej przyjemności. Dlatego są zamknięci na tym odludziu... I dlatego strażnicy są uzbrojeni.

Vanessa już otwierała usta, by zapytać, dlaczego są porzuceni za zakonnice, ale Klein nie dopuścił jej do głosu.

--Proszę mi wierzyć, że pani pobyt tutaj jest mi równie nie na rękę, jak pani...

--Więc proszę pozwolić mi odejść.

--Dopiero, kiedy zakończę badania -- powiedział. -- Pani współpraca może mi bardzo pomóc. Jeśli pan Gomm, albo którykolwiek inny pacjent, będzie próbował wtajemniczyć panią w jakiś plan, proszę mnie natychmiast powiadomić. Zgoda?

--Powiedzmy...

--I proszę więcej nie próbować ucieczki. Następna może być fatalna w skutkach.

--Chcę zapytać...

--Może jutro -- powiedział spoglądając na zegarek. -- Teraz proszę położyć się spać.

Który z nich mówi prawdę -- zastanawiała się nie mogąc usnąć -- Gomm czy Klein? Ich wyjaśnienia brzmiały równie sensownie, ale dlaczego trzymano ją tu siłą? Obwiniała się za nierozwagę za to, że wybrała nie oznaczoną drogę, i za ciekawość, przez którą zawsze wpadała w tarapaty. Ale, jak twierdził Ronald, miała to już we krwi. Gdyby nie ufała ślepo swemu instynktowi, nie siedziałyby teraz pod kluczem. Uświadomiła sobie, że jeśli nikt nie zacznie jej szukać -- będzie zgubiona.

Cały dzień czekała na Gomma, ale nie była zaskoczona, gdy nie pokazał się. Domyśliła się, że ma kłopoty z powodu ich nocnego spotkania. Nigdy jeszcze nie czuła się tak bezradna. Guillemot przychodził i odchodził, przynosił jej jedzenie i picie, grał z nią w karty... Całkiem nieźle opanowała grę w pokera.

--Mam do ciebie prośbę. Chciałabym się wykąpać albo chociaż umyć -- powiedziała, gdy przyniósł jej obiad. -- Zaczynam już czuć samą siebie...

--Załatwię to... dla ciebie -- uśmiechnął się,

--Naprawdę? -- ucieszyła się. -- To miło z twojej strony.

. Wrócił godzinę później i oświadczył, że uzyskał zgodę pana Kleina, ale musi pójść z nią.

--Masz zamiar umyć mi plecy? -- zapytała za lotnie.

Guillemot spojrział na nią zmieszany, a jego twarz oblała się ognistym rumieńcem.

--Proszę iść za mną -- powiedział krótko. Vanessa ociągała się, jakby chciała dobrze zapamiętać drogę, którą potem zamierzała przebyć bez towarzystwa strażnika.

Wyposażenie łazienki zaskoczyło ją -- lustro, nowoczesny prysznic, ładne kafelki... Spodziewała się czegoś równie prymitywnego, jak meble w jej pokoju. Zapomniała już, jakim luksusem jest czystość.

--Będę za drzwiami -- oznajmił Guillemot.

--W takim razie jestem tu bezpieczna -- odpowiedziała, posyłając mu spojrzenie, które, jak sądziła, odebrał jako obietnicę, i zamknęła drzwi. Potem puściła gorącą wodę, aż pomieszczenie wypełniło się parą, i wysmarowała wilgotną podłogę mydłem. Kiedy uznała ją za wystarczająco śliską, zawołała Guillemota. Gdy wszedł i, zdeorientowany, usiłował utrzymać równowagę -- wynurzyła się z obłoków pary i uderzyła go z całej siły. Osunął się na podłogę. Dostając się pod strumień wrzącej wody, jęknął. Vanessa podniosła leżący obok pistolet maszynowy i skierowała go w pierś mężczyzny. Choć była marnym strzelcem i trzęsły się jej ręce -- oboje wiedzieli, do czego jest zdolna zaślepiona strachem kobieta.

--Nie strzelaj -- wykrztusił, unosząc ręce do góry.

--Jeśli mnie do tego zmusisz...

--Proszę... nie strzelaj.

--Teraz... zabierzesz mnie do Gomma i innych. Szybko i spokojnie.

--Po co?

--Zaprowadź mnie do nich -- rozkazała, bronią wskazując drzwi łazienki. -- Jeśli będziesz próbował jakichś sztuczek, strzełę ci w plecy. Wiem, że to nie po męsku, ale w końcu nie jestem mężczyzną. Jestem tylko gotową na wszystko kobietą, więc lepiej rób, co ci każę.

--...dobrze.

Prowadził ją korytarzami, a potem przez centralny dziedziniec, obok dzwonnicy. Zawsze myślała, że to kaplica, ale myliła się. Gdy weszli do środka -- stwierdziła, że wygląda raczej jak bunkier niż miejsce kultu religijnego. Dopiero teraz uwierzyła w słowa Gomma -- to była baza, w której przygotowywano atak nuklearny. Schodzili korytarzem w dół. Czy tutaj trzymano tych, ponoć nienormalnych, ludzi?

--Co to za miejsce? -- zapytała.

--Nazywamy je buduarem -- odpowiedział posłusznie. -- To tutaj wszystko się rozgrywa.

W tej chwili chyba nic się nie działo. W większości pokoi panowała ciemność. W jednym komputer obliczał swoje szansę na uniezależnienie się, w innym telex pisał do siebie listy miłosne. Szli dalej korytarzem, aż skręcając w następny natknęli się na kobietę szorującą linoleum. Guillemot skorzystał z okazji. Popchnął Vanessę tak, że uderzyła o ścianę, i uciekł. Zanim zdążyła zorientować się w sytuacji, zniknął jej z oczu.

Przeklinała samą siebie. Po chwili rozległo się alarmujące bicie dzwonów. Wiedziała, że jeśli nadal i będzie stać w miejscu, to jest zgubiona. Biegła wzdłuż korytarza, zaglądając do każdego pokoju. W jednym znalazła tuziny zegarów -- każdy pokazywał inną godzinę; w drugim dziesiątki czarnych telefonów; w trzecim, największym, ściany oblepione były monitorami, ale tylko jeden był włączony. Przed nim, w fotelu na kółkach, siedziała „zakonnica” z obfitym wąsem i popijała piwo. Vanessa podeszła bliżej. Z odrazą stwierdziła, że mężczyzna ogląda wyjątkowo ohydny pornos. Wyczuwając jej obecność, zerwał się, jak

dzieciak przyłapany na gorącym uczynku Wymierzyła do niego z pistoletu.

--Zabiję cię, jeśli się poruszysz -- zagroziła.

--Cholera!

--Gdzie jest Gomm i inni?

--Co?

--Gdzie oni są? Szybko!

--Na dole. Korytarzem w lewo i jeszcze raz w lewo -- odpowiedział. -- Nie chcę umierać -- jęknął.

--Więc siadaj i zamknij się.

--Dzięki Bogu -- szepnął. Kiedy wyszła, padł na kolana i modlił się.

W lewo i jeszcze raz w lewo. Mówił prawdę -- dotarła do pokoi więźniów. Właśnie miała zapukać do pierwszych drzwi, gdy zawyła syrena alarmowa. Teraz już bez pukania otwierała wszystkie po kolei. W trzecim znalazła Gomma. Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

--Vanessa? -- Miał na sobie tylko koszulę. -- Przyszłaś? Przyszłaś!

Wkrótce wszyscy wyszli na korytarz: Ireniya, Floyd, Mottershead, Goldberg. Patrząc na nich uwierzyła, że razem mają czterysta lat.

--Obudźcie się, stare niedowiarki -- zawołał Gomm. Znalazł jakieś spodnie i zakładał je w pośpiechu.

--Włączyli alarm -- zauważył mężczyzna z siwymi włosami opadającymi na ramiona.

--Zaraz tu będą -- powiedziała Ireniya.

--Nie martwcie się -- odpowiedział Gomm. Floyd skończył ubierać się.

--Jestem gotowy -- oznajmił.

--Ale jest nas za mało -- protestowała Vanessa. -- Nigdy nie wydostaniemy się stąd żywi.

--Ona ma rację -- odezwał się ktoś ponuro. -- Nie mamy szans.

--Zamknij się, Goldberg -- skarcił go Gomm. -- Przecież ma pistolet...

--Jeden -- przerwał mu siwowłosy mężczyzna. Domyśliła się, że musiał to być Mottershead. -- Jeden pistolet przeciwko nim wszystkim.

--Wracam do łóżka -- oznajmił Goldberg.

--Mamy szansę ucieczki -- nie ustępował Gomm. -- Może już nigdy nie będziemy mieli takiej okazji.

--On ma rację -- powiedziała kobieta.

--A co z grami? -- martwił się Goldberg.

--Zapomnij o grach -- powiedział Floyd. -- Niech sami się bawią.

--Za późno -- odezwała się Vanessa. -- Już idą. -- Z końca korytarza dochodził tupot wielu nóg. -- Jesteśmy w pułapce.

--No i co z tego?

--Harvey, jesteś szalony -- westchnęła zrezygnowana.

Floyd próbował wycofać się.

--Aż tak bardzo to nie chcę stąd wychodzić...

--Zamknij się! Nie rezygnuj, Vanesso -- nalegał Gomm. -- Powiedz im, że zabijesz nas, jeśli będą próbowali coś zrobić!

Ireniya uśmiechnęła się, ukazując bezzębne dziąsła -- protezę zostawiła w sypialni.

--Czasami masz niezłe pomysły -- powiedziała z uznaniem do Harveya.

--On ma rację -- podchwycił Floyd. -- Nie będą ryzykować naszego życia. Muszą pozwolić nam odejść.

--Zapomnieliście o czymś -- mruknął Goldberg. -- Tam, na zewnątrz, nie mamy żadnej przyszłości. Nic nie mamy... -- Wrócił do swego pokoju i zatrzęsł drzwi.

Na obu końcach korytarza stali strażnicy. Gomm chwycił Vanessę za rękę, w której trzymała broń i skierował ją w swoje serce.

--Bądź dzielna -- szepnął i posłał jej całusa.

--Niech pani się podda, pani Jape -- usłyszała znajomy głos i po chwili pojawił się pan Klein. -- Jest pani otoczona i nie ma żadnych szans.

--Zabiję ich wszystkich -- powiedziała z wahaniem. -- Ostrzegam pana. Jestem zdecydowana na wszystko. -- Odzyskała pewność siebie. -- Zabiję ich, zanim zdąży pan cokolwiek zrobić.

--Rozumiem... -- odpowiedział spokojnie. -- A dlaczego uważa pani, że ma dla mnie jakieś znaczenie, czy ich pani zabije, czy nie? To wariaci. Powiedziałem pani, że wszyscy są lunatykami, mordercami...

--Oboje wiemy, że to nieprawda -- przerwała Kleinowi, patrząc mu prosto w oczy. -- Chcę, żebyście otworzyli bramę i oddali mi kluczyki od samochodu. Jeśli spróbuje pan zrobić coś głupiego, panie Klein, będę systematycznie zabijać zakładników. Teraz proszę odwołać swoje „siostrzyczki” i wykonać moje polecenia.

Klein zawahał się, ale w końcu kazał ludziom wycofać się.

--Tylko tak dalej -- szepnął Gomm.

--Znasz drogę, prawda? -- zwróciła się do niego. Skinął głową i ruszył przodem. Klein śledził każdy jej krok, ale nie odważył się sugerować, że blefuje. Bez problemów wydostali się na zewnątrz.

Vanessa czuła na sobie spojrzenia strażników, choć nie widziała żadnego z nich. Zdawała sobie sprawę, że w każdej chwili może nastąpić atak. Przebiegli przez podwórze do samochodu. Brama była otwarta.

--Gomm -- szepnęła. -- Otwórz drzwi samochodu.

Bez słowa wykonał polecenie. Twierdził, że człowiek na starość kurczy się. Może to i prawda, ale umieszczenie pięciu osób w małym samochodzie okazało się nie lada problemem. Vanessa wsiadła ostatnia.

Nagle padł strzał i ostry ból przeszył jej ramię. Upuściła pistolet.

--Dranie! -- krzyknął Gomm.

--Zostaw ją -- zawołał ktoś z tylnego siedzenia, ale Harvey wyskoczył już z samochodu i wepchnął Vanessę na przednie siedzenie obok Floyda. Potem usiadł za kierownicą i uruchomił silnik.

--Umiesz prowadzić? -- denerwowała się Ireniya.

--Oczywiście! Kiedyś byłem świetnym kierowcą -- powiedział z dumą i ruszył z kopyta, aż silnik zawył z wysiłku. Przejechali przez bramę.

Vanessa nigdy przedtem nie była ranna i miała nadzieję, że nigdy więcej nie przydarzy się jej coś podobnego. Rana krwawiła obficie. Floyd usiłował zatamować krwotok, ale Gomm jechał jak pirat i udzielenie pierwszej pomocy stawało się praktycznie niemożliwe.

--Tam jest droga... -- jęknęła.

--Ale która jest właściwa?

--W prawo! W prawo!

Gomm puścił kierownicę i z zakłopotaniem spoglądał na swoje ręce. f -- Która jest prawa?

--Na Chrystusa...

Ireniya, siedząca za nim, zmusiła go do trzymania kierownicy. Samochód podskakiwał na wertepach jak piłka, co Vanessie sprawiało okropny ból.

--Widzę ją! -- krzyknął. -- Widzę drogę! -- Wdusił sprzęgło i skręcił ostro.

W tym momencie drzwi otworzyły się i Vanessa omal nie wypadła. Floyd i Mottershead próbowali wciągnąć ją z powrotem i zamknąć je. Wjechali na drogę.

--Duszno mi -- powiedział Gomm, ale jechał dalej.

Pogoń zbliżała się coraz bardziej. Klein wiedział, że zgubili broń. Nie mieli szans.

--Szybciej! -- krzyknął Floyd. -- Doganiają nas!

--Już szybciej nie można -- odpowiedział Gomm.

--Zgaś światła -- radziła Ireniya. -- Jak nie będą nas widzieć, to może zrezygnują.

--Ale wtedy nie będę widział drogi...

--Więc co zrobimy?

Mottershead roześmiał się. Ranna Vanessa wciąż krwawiła. Traciła przytomność i nic nie mogła na to poradzić. To był szalony pomysł. Jak mogła zgodzić się na ich plan?! Jedno było pewne -- ci ludzie nie byli wariatami i nie mieli nic do stracenia. Gomm mówił prawdę -- te dranie bawią się w wojnę.

--Dostaną nas -- odezwał się Floyd.

--Nie damy się złapać -- odpowiedział Mottershead. -- Raczej wszyscy umrzemy.

--Tam! -- krzyknęła Ireniya. -- Tam jest inna droga! Spróbuj ją!

Gomm skręcił we wskazanym kierunku. Nie zwracał uwagi na wycie silnika i słabe oświetlenie. Po prostu chciał uciec.

--Dokąd jedziemy? -- zapytała Vanessa.

--Nie mam pojęcia.

Droga okazała się bardziej wyboista niż poprzednia, lecz nie zawrócił. Nie mieli czasu do stracenia.

Mottershead wyjrzał przez okno, wpuszczając do środka tumany kurzu.

--Zgubiliśmy ich! -- krzyknął triumfalnie. -- Zgubiliśmy ich!

Wszystkich ogarnęła taka radość, że zaczęli śpiewać. Zachowywali się zbyt głośno, by Gomm mógł usłyszeć głos Mottersheada informującego, że droga zniknęła. Rzeczywiście, H. G. nie zdawał sobie sprawy, że jedzie wzdłuż skalnego wybrzeża. Nagle ziemia jakby usunęła się spod kół samochodu i ujrzeli przed sobą morze.

--Pani Jape? Pani Jape?

Rozejrzała się nieprzytomnie. Jej głowę i ramię przeszył ból. Potrzebowała dłuższej chwili, by przypomnieć sobie, gdzie jest i co się zdarzyło. Uświadomiła sobie, że samochód stoczył się z urwiska i wpadł do morza. Kiedy tonął, słyszała przeraźliwy krzyk staruszków. Przypomniała sobie, że obok niej siedział Floryd. Zawołała go po imieniu, ale nie odpowiedział. Zawołała jeszcze raz...

--Nie żyje -- usłyszała głos Kleina. -- Wszyscy nie żyją.

--O mój Boże -- szepnęła. Nie patrzyła na jego twarz, lecz na czekoladową plamę na

prochowcu.

--Zapomnij o nich -- powiedział.

--Zapomnieć?

--Jest o wiele ważniejsza sprawa, pani Jape. Musi pani wstać i to szybko.

Ostre brzmienie głosu Kleina poderwało Vanessę na nogi.

--Czy to ranek? -- zapytała, gdyż w pokoju nie było okien. Zdała sobie sprawę, że znajdują się w buduarze.

--Tak, to ranek -- odpowiedział zniecierpliwiony. -- Teraz proszę iść za mną. Chcę pani coś pokazać. -- Otworzył drzwi i wyszli na korytarz. Zewsząd dochodziły głosy rozgorączkowanych ludzi.

--Co się dzieje?

--Ostrzegają przed Apokalipsą -- odpowiedział i zaprowadził ją do pokoju, w którym widziała monitory. Teraz wszystkie były włączone, a każdy przedstawiał co innego: gabinety ministrów wojny, prezydentów i premierów różnych państw.

--Przez dwa dni była pani nieprzytomna -- poinformował ją Klein, jakby w tej chwili miało to jakieś znaczenie. Wciąż dokuczał jej ból głowy. Czytała napisy w rogach monitorów: Waszyngton, Hamburg, Sydney, Rio de Janeiro... Wszyscy czekali na straszną wiadomość.

--Są narzędziami w naszych rękach -- powiedział z satysfakcją. -- Wystarczy, że prześlemy wiadomość o Apokalipsie, a każdy z nich naciśnie guzik i, nieświadomie, uruchomi program zagłady Ziemi.

--Ale co ja mam z tym wspólnego? -- zapytała przerażona. -- Nie jestem strategiem.

--Nie był nim ani Gomm, ani pozostali, a teraz sytuacja wymyka się spod kontroli.

--Więc to, co opowiadał mi Gomm, jest prawdą?...

--Tak. Kiedy tu przyjechałem, połowa ekipy już nie żyła. A reszta przestała interesować się zadaniem...

--Gomm mówił, że mieli władzę -- wtrąciła.

--Tak.

--Rządzili światem?

--W pewnym sensie -- odpowiedział Klein.

--Co pan przez to rozumie?

Spojrzał na monitory. Jego oczy napelniły się łzami.

--Nie wyjaśnił? Bawili się, pani Jape. Kiedy praca zaczynała ich nudzić, grali w monety.

--Nie...

--Organizowali wyścigi żab... To była ich ulubiona zabawa.

--Ale rząd... -- protestowała -...nie, to nie może być prawda...

--Myśli pani, że martwili się o to? Dopóki pokazywali się publicznie, miało to dla nich jakieś znaczenie, ale teraz?... Musieliśmy ich tu więzić, inaczej już dawno nastąpiłby koniec.

--Nie mogę w to uwierzyć...

--Ja też nie mogłem, dopóki nie zobaczyłem tego na własne oczy.

--To straszne! -- Nagle stracili całą jej sympatię. Nie mogła zrozumieć, skąd w takich miłych starszych ludziach wzięło się tyle okrucieństwa i bezwzględności. Jak to się stało, że wykształceni (Gomm był przecież profesorem), inteligentni ludzie wykazali się taką nieodpowiedzialnością? Ogarnęła ją czarna rozpacz.

Kiedy wyszli na podwórze, było już ciemno. Vanessa odetchnęła świeżym powietrzem. Klein wyjaśnił, że może skompletować nową ekipę, ale zajmie mu to kilka tygodni. Tymczasem Ziemia mogła przestać istnieć. Ktoś musiał kierować tymi bezmyślnymi kreaturami, które widziała na monitorach.

--Goldberg nadal żyje -- powiedział Klein. -- Będzie kontynuował grę. Ale do tego potrzeba dwóch osób.

--Więc dlaczego nie dołączysz do niego?

--Ponieważ nienawidzi mnie. Nienawidzi nas wszystkich. Powiedział, że zaakceptuje tylko ciebie.

Goldberg siedział w cieniu laurowych drzewek i grał sam ze sobą. Był krótkowidzem, więc każdą kartę musiał zbliżyć do oczu, by cokolwiek zobaczyć. Zanim obejrzał je do końca, nie pamiętał już, co było na początku.

--Zgodziła się -- oznajmił Klein. Goldberg nie zareagował. -- Powiedziałem, że zgodziła się.

--Jestem ślepy, a nie głuchy. -- odpowiedział i dalej oglądał karty. Wreszcie spojrzął na Vanessę. -- Mówiłem, że to się źle skończy... -- powiedział miękko. Wiedziała, jak bardzo czuł się samotny. -- Od początku uważałem, że powinniśmy tu zostać. Nie ma szans na ucieczkę. -- Wzruszył ramionami. -- Zresztą dokąd uciekać? -- Świat zmienił się. Wiem, bo to my go zmieniliśmy.

--Nie był taki zły -- stwierdziła.

--Świat?

--Sposób, w jaki umarli.

--Aha.

--Byli szczęśliwi... do ostatniej chwili.

--Gomm był taki sentymentalny -- westchnął Goldberg. -- Nigdy nie lubiliśmy go zbyt. Wielka żaba wyskoczyła na ścieżkę. Oczy staruszka uchwyciły ruch.

--Kto to? -- zapytał.

--To tylko żaba -- wyjaśniła, z obrzydzeniem odtrącając ją nogą.

--Jak wygląda?

--Jest gruba -- odpowiedziała. -- Z trzema czerwonymi centkami na grzbiecie.

--To Izrael -- wyjaśnił. -- Nie przejmuj się nim.

--Czy możecie przed północą podjąć jakieś decyzje? -- nalegał Klein. -- Chodzi mi przede wszystkim o sytuację w Zatoce, spór w Meksyku i...

--Tak, tak, tak -- przerwał mu Goldberg. -- Odejdź już.

--Ale...

--Idź! I tak nie powiesz mi nic nowego albo znowu wszystko pokręcisz -- spojrzął na Vanessę. -- A ty usiądź wreszcie.

Posłusznie wykonała polecenie.

--No, to zostawiam was samych -- ustąpił Klein i odszedł.

Z gardła Goldberga wydobył się dźwięk podobny do rechotania żab. Po chwili zaczęły mu odpowiadać z każdego kąta podwórza. Vanessa uśmiechnęła się. Przypomniała sobie, że dobra farsa musi być odegrana z powagą na twarzy, jakby była prawdą, że tylko tragedia wymaga uśmiechu, ale nie mogła się powstrzymać.

W CIELE

Kiedy Cleveland Smith -- po widzeniu z oficerem dyżurnym -- wrócił do celi, na jego pryczy leżał nowy materac. Słońce zaglądało tu na krótko -- tylko pół godziny w ciągu całego popołudnia. W jego promieniach, wpadających przez zakratowane okno, połyskiwał kurz unoszący się w powietrzu. -- To ty jesteś Tait? -- zapytał, a raczej stwierdził Cleve.

Więzień spoglądał na słońce. Mayflower powiedział, że nowy chłopak ma dwadzieścia dwa lata, ale Tait wyglądał pięć lat młodziej. Miał twarz zagubionego psa. Brzydkiego psa, porzuconego przez właścicieli w centrum ruchu ulicznego. Wylupiate oczy, obfite usta, szczupłe ramiona -- urodzona ofiara. Cleve był zły, że musi siedzieć z nim w jednej celi. Tait był kompletnie załamany, a on nie miał najmniejszej ochoty zająć się protekcją chłopaka, mimo że Mayflower nalegał, by okazał mu serdeczność.

-- Tak -- odpowiedział chłopak o psiej twarzy. -- William.

-- Znajomi nazywają cię William? -- Nie. Oni nazywają mnie Billy.

-- Billy -- mruknął Cleve i przeszedł na drugi koniec celi. W Pentonville nie wprowadzano zbyt ostrego reżimu. Rano i po południu, przez dwie godziny, cele pozostawały otwarte i więźniowie mogli się swobodnie poruszać. Musieli jednak przestrzegać praw ustalonych przez Mayflowera.

-- Kazali mi udzielić ci kilku rad.

-- Tak?

-- Siedziałeś już kiedyś?

-- Nie.

-- Nawet w poprawczaku? Tait unikał jego spojrzenia.

-- Trochę.

-- Więc znasz układy. Wiesz, że jesteś tu nikim.

-- Pewnie.

-- Wygląda na to, że nie potrzebujesz mojej pomocy -- powiedział znudzony.

Tait spojrział na Cleve'a niebieskimi oczyma, w których odbijały się promienie słońca.

-- Nie przejmuj się mną -- powiedział. -- Niczego mi nie zawdzięczasz.

-- Do diabła! Pewnie, że nie. Ale jesteś tu nowy i jestem za ciebie odpowiedzialny. -- W głosie Cleve'a słychać było rozdrażnienie.

Cleve dostał dwa miesiące za handel marihuaną. Już trzeci raz przebywał w Pentonville. Miał trzydzieści lat i jego masywne ciało było w pełni sił. Uwagę przykuwała szczupła twarz o szlachetnych rysach. Każde ubranie nawet zniszczone, nosił z elegancją godną prawnika. Uważny obserwator mógł zauważyć na jego szyi bliznę -- pamiątkę po utarczce z jakimś oprychem -- i charakterystyczny chód.

Cleve był młodym człowiekiem. Ostatni sędzia powiedział mu nawet, że ma jeszcze czas, by zmienić styl życia. Nie odpowiedział głośno, ale w głębi serca wiedział, że urodził się i wychował jako lampart.

Przestępstwa były łatwiejsze niż praca. Uważał, że jest w tym dobry, a jeśli go złapali, ponosił konsekwencje. Odsiadka nie była taka zła, jeśli zajmowało się wysoką pozycje w hierarchii. Jedzenie było znośne, towarzystwo także. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek coś mu nie odpowiadało. Obecnie czytał o grzechu. Wysłuchał już tyle różnych definicji -- od prostych ludzi, prawników i duchownych -- że w końcu temat zainteresował go, więc studiował

teorie socjologiczne, teologiczne i ideologiczne. Niektóre nawet były godne uwagi, ale większość brzmiała tak absurdalnie (np. grzech pierworodny), że czytając nagle wybuchał śmiechem.

Był to twardy orzech do zgryzienia, ale musiał coś zrobić dla zabicia czasu. Zdarzało się, że czytał nawet w nocy, gdyż w więzieniu źle sypiał. A byli temu winni współwięźniowie. Cleve był tylko handlarzem narkotyków zaspokajającym potrzeby innych i nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia, ale wyglądało na to, że inni mieli. Nawiedzały ich koszmarne sny. Nieraz tak krzyczeli przez całą noc, że obudziliby umarłego.

--Czy zawsze tak jest? -- zapytał Billy po tygodniu. Chłopak również miewał napady -- jednej chwili płakał, następnej odgrażał się nie przebierając w słowach.

--Tak. Prawie cały czas -- odpowiedział Cleve. -- Większość z nich musi się wykrzyzczeć, żeby nie postradać zmysłów.

--Ale ty nie -- mówił monotonicznie -- tylko czytasz te swoje książki i zachowujesz zimną krew. Obserwowałem cię. Nie masz mi tego za złe, prawda?

--Mogę z tym żyć -- odpowiedział Cleve. -- Nie mam żony, która przychodziłaby tutaj co tydzień i przypominała mi, za czym tęsknię.

--A przedtem miałeś?

--Dwie. Chłopak zawahał się.

--Przypuszczam, że znasz tu każdy kąt...?

--Niezbyt dokładnie, ale znam. Dlaczego pytasz?

--Nie... tak tylko...

--Masz jakieś pytanie?

Tait milczał przez chwilę, a potem wykrztusił:

--Słyszałem, że tutaj... że tutaj wieszają ludzi. Nie spodziewał się takiego pytania. Już kilka dni temu zauważył, że Billy Tait jest dziwny -- bystre spojrzenie niebieskich oczu, sposób, w jaki przyglądał się ścianom i oknu, jakby czegoś szukał.

--Moim zdaniem, to tylko plotki -- odpowiedział. Zapadła cisza. Chłopak milczał, ale sprawa nie dawała mu spokoju.

--Ale jest gdzieś tu szubienica?

--Co? Nie wiem. Nigdzie już nie wieszają ludzi, Billy. Musiałeś się przesłyszeć. -- Ciągłe pytania zaniepokoiły Cleve'a. -- O co ci właściwie chodzi?

--O nic. Po prostu ciekawość.

Inni również zwrócili uwagę na jego przeciągłe spojrzenia i naturę samotnika. Jeden tylko Lowell inaczej odebrał zachowanie Billy'ego i miał niedwuznaczne zamiary.

--Chcesz pożyczyć mi swoją damę na popołudnie? -- zapytał Cleve'a, gdy czekali w kolejce po śniadanie. Ani Cleve, ani Tait nie odpowiedzieli na zaczepkę.

--Słyszysz? Zadałem ci pytanie.

--Słyszałem. Zostaw go w spokoju.

--Trzeba się dzielić z bliźnimi -- nie ustępował Lowell. -- Mogę ci sprawić przyjemność. Może się dogadamy...

--On nie jest na sprzedaż.

--No, to zapytajmy jego o zdanie. -- Lowell zbliżył się do chłopaka. -- Co ty na to, kochanie? Tait obejrzał się.

--Nie, dziękuję.

--Nie, dziękuję -- przedrzeźniał go Lowell, uśmiechając się do Cleve'a, lecz jego śmiech wcale nie świadczył o rozbawieniu. -- Nieźle go wytresowałeś. Czy także siada i czołga się na komendę?

--Idź na spacer, Lowell -- odpowiedział Cleve. -- On nie jest na sprzedaż. To wszystko.

--Nie jesteś w stanie pilnować go non stop -- zauważył Lowell. -- Prędzej czy później zostanie sam, a wtedy będzie mój.

Aluzja dotyczyła jego współlokatora -- Naylera. Cleve uchodził za spokojnego człowieka, ale kiedy komuś groził, wszyscy wiedzieli, że nie blefuje. Teraz wykorzystał tę opinię.

--Szukasz guza, Lowell? -- wycedził przez zęby. -- Już wystarczająco dużo blizn ukrywasz pod tą ohydną brodą.

Spojrzał na Cleve'a i uśmiech znikł z jego twarzy. Nie był pewien, czy to miał być żart, i wolał potulnie zająć swoje miejsce w kolejce.

--To jedyny sposób na tego drania -- mruknął Cleve.

Przez cały dzień nie rozmawiali o potyczce przy śniadaniu, ale wieczorem Billy nie wytrzymał.

--Słyszałem waszą rozmowę -- powiedział. -- Nie Powinieneś tego robić. Lowell jest strasznym zabijaką.

--Wolałbyś, żeby cię zgwałcił?

--Nie -- odpowiedział szybko. -- Chryste, nie. Ale zaskoczyłeś mnie.

--Gdyby Lowell dostał cię w swoje brudne łapy, nie dziwiłbyś się już niczemu.

Billy zeskokczył z pryczy i stanął na środku celi.

--Domyślam się, że chcesz czegoś w zamian -powiedział.

Cleve przewrócił się na drugi bok i spojrzał na niego niepewnie.

--Co masz takiego, czego ja bym chciał, chłopcze?

--To, czego chciał Lowell.

--Zwariowałeś?! Za kogo ty mnie masz?! -- zdenerwował się, a po chwili zapytał: -- Naprawdę myślisz, że tego chcę?

--Tak -- odpowiedział zmieszany.

--Jak sam powiedziałaś: nie, dziękuję. -- Odwrócił się do ściany.

--Nie sądziłem...

--Nie obchodzi mnie, co sądziłeś. Nie chcę o tym słyszeć, zgoda? Schodź Lowellowi z drogi i nie wkurzaj mnie.

--Hej -- mruknął Billy -- nie wściekaj się, proszę. Proszę. Jesteś moim jedynym przyjacielem.

--Nie jestem niczym przyjacielem -- burknął Cleve. -- I niczego od ciebie nie chcę. Rozumiesz?

--Niczego nie chcesz -- powtórzył chłopak.

--Dobra. A teraz daj mi spać.

Tait bez słowa wrócił na swoją pryczę. Sprężyny zatrzeszczały pod jego ciężarem. Cleve leżał nieruchomo i zastanawiał się nad propozycją Billy'ego. Właściwie nie interesowała go... chociaż... Chyba za ostro go potraktował. Cóż, stało się.

Usłyszał stłumiony szept. Wytężył słuch. Minęło kilka sekund, zanim zorientował się, że

chłopak odmawia modlitwę.

Tej nocy Cleve miał piękny sen. Nie pamiętał o czym, choć podczas porannej toalety nadal go prześladował. Samo wspomnienie, podświadomie, wywoływało przyjemne dreszcze.

W bibliotece spotkał Wesleya, którego znał już z poprzednich pobytów tutaj. Podeszedł do Cleve'a i zaczął rozmowę, jakby byli najlepszymi kumplami. Kazał mu się zamknąć, ale Wesley nie przestawał mówić.

--Masz kłopoty.

--Czyżby?

--Chodzi o twojego chłopaka.

--Co z nim?

--Zadaje za dużo pytań, a ludzie tego nie lubią. Mówią, że powinieneś się nim zająć.

--Nie jestem jego niańką. Wesley nie ustępował.

--Mówię ci to jako przyjaciel.

--Odchrzań się.

--Nie bądź głupi, Cleveland. Masz wrogów.

--Na przykład?

--Lowell, Nayler... -- rzucił. -- Właściwie wszyscy. Nie lubią takich jak Tait.

--Takich, to znaczy jakich? Wesley uczynił niecierpliwy gest.

--Właśnie próbuję ci powiedzieć. To cwaniak. Pieprzony szczur. Będą z nim kłopoty.

--Bawisz się w proroka? -- zakpił Cleve.

Wyglądało na to, że Wesley wykrakał. Kiedy następnego dnia Cleve wracał z pracowni, gdzie ćwiczył swój intelekt, montując koła do plastikowych samochodów, Mayflower już na niego czekał.

--Prosiłem, żebyś zajął się Williamem Taitem, Smith -- odezwał się oficer. -- A ty co?

--Co się stało?

--Oczywiście, nie zrobiłeś tego...

--Pytałem, co się stało, sir.

--Nic wielkiego. Tym razem. Pobili go. To wszystko. Wygląda na to, że Lowell ma na niego ochotę. Zgadza się? -- Cleve nie odpowiedział. -- Zawiodłem się na tobie, Smith. Myślałem, że w głębi duszy nie jesteś takim twardzielem. Mój błąd.

Billy leżał na pryczy. Miał zapuchniętą twarz i zamknięte oczy. Nie otworzył ich, gdy wszedł Cleve.

--Nic ci nie jest?

--Pewnie -- odpowiedział cicho.

--Nic ci nie połamali?

--Wylizę się.

--Zrozum wreszcie...

--Posłuchaj -- Billy otworzył oczy. Były ciemniejsze niż zwykle albo tylko tak mu się zdawało. -- Przeżyłem. Wiesz, że nie jestem idiotą. Wiedziałem, co mnie tu czeka. -- Najwyraźniej mówienie sprawiało mu ból. -- Poradzę sobie z Lowellem, więc nie denerwuj się -- przerwał na moment i odetchnął ciężko. -- Miałeś rację.

--Z czym?

--Tutaj nie ma przyjaciół. Ja jestem sam i ty też jesteś sam. Zgadza się? Powoli się uczę,

tylę że muszę przekonać się na własnej skórze -- uśmiechnął się do siebie.

--Zadawałeś za dużo pytań.

--Tak? Kto tak powiedział?

--Jeśli masz pytania, to przyjdź z tym do mnie. Od innych niczego się nie dowiesz. Są zbyt ostrożni. A kiedy Lowell wkracza do akcji, odwracają się plecami. Nie chcą mieć kłopotów.

Billy zdjął zimny okład i dotknął zapuchniętego policzka.

--On już jest martwy -- mruknął do siebie.

--Nie ryzykuj. -- Szczerze mówiąc dziwił się, że chłopakowi udało się ujść z życiem.

--Mówię poważnie. Lowell nie wyjdzie stąd żywy. -- Jego oczy błyszczały nienawiścią.

Cleve nie odpowiedział. Uznał, że lepiej dać mu czas na przemyślenie sprawy.

--Co chciałeś wiedzieć, że tak cię urządzili?

--Nic szczególnego -- stwierdził Billy. -- Zapytałem tylko, gdzie chowają skazańców. To wszystko.

--Co?

--Nie wiedziałeś, że chowają tu tych, których wieszają? Ktoś mówił mi, że w miejscu, gdzie pochowali Crippena, rośnie krzak róży.

Cleve zaprzeczył ruchem głowy. Przypomnił sobie, że już raz chłopak pytał go o szubienicę, a teraz jeszcze o groby. Billy spojrział na niego.

--Wiesz, gdzie one są, Cleve?

--Mogę poszukać, ale pod warunkiem, że wyjaśnisz mi, dlaczego chcesz wiedzieć.

Billy próbował zasłonić obolałą twarz przed promieniami słońca. W końcu spuścił nogi z pryczy i usiadł na brzegu materaca.

--Mój dziadek, to jest... ojciec mojej matki, został tu powieszony -- mówił bardzo cicho. -- W 1937 roku. Edgar Tait. Edgar St Clair Tait.

--Chyba wspominałeś, że to ojciec twojej matki?

--Przyjąłem jego nazwisko. Nie chciałem nosić nazwiska ojca. Nigdy do niego nie należałem.

--Nikt do nikogo nie należy. -- Odpowiedział Cleve. -- Jesteś panem samego siebie...

--To nieprawda -- zaprotestował, wpatrując się w smugę światła padającą na ścianę. -- Należę do mojego dziadka. Zawsze jest przy mnie.

--Nie było cię jeszcze na świecie, kiedy...

--No i co z tego? Co za różnica? Jedni odchodzą, inni przychodzą.

Zastanowiły go słowa chłopaka. Z takim spokojem mówił o życiu i śmierci. Zanim zdążył o cokolwiek zapytać, Billy znów się odezwał.

--Oczywiście, był winny. Nie tak, jak myśleli, ale był winny. Wiedział, kim był i za co go skazali. Powiesili go za zabicie czterech ludzi.

--Chcesz powiedzieć, że zabił ich więcej? Nie odpowiedział na pytanie.

--Nikt nie przyszedł zobaczyć, gdzie go pochowali To nie fair, prawda? Myślę, że ich to nie obchodzi. Po wykonaniu wyroku cała rodzina odetchnęła z ulgą. Od początku uważali go za czarną owcę. Ale on nie był zły. Wiem, że nie był. Mam jego ręce i oczy. Tak mówiła mama. Zanim umarła, wszystko mi o nim opowiedziała. Mówiła mi rzeczy, których nigdy ni-komu by nie powiedziała... Tylko mnie, bo jestem do niego podobny. -- Ukrył twarz w dłoniach, jakby obawiał się, że powiedział za dużo.

--Co ci powiedziała matka? Billy zastanawiał się chwilę.

--Że... że mamy podobny sposób bycia.

--Czyli szaleńcy? -- zażartował Cleve.

--Coś w tym rodzaju. Dlatego tu przyszedłem. Żeby mój dziadek wiedział, że nie zapomniałem o nim.

--Przyszedłeś? -- zdziwił się. -- O czym ty mówisz? Złapali cię i skazali. Nie miałeś wyboru.

Chmura musiała zasłonić słońce, bo światło na ścianie znikło. Billy spojrzał na Cleve'a.

Oczy błyszczały mu jak w gorączce.

--Celowo dałem się złapać -- wyjaśnił. -- Zaplanowałem to przestępstwo.

Cleve z niedowierzaniem pokręcił głową. To wszystko brzmiało absurdalnie.

--Już dwa razy próbowałem, ale dopiero teraz mi się udało.

--Nie żartuj sobie ze mnie, Billy -- ostrzegł go Cleve.

--Nie żartuję. -- Wstał z uśmiechem na twarzy. -- Byleś dla mnie dobry. Nie myśl, że tego nie doceniam. Naprawdę jestem ci wdzięczny i... -- spojrzał mu prosto w oczy. -- Chcę wiedzieć, gdzie go pochowali. Pomóż mi znaleźć jego grób, a nie usłyszysz już nic więcej na ten temat, obiecuję.

Cleve nie znał aż tak dobrze tego więzienia ani jego historii, ale był ktoś, kto powinien coś wiedzieć. Miał na imię Bishop i często spotykali się w pracowni. W ciągu czterdziestu lat swojego życia wiele razy siedział w tym więzieniu. Był chodzącą encyklopedią kryminalistyki i znał tu każdy kąt. Cleve podszedł i wsunął mu do kieszeni pudełko tabaki.

--Co chciałbyś wiedzieć? -- zapytał Bishop.

--Wszystko o tutejszych wyrokach śmierci. Bishop uśmiechnął się.

--Wspaniałe historie. -- I zaczął opowiadać. Wiele szczegółów zgadzało się z tym, co mówił Billy. W Pentonville wykonywano wyroki aż do połowy tego wieku, ale obecnie nie było tu już szubienicy. Historia o róży Crippena również była prawdziwa. Bishop poinformował Cleve'a, że na tyłach budynku jest mały trawnik, pośrodku którego posadzono krzak róży, na pamiątkę dr. Crippena, powieszzonego w 1919 roku.

--Czy wszystkich tam pochowano?

--Nie, nie -- zaprzeczył zapalając papierosa. -- Groby są wzdłuż ściany, na lewo od trawnika. Długi pas murawy. Musiałeś go zauważyć.

--Żadnych płyt nagrobkowych?

--Absolutnie. Nawet jeśli ktoś umieścił tabliczkę, zaraz ją likwidowali. Tylko gubernator wie, gdzie kto leży, o ile nie zgubił planu. -- Wyrzucił niedopalek i robił następnego skręta. -- Jak dotąd nikt się tym nie interesował. Co z oczu, to z myśli. Ale nie zawsze tak jest. Ludzie zapominają premierów, ale morderców zawsze pamiętają. Tylko udają, że ich to nie obchodzi.

--A ty wiesz, gdzie kto jest pochowany?

--Mniej więcej -- odpowiedział Bishop.

--Słyszałeś kiedyś o Edgarze Tait? Bishop uniósł brwi.

--St Tait? Jasne. Niełatwo go zapomnieć.

--Co o nim wiesz?

--Zabił swoją żonę, a potem dzieci. Popodcinał im gardła.

--Wszystkim?

Bishop zastanawiał się przez moment.

--Ktoś przeżył. Chyba córka... Nie pamiętam dokładnie. -- Rzucił Cleve'owi bystre spojrzenie. -- Dlaczego interesujesz się Taitem? Powiesili go jeszcze przed wojną.

--W 1937 roku. Pewnie nic już z niego nie zostało...

--No, nie wiem. Widzisz, więzienie zbudowano na specyficznym gruncie. Pogrzebane tu ciała nie ulegają rozkładowi, jak gdzie indziej. -- Zauważył niepewną minę Cleve'a i dodał: -- To prawda. Kilka lat temu eksperci prowadzili w okolicy badania. Gleba zawiera jakieś składniki, które konserwują ciało.

Cleve zebrał dla Billy'ego sporo wiadomości, co nie było w jego stylu, i uzyskał dla niego pozwolenie wychodzenia na powietrze, mimo że podpadł Mayflowerowi.

Pewnego chłodnego kwietniowego ranka Billy przycinał trawę na grobach.

Cleve nie wiedział, co naprawdę wydarzyło się tego dnia -- od każdego słyszał inną wersję. Przy porządkowaniu trawnika pracowało czterech ludzi. Pilnował ich tylko jeden strażnik. Nagle powstało zamieszanie.

Strażnik musiał wiedzieć, co się święci. Zameldował, że Tait próbował uciec, w co Cleve nie wierzył. W każdym razie znaleziono go leżącego na trawie pod murem. Był siny na twarzy i zwił się z bólu. Inni twierdzili, że sam położył się na ziemi, szeptał coś i płakał. W końcu uznali go za szaleńca.

Teraz Cleve znalazł się w centrum zainteresowania i wcale mu to nie odpowiadało. Jeszcze następnego dnia nie dawali mu spokoju. Chcieli wiedzieć, jak to jest, kiedy mieszka się w jednej celi ze świrem. Nie miał im nic do powiedzenia. Tait był idealnym współ lokatorem -- spokojnym, niekonfliktowym, po prostu normalnym. To samo powtórzył Mayflowerowi, gdy ten wezwał go do siebie, a później więziennemu lekarzowi. Nie wspominał o jego zainteresowaniu grobami i o to samo poprosił Bishopa, któremu również nie zależało na rozgłosie, więc zgodził się bez oporów.

Billy dwa dni spędził w odosobnieniu. Mayflower nic nie mógł dla niego zrobić. Devlin trzymał na wszystkim łapę. Do Pentonville został przydzielony odgórnie i miał paskudną reputację. W dniu powrotu Billy'ego Taita wezwał do siebie Cleve'a.

--Podobno ty i Tait jesteście kumplami -- powiedział Devlin, zachowując kamienną twarz.

--Nie całkiem, sir.

--Nie popełnię tego samego błędu, co Mayflower, Smith. Tait ciągle sprawia kłopoty. Mam zamiar obserwować go dwadzieścia cztery godziny na dobę, a kiedy mnie nie będzie w pobliżu, ty się tym zajmiesz, rozumiesz? Masz chodzić za nim, jak cień. Ma zachowywać się tak, żebym mógł zwolnić go przed terminem, inaczej wyślę go gdzie indziej. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

--Oplacało ci się? -- zapytał Cleve.

W szpitalu Billy wychudł jeszcze bardziej. Koszula wisiała na nim, a w pasku przy spodniach zabrakło już dziurek. Cleve pomyślał, że chłopak złamie się, gdy podniesie coś ciężkiego. Nie wyglądał najlepiej -- podkrążone oczy nie błyszczały jak dawniej, a na twarzy pojawił się wyraz rozpacz.

--Zadalem ci pytanie.

--Słyszałem -- odpowiedział Billy. Dziś nie było słońca, ale i tak wpatrywał się w ścianę, na którą powinny padać promienie.

--Devlin kazał mi cię piklować. Chce wypuścić cię przed terminem albo przenieść gdzie

indziej.

--Co? -- Rzucił Cleve'owi przerażone spojrzenie. -- Wywieźć stąd?

--Tak powiedział.

--Nie mogą!

--Mogą. Wszystko mogą. Dziś jesteś tu, jutro...

--Nie -- szepnął Tait i zacisnął pięści. Nagle zaczął się trząść. Cleve przestraszył się, że to nawrót choroby, ale po chwili chłopak opanował się. Na nie ogolonej twarzy miał żółto-zielone pozostałości po sińcach. Patrząc na niego, Cleve miał wyrzuty sumienia.

--Powiedz mi -- poprosił.

--Co mam ci powiedzieć? -- Billy spojrział na niego zaskoczony.

--Co się stało przy grobach?

--Zakręciło mi się w głowie i upadłem. Następną rzeczą, którą pamiętam, był szpital.

--To powiedziałaś im, a jak było naprawdę?

--To jest prawda.

--A ja słyszałem co innego. Dlaczego nie chcesz powiedzieć? Zaufaj mi.

--Ufam ci -- odpowiedział Billy -- ale muszę zachować to dla siebie. To sprawa między mną a nim.

--Tobą a Edgarem? Człowiekiem, który wymordował całą swoją rodzinę, oprócz twojej matki?

--Tak -- powiedział z wahaniem. -- Tak, zabił ich. Mamę pewnie też by zabił, gdyby nie uciekła. W ten sposób chciał uchronić ich przed dziedziczeniem złej krwi.

--Twoja krew jest zła? Billy uśmiechnął się lekko.

--Nie. Nie sądzę. Dziadek mylił się. Czasy się zmieniły, prawda?

On jest szalony -- pomyślał Cleve. Billy jakby czytał w jego myślach.

--Nie zwariowałem -- powiedział. -- Powiedz im to. Powiedz Devlinowi, gdyby pytał... innym też. -- W oczach chłopaka pojawił się dawny blask. -- Nie muszą mnie stąd wyrzucać, Cleve. Nie teraz, kiedy mam kumpla. Mam tu interes do załatwienia. Ważny interes.

--Z nieboszczykiem?

--Z nieboszczykiem.

Cokolwiek Billy zamierzał, odgrywając przed Cleve'em tę scenę, nie wyszło na jaw, nawet gdy wrócił do codziennych zajęć. Nikomu nie zadawał żadnych pytań, nikomu nie podpadł. Cleve był pod wrażeniem. Chłopak okazał się wspaniałym aktorem.

Tylko Cleve wiedział, że coś kombinuje. Dla innych po prostu uspokoił się i nie szukał kłopotów. Lekarz, do którego Billy musiał zgłaszać się co jakiś czas, stwierdził, że chłopak wyszedł już z depresji i dochodzi do siebie. Uważał, że w tej sytuacji sen jest najlepszym lekarstwem i przepisał mu środki nasenne, które Billy uznał za zbędne i odstąpił Cleve'owi. Ten z kolei był mu wdzięczny, bo po raz pierwszy od miesiący mógł się porządnie wyspać.

W dzień ich przyjazne stosunki zmieniały się w chłodną uprzejmość. Cleve miał wrażenie, że Billy zamyka się w sobie, ograniczając jego protekcję.

Nie po raz pierwszy był świadkiem takiego zachowania. Trzy lata temu jego przyrodnia siostra, Rosanna, zmarła na raka płuc. Przez cały czas miała nadzieję, że wyzdrowieje, ale w ostatnim tygodniu załamała się. Cleve nie był z nią zbyt blisko, ale może właśnie ten dystans pozwalał mu na obiektywną ocenę jej zachowania. Widział, jak systematycznie

przygotowywała się na śmierć. Nie mogła jedynie pogodzić się z faktem, że zostawi dzieci. O innych, nawet o męża, nie martwiła się.

Taką samą beznamiętność zauważył w zachowaniu Billy'ego. Zamykał się w sobie, jak rozbitek płynący wpraw do beznadziejnie odległego lądu. To było przerażające. Mieszkanie z nim w celi dwanaście stóp na osiem stawało się nie do zniesienia.

Jedyną korzyścią były środki nasenne, które lekarz nadal zapisywał Billy'emu. Gwarantowały Cleve'owi odpoczynek, a czasem nawet sny.

Najczęściej śnił o mieście.

Nie, nie o mieście -- o pustyni. Szedł przez pustkowie, po niebiesko-czarnym piasku, który dostawał mu się do oczu i nosa, unoszony zimnym wiatrem. Skądś znał to miejsce, ten monotony krajobraz bez drzew, ale nie mógł skojarzyć. Był sam, a nad jego głową zbierały się ciemne chmury.

Poobcierane stopy krwawiły i coraz częściej miał halucynacje.

Ani śladu oazy. Żadnych drzew owocowych ani źródła z wodą -- kompletnie nic. Potem było miasto -- z domami bez drzwi. Niektóre były spalone, na wpół zburzone, inne dobrze utrzymane, z otaczającymi je ogrodami...

Wiedział, że są zamieszkane, choć nigdzie nie zauważył ludzi. Miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Tak było za pierwszym razem.

Za drugim -- śniło mu się tylko miasto. Stopy nadal krwawiły i szedł tą samą drogą, ale wiatr był jakby silniejszy. Zrywał z okien firany i potrzasał błyszczącymi, chińskimi dzwoneczkami. Słyszał przerażające nieludzkie wycie, dochodzące gdzieś spoza miasta. Nie chciał znać jego źródła, w ogóle nie chciał wchodzić na to terytorium.

Sen powtarzał się noc po nocy -- za każdym razem szedł, krwawiły mu stopy, wszędzie widział tylko motyle i szczury, i czarny piasek zasypujący ulice... Zawsze to samo. Nic się nie zmieniało.

Tylko raz widział tam innego człowieka i to był Billy. To dziwne, ale pewnej nocy przebudził się -- Billy stał pośrodku celi i spoglądał na światło wpadające przez okno. To nie było światło księżyca, lecz chłopak zdawał się nie zauważać tego. Twarz miał zwróconą do okna, zamknięte oczy i otwarte usta. Cleve, zanim ponownie zapadł w sen, zdał sobie sprawę, że Billy w niezrozumiały sposób został wprowadzony w trans. Jego podświadomość zakodowała ten fragment rzeczywistości i przeniósł go w senną wizję. Kiedy znów ujrział miasto, Billy Tait stał na ulicy z twarzą zwróconą ku zachmurzonemu niebu, | zamkniętymi oczyma i otwartymi ustami.

Trwał tak przez dłuższą chwilę, a potem odszedł, zostawiając na piasku ślady stóp. Cleve zawołał go, ale Billy przyspieszył kroku. Wtedy uświadomił sobie, że wie, dokąd podąża -- za miasto. Tam, gdzie kończą się domy, a zaczyna pustynia. Ale po co? Może na spotkanie przyjaciół? Nie był pewien, lecz wiedział jedno -- że nie chce stracić z oczu jedyne w tym wymarłym miejscu człowieka. Jeszcze raz, głośniejszym głosem, zawołał Billy'ego po imieniu.

Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń, wrywająca go z koszmaru. Obudził się w celi.

--W porządku -- powiedział Billy. -- To tylko sen. Cleve próbował uwolnić się od wspomnień o mieście, ale wciąż widział natchnioną twarz chłopaka.

--To tylko sen -- powtórzył Billy. -- Obudź się. Potrzasał nim, dopóki nie oprzytomniał. Zły sen minął, ale Cleve znów miał wrażenie, że Billy czyta w jego myślach.

--Wiesz, prawda? -- zapytał.

Tait spojrział zaskoczony.

--O czym ty mówisz?

Cleve potrząsnął głową. Może tylko mu się zdawało? Kiedy spojrział na dłoń Billy'ego, nadal spoczywającą na jego ramieniu, ujrzał tylko szczupłą dłoń z brudnymi paznokciami. Nic więcej.

Gnębiły go wątpliwości. Parę razy przyłapał się na tym, że od minionej nocy uważniej obserwuje chłopaka, wychwytyjąc każdy jego gest, jak mrugnięcie okiem czy oblizanie warg. Jednak okazało się to stratą czasu. Tak samo, jak kiedyś Rosanna, Billy stał się sekretną księgą, niedostępną dla świata. Odkąd przestał zażywać środki nasenne, koszmar nie powtórzył się.

--Potrzebujesz czegoś na sen -- powiedział Billy po powrocie od lekarza. -- Weź moje pigułki.

--Ty też potrzebujesz snu -- odpowiedział Cleve, ciekawy, czy chłopak będzie nalegał. -- Myślę, że dam sobie bez nich radę.

--Weź, na wszelki wypadek -- podał mu fiolkę. -- Wiem przecież, jak dokuczliwe są te nocne hałasy.

--Ktoś mówił mi, że w większej ilości mogą być szkodliwe -- odpowiedział. -- Obejdę się bez nich.

--Nie -- zapewniał go Billy. Teraz Cleve nie miał już wątpliwości -- chłopak chciał zrobić z niego lekomana. -- Śpię, jak dziecko. Proszę, weź je. Tobie bardziej się przydadzą i na pewno nie zaszkodzą. Inaczej lekarz nie dałby mi ich. Cleve wzruszył ramionami.

--Skoro tak uważasz...

--Jasne.

--W takim razie dziękuję. -- Schował fiolkę do kieszeni.

Uśmiech, który pojawił się na twarzy Taita, nie wróżył nic dobrego. Zanosilo się na kłopoty.

Tego wieczoru Cleve udał, że, jak zwykle, zażywa pigułkę, ale nie połknął jej. Później, leżąc twarzą do ściany, wypluł ją i schował pod poduszkę... Starał się oddychać miarowo, jakby spał.

Więzienny dzień zaczynał się i kończył wcześnie -- między 20.45 a 9.00 większość cel była ciemna. Strażnicy zamykali wszystkie na klucz i do rana, praktycznie, mieli wolne. Tej nocy było spokojniej niż zwykle. Nawet bez pigułki Cleve z łatwością zapadł w drzemkę. Z pryczy Billy'ego nie dochodził żaden dźwięk. Leżąc tyłem, Cleve nie miał możliwości, by obserwować go niepostrzeżenie. Mógł tylko, co jakiś czas, spojrzeć na zegarek i słuchać. Zaczynał obawiać się, że zaśnie, zanim cokolwiek się wydarzy. I rzeczywiście.

Kiedy się obudził i spojrział na zegarek, była 1.51. W celi panowała absolutna cisza. Leżał nieruchomo, usiłując zlokalizować Taita. Po kwadransie przewrócił się na drugi bok i rozejrzał. Ku jego przerażeniu, chłopak znów stał pośrodku celi.

W sąsiedniej celi ktoś chodził, spuszczał wodę w toalecie... Nie słyszał tylko Billy'ego, jego oddechu.

Minął kolejny kwadrans i Cleve poczuł ogarniające go znajome odrętwienie. Wiedział, że jeszcze chwila, a zaśnie i obudzi się dopiero rano. Jeśli chciał się czegoś dowiedzieć, musiał się

opanować i patrzeć. Sennym ruchem przesłonił twarz ręką w ten sposób, że bez problemu mógł otworzyć oczy i obserwować.

Cela wydała mu się ciemniejsza niż tamtej nocy, gdy zobaczył Billy'ego stojącego z twarzą zwróconą do okna. Był przekonany, że chłopak nie może go widzieć, więc lekko uniósł głowę. Coś było nie tak, ale nie wiedział co. Odczekał, aż oczy przywykną mu do ciemności, lecz obraz nie zmienił się. Pozostał niejasny, jakby zamazany i brudny. Wreszcie dotarło do niego, że cela nie jest pusta, że w kątach kryją się dziwne cienie. Serce zabiło mu mocniej. Chciał podnieść się z posłania i zawołać Taita, ale zdrowy rozsądek powstrzymywał go. Postanowił nie wtrącać się, tylko leżeć i patrzeć.

Zrozumiał, co jest nie tak -- cienie znajdowały się w miejscach, gdzie nigdy ich nie było. Wylaniały się ze ściany, na którą zwykle padało światło księżyca... Nie, to tam było źródło światła. Cleve zamknął oczy przekonany, że ma halucynacje. Kiedy otworzył je ponownie, serce zamarło mu w piersiach. W kącie ukształtował się jeden cień i wciąż rósł.

Nigdy jeszcze nie bał się tak bardzo. Nigdy jeszcze nie czuł tak lodowatego dreszcza, przeszywającego jego sparaliżowane ze strachu ciało. Nie mógł złapać oddechu ani poruszyć się. Instynkt nakazywał mu schować głowę pod koc, jak czynił w dzieciństwie, lecz dwie myśli powstrzymywały go od tego: że ruchem może zwrócić na siebie uwagę i że Billy jest gdzieś w celi -- możliwe, że równie przerażony, jak on.

Wtem usłyszał głos chłopaka. Brzmiał miękko, jakby mówił przez sen. Początkowo Cleve nie zwracał uwagi na znaczenie słów, ale potem zrozumiał, że Billy mówi do dziwnego przybysza.

--...to boli -- powiedział z wyrzutem --...nie mówileś, jak bardzo to boli...

Cleve był coraz bardziej przerażony. Czyżby to był wytwór jego wyobraźni?

Cień poruszył się. Cleve przyjrzał mu się uważniej i krzyk zamarł mu w zaschniętym gardle.

--...możesz nauczyć mnie wszystkiego... -- mówił Billy --...szybko... -- Ale do Cleve'a nie docierał sens słów. Całą uwagę skupił na tajemniczym przybyszu wylaniającym się z mroku. To nie było złudzenie. Widział mężczyznę, a raczej jego dokładną kopię, pulsującą i materializującą się stopniowo. Uderzający był dobrotliwy wyraz jego twarzy. W jaki sposób Billy z taką łatwością kontaktował się z tym... czymś? -- zastanawiał się Cleve.

Nagle Billy wstał z pryczy. Gwałtowny ruch, po lawinie szeptanych słów, przestraszył Cleve'a. Z trudem opanował się, by nie krzyknąć, i dalej, spod przymkniętych powiek, śledził wydarzenia.

Chłopak znów coś mówił, ale zbyt cicho, by mógł rozróżnić słowa. Zbliżył się do cienia i prawie zasłonił go swoim ciałem. Rzeczywiście mieli do załatwienia jakiś interes.

Za cieniem unosił się tuman bezwonnego dymu czy kurzu. Cleve'owi wydało się, że ciało chłopaka skurczyło się albo może cela powiększyła... Dopiero po chwili rozpoznał rozciągający się przed nim widok -- miasto z jego snu.

Billy stał obok swego mistrza. Cień był dużo wyższy i biła od niego niesamowita moc. Cleve nie wiedział, w jaki sposób i dlaczego chłopak mu ulegał, i obawiał się o jego bezpieczeństwo, ale strach przykuwał go do pryczy i nic nie mógł zrobić. W tym momencie zdał sobie sprawę, że nigdy nikogo nie kochał, mężczyzny ani kobiety, że zawsze był sam. Teraz ta myśl przerażała go. Patrzył na Taita stojącego ramieniem w ramieniu z dziwnym przybyszem i zrozumiał, że są do

siebie podobni -- dwie zagubione dusze.

Wtedy zerwał się silny wiatr i Cleve usłyszał to samo wycie, co we śnie, ale tym razem rozpoznał je -- był to krzyk niedorozwiniętych dzieci, coś między płaczem a krzykiem. Jakby pod jego wpływem, duch wziął Billy'ego w ramiona i uściśnął. Chłopak nie bronił się, a nawet odpowiedział równie przyjaznym gestem. Cleve nie mógł na to patrzeć. Zamknął oczy, a kiedy je otworzył -- obraz znikł, a cień rozplywał się w powietrzu. Odetchnął z ulgą -- znów otaczały go znajome ściany. Tylko Billy dalej stał pośrodku i wpatrywał się w światło wpadające przez okno.

Cleve nie zasnął już tej nocy. Leżąc na pryczy zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie w stanie spokojnie spać.

Następnego dnia starał się ukryć przed Taitem, że był świadkiem nocnego spotkania. Ostatnią rzeczą, której pragnął, była utrata jego zaufania. Ale nie było to takie łatwe. Choć usiłował zachowywać się normalnie, wciąż dręczył go niepokój. Nie miał wątpliwości, że chłopak domyśla się prawdy -- przecież był dobrym obserwatorem. Czy w tej sytuacji nie powinien się przyznać? Kiedy po południu wrócił z pracowni, Billy sam zaczął rozmowę:

--Co się z tobą dzisiaj dzieje?

Cleve zajął się poprawianiem posłania na swojej pryczy.

--Nic -- odpowiedział, unikając jego spojrzenia. -- Źle się czuję, to wszystko.

--Źle spałeś? -- zapytał Billy. Cleve instynktownie wyczuł jego uważne spojrzenie.

--Nie. -- Starał się zachować spokój. -- Jak zwykle wziąłem twoją pigułkę.

--To dobrze.

Kiedy zapadło milczenie, Cleve odetchnął z ulgą, ale jak długo mógł ukrywać prawdę? Kiedyś musiała się wydać. Gdy odwrócił się od pryczy, Billy siedział przy stole i przeglądał jedną z jego książek.

--Po co to czytasz? -- zapytał.

--Dla zabicia czasu -- odpowiedział Cleve i położył się.

--Nie chodzi mi o to, dlaczego w ogóle czytasz książki. Po co czytasz te książki?

Wszystkie dotyczą grzechu.

Cleve słyszał jego głos jak przez mgłę. Właśnie rozmyślał o wydarzeniach minionej nocy. Uświadomił sobie, że nawet w dzień niektóre kąty celi są ciemne, i serce skoczyło mu do gardła.

--Słyszysz? -- zniecierpliwził się Billy.

Cleve wydał nieartykułowany dźwięk, mający oznaczać, że słyszał.

--No, więc dlaczego?

--Bo nikt inny nie wypożycza ich z biblioteki. -- Z trudem opanował drżenie głosu.

--Ale chyba nie wierzysz w to, co tu piszą?

--Nie. Nie wierzę w ani jedno słowo. Chłopak odetchnął uspokojony i dalej przeglądał książki. Po chwili padło kolejne pytanie -- spowiedź.

--Boisz się jej?

Rozmowa całkowicie oderwała Cleve'a od własnych myśli. Dlaczego Billy pyta o strach? Czyżby też się bał?

--Czego miałbym się bać?

Kątem oka zauważył, że chłopak poruszył się niespokojnie.

--Tego, co się stanie. Tego, czego nie możesz kontrolować...

--Tak -- odpowiedział niepewnie. -- Tak, oczywiście. Czasami się boję.

--Co wtedy robisz? -- zapytał Billy.

--A co mogę zrobić? -- westchnął. -- Przestałem się modlić, odkąd zmarł mój ojciec.

Usłyszał, jak Billy zamyka książkę. Spojrzał na niego. Chłopak siedział nieruchomo, błąd na twarzy. On się boi -- pomyślał Cleve. Bardziej niż ja nie chce, by powtórzył się nocny koszmar. Prawdopodobnie nie jest świadomy tego, co się dzieje, a jego strach jest instynktowny.

Uznał, że najwyższy czas, by porozmawiać. Teraz, zanim zgaszą światła i wszystkie cele pogrążą się w mroku. Potem może już być za późno. Możliwe, że znów pojawi się cień i wprowadzi go w ten cholerny trans.

--Mam sny. -- Billy nie odpowiedział, ale spojrzał w jego stronę. -- ...śni mi się miasto.

Chłopak ani drgnął.

--Wiesz, o czym mówię?

--Nie. Nigdy nie mam snów.

--Każdy ma sny.

--W takim razie nie pamiętam ich.

--Ja pamiętam mój -- powiedział Cleve. -- I ty w nim byłeś. Byłeś w tym mieście.

Zauważył, że chłopak wstrzymał oddech.

--Co to za miejsce, Billy?

--Skąd mam wiedzieć? -- odpowiedział i uśmiechnął się. -- Nie wiem. To twoje sny.

Usłyszeli głos strażnika ogłaszającego ciszę nocną. Za chwilę zamkną cele i zgaszą światło. Najbliższe dziesięć godzin będzie musiał spędzić w towarzystwie Taita i jakiejś zjawy...

--Ostatniej nocy... -- zawahał się. Bał się mówić o tym, co widział i słyszał, ale jeszcze bardziej bał się, że koszmar może się powtórzyć. -- Ostatniej nocy widziałem... -- Dlaczego nie może zdobyć się na odwagę, by wyrzucić to z siebie? -- Widziałem...

--Co widziałeś? -- zapytał Billy zniecierpliwiony. Może on także czuł się osaczony?

--Moją matkę -- skłamał Cleve. Na ustach Taita błąkał się uśmiech.

--Tak... Widziałem moją matkę. Jak żywą -- dodał Cleve.

--I to cię tak przygnębiło?

--Za dwie minuty gaszę światło! -- zawołał oficer.

--Chyba powinieneś zażywać większą dawkę pigulek -- stwierdził Billy i podszedł do swojej pryczy. -- Wtedy, tak jak ja, nie będziesz miał snów.

Cleve zacisnął szczęki. Ten cwaniak wpuszcza go w maliny! Leżał wpatrzony w sufit i zastanawiał się, co robić, a Billy, najspokojniej w świecie, rozebrał się i położył spać.

Miał jeszcze czas, by zerwać się z pryczy i przywołać oficera. W najgorszym razie mógł walić głową w drzwi, aż w końcu ktoś mu otworzy. Ale jak wyjaśni ten atak histerii? Powie, że ma złe sny? A kto ich nie ma? Że boi się ciemności? A kto się nie boi? Roześmieją mu się w twarz i każą wracać do łóżka. To bez sensu.

Modlitwa? Powiedział Taitowi prawdę -- porzucił Boga, odkąd nie wysłuchał jego próśb o życie ojca. Właściwie stał się ateistą i nawet strach nie mógł tego zmienić w jednej chwili.

Kiedy już na dobre zgasło światło, ogarnęło go przerażenie. Nie był w stanie myśleć o niczym innym. Kurczowo zacisnął palce na poduszce. Nie było mowy o spaniu.

Myśl o ojcu obudziła w nim wspomnienia, lecz gdy tylko zamknął oczy, obrazy z dzieciństwa ulegały potwornemu zniekształceniu i znów szedł przez koszmarne miasto, zostawiając na piasku krwawe ślady stóp.

Każdy szmer sprawiał, że Cleve oblewał się zimnym potem. W końcu, znużony, zapadł w niespokojną drzemkę.

Bez przeszkód dotarł do granic miasta i zatrzymał się. Niebo, jak zwykle, zasnuwane było ciemnymi chmurami. Wyraźnie słyszał krzyk dzieci, ale nie robił już na nim takiego wrażenia. Odbierał go jak coś prawie • naturalnego.

A potem usłyszał za sobą szelest. Obejrzał się przez ramię -- kilka kroków od niego stał uśmiechnięty mężczyzna, ubrany w niedzielny garnitur. W dłoni trzymał zakrwawiony nóż. Dopiero teraz Cleve zauważył czerwone plamy na jego koszuli. Z przerażenia nie mógł złapać tchu. Zaczął się wycofywać. Wyglądało na to, że mężczyzna nie zauważył go -- po prostu minął Cleve'a i poszedł na pustynię. Ochłonawszy trochę, Cleve rozejrzył się uważniej -- cała ulica usłana była nożami, sznurami, a nawet ludzkimi rękami, brutalnie odciętymi od korpusów.

Wiatr wzmagął się, a krzyk dzieci przerodził się w śmiech. Mężczyzna zatrzymał się sto jardów dalej. Stał na szczycie wydmy, jakby czekał. Szaleńczy śmiech przybierał na sile. Cleve wpadł w panikę, ale nie mógł ruszyć się z miejsca, nie mógł oderwać oczu od mężczyzny, który zdjął marynarkę i zaczął rozluźniać krawat.

Obok niego zamajaczyła czyjaś sylwetka. Teraz śmiech zmienił się w jęk rozkoszy. Cleve patrzył jak zahipnotyzowany...

Nagle ktoś krzyknął z przerażenia, lecz krzyk nie pochodził ze snu. Znał ten głos, ale nie mógł skojarzyć go z osobą. Obejrzał się na wydnię... W tym momencie zawyła syrena alarmowa i wyrwała Cleve'a ze snu.

--Nie... -- mrucał --...pozwólcie mi zobaczyć --

Ale obraz znikł. Otworzył oczy. Światło nadal było zgaszone, choć strażnicy biegali jak opętani.

Leżał jeszcze chwilę na pryczy, z nadzieją, że sen powróci. W końcu, zrezygnowany, usiadł.

--Co się dzieje, Billy? -- Chłopak nie odpowiedział. Może śpi? -- pomyślał Cleve -- Billy? -- Spojrzył na jego pryczę. Była pusta.

Zerwał się na równe nogi i nerwowo rozejrzył po celi. Nie było go -- nie miał gdzie się schować -- po prostu nie było go. Może, gdy spał, zabrali go do innego więzienia, jak wspominał Devlin? Ale w nocy? Nie. To ten cień... Coś musiało się stać.

Podszedł do drzwi, by sprawdzić, co się dzieje. Strażnicy biegali w tę i z powrotem, ktoś krzyczał... Cleve nie mógł się zorientować, skąd dochodzą głosy.

Kiedy tak stał przy drzwiach, w nadziei, że uda mu się czegoś dowiedzieć, odniósł wrażenie, że nie jest sam. Gdy uniósł dłonie, by przetrzeć zaspane oczy, zauważył, że dostał gęziej skórki.

Za plecami usłyszał czyjś oddech.

--Billy? -- szepnął ledwie słyszalnie. Poczul nieprzyjemny dreszcz. Cella nie była pusta -- ktoś tu z nim był.

Zmusił się do odwrócenia. Cella wydała mu się ciemniejsza i chłodniejsza niż przedtem, ale nie było w niej Taita. Nikogo nie było.

Znów usłyszał oddech -- ciężki, astmatyczny. Jego uwagę przyciągnęła prycza chłopaka. Zdał sobie sprawę, że tylko tam panuje mrok, a nie w całej celi. W miejscu, gdzie powinien leżeć Billy, unosiła się chmura dymu, jak wtedy za plecami dziwnego przybysza.

Cleve na samą myśl o tym dostawał gęziej skórki, ale nie bał się już tak, jak na początku. W ciągu ostatnich dni przyzwyczał się do tego rodzaju niespodzianek. Nie mógł zamknąć oczu i modlić się do rana, bo prawdopodobnie obudziłby się martwy i nigdy nie dowiedziałby się, o co w tym wszystkim chodzi.

Wziął głęboki oddech i zbliżył się do pryczy. Zaczęła drgać. Cleve zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

--Billy? -- szepnął.

Cień poruszył się. W nozdrza uderzył go zapach mokrych od deszczu kamieni i zrobiło się jeszcze zimniej.

To był Billy, a właściwie -- tylko jego duch. Był zgubiony, a Cleve nie mógł nic dla niego zrobić. Bezradność przytłaczała go. Nagle cień zaczął się materializować -- najpierw kości, potem ciało... Widok był przerażający. Cleve chciał wyrwać chłopaka z tego oblędu, ale w ostatniej chwili uświadomił sobie, że interweniowanie w proces, którego był świadkiem, może okazać się fatalne w skutkach. Wszystko, co mógł zrobić, to stać i biernie się przyglądać.

Wreszcie ujrzał, wykrzywioną w potwornym grymasie, twarz Taita. Potem cień znikł i tylko Billy leżał na pryczy -- nagi i wijący się z bólu.

Blagalnie spojrzął na Cleve'a, który przypomniał sobie fragment rozmowy między chłopakiem a zjawą: „...to boli... nie powiedziałaś mi, jak bardzo to boli...” Mówił prawdę. Jego ciało skręcało się w męce, jednak znów był człowiekiem.

Billy otworzył usta. Były krwisto czerwone, jak umalowane szminką.

--Teraz... -- jęczał -...co teraz zrobimy?

Mówienie kosztowało go zbyt wiele wysiłku. Z jego gardła wydobywały się nieartykułowane dźwięki. Przycisnął rękę do ust. Cleve cofnął się przerażony, gdy Billy wstał i powlókł się w kąt celi, gdzie nocą pojawiał się cień. Jego wyciągnięte dłonie trafiły w próżnię i upadł na podłogę. Zaczął rzucać się, jak w ataku epilepsji. Odór wypełniający celę stawał się nie do zniesienia.

Cleve obejrzał się na postać majaczącą w kącie -- rozplynęła się w powietrzu. Billy momentalnie znieruchomiał. Bezwładne ciało leżało w kałuży krwi.

Między więźniami przebywającymi w jednej celi przez szesnaście godzin na dobę dochodzi czasem do nieporozumień. Minionej nocy w celi Lowella i Naylera wydarzyło się coś potwornego, choć wszyscy -- więźniowie i strażnicy -- uważali ich za zgraną parę. Krzyk rozległ się nagle -- nie poprzedzony żadną sprzeczką, którą musieliby usłyszeć przynajmniej więźniowie w sąsiednich celach. Co sprowokowało Naylera do niespodziewanego ataku? Problem miał dwa aspekty: dlaczego i jak. Opisy strażników były szokujące. Ciało Lowella wyglądało okropnie -- właściwie nie było to już ciało, lecz jego szczątki. Sprawca brutalnie wypruł mu flaki, wydlubał oczy i odciął genitalia. Cella była zamknięta, więc Nayler był jedynym podejrzanym, choć wciąż powtarzał swoją wersję. W końcu przewieziono go do zakładu psychiatrycznego.

Cleve nie miał problemów z trzymaniem się na uboczu. Również miał coś do opowiedzenia, ale kto by mu uwierzył? Sam ledwie mógł uwierzyć w to, czego był świadkiem. Przez cały dzień

zastanawiał się, czy przypadkiem nie zwariował. Czy szaleństwo może być zaraźliwe? Jednego był pewien -- widział przekształcającego się Billy'ego Taita. Uświadomił sobie, że jeśli zaufa swoim oczom -- do końca życia będzie bał się ciemności.

Billy zasnął na śniadanie. Wyglądało to raczej na śpiączkę niż normalny, zdrowy sen. Obudził się dopiero na lunch. Cleve zauważył, że chłopak jest w o wiele lepszym humorze niż przez ostatnie tygodnie. Nic nie wskazywało na to, że wiedział, co wydarzyło się minionej nocy. Po południu Cleve nie wytrzymał.

--Zabiłeś Lowella -- powiedział. Musiał wreszcie poznać prawdę. Jeśli chłopak nie pamięta, co robił, to mu przypomni. A jeśli pamięta? Lepiej od razu przyznać się, że go śledziłem -- pomyślał Cleve. -- Widziałem cię -- powiedział. -- Widziałem, jak się zmieniasz...

Billy nie był zaskoczony tym, co usłyszał.

--Tak -- odpowiedział. -- To ja zabiłem Lowella. Masz o to do mnie żal?

Pytanie nie zbiło Cleve'a z tropu.

--Co się z tobą dzieje? Widziałem cię... tam -- wskazał na pryczę -- nie byłeś człowiekiem.

--Nie chciałem, żebyś to widział -- odpowiedział Billy. -- Dlatego dałem ci pigułki. Nie powinieneś mnie szpiegować.

--A poprzedniej nocy... również się obudziłem i... Chłopak z politowaniem pokręcił głową.

--Naprawdę jesteś głupi -- stwierdził. -- Za głupi.

--Może i tak, ale to nie była moja wina -- odpowiedział Cleve. -- Miałem sny.

--Och, tak. -- Tait ściągnął brwi. -- Śniło ci się miasto, prawda?

--Co to za miejsce, Billy?

--Czytałem gdzieś, że umarli mają własny świat. No i... mają też miasta.

--Umarli? Chcesz powiedzieć, że to coś w rodzaju miasta duchów?

--Nie chciałem cię w to wciągać. Tak byłoby lepiej dla nas obu. Pamiętasz? Wspominałem, że mam w Pentonville interes do załatwienia.

--Z Edgarem Taitem?

--Właśnie.

Cleve'owi chciało się śmiać. Co ten cwaniak próbuje mu wmówić -- miasto umarłych? Kompletna bzdura!

--Mój dziadek zamordował swoje dzieci -- wyjaśnił Billy -- ponieważ nie chciał, by następne pokolenia odziedziczyły jego wadę. Dopóki nie miał żony i dzieci -- nie zdawał sobie sprawy, że nie jest taki, jak większość mężczyzn. Był inny i nie mógł się z tym pogodzić. Skończyłby ze sobą, ale moja matka zdołała uciec i zanim ją odnalazł i zabił, aresztowali go.

--Powiesili i pogrzebali.

--Tak, ale on i tak nie odszedł. Nikt nie odchodzi, Cleve.

--Przyszedłeś tu, by go odnaleźć.

--Więcej: odnaleźć i zmusić, by mi pomógł. Od dziecka wiem, do czego jestem zdolny. Nie całkiem świadomie, ale miewałem przeczucia. I bałem się ich. To było okropne.

--A ta mutacja? Zawsze to robiliś?

--Nie, ale w jakiś sposób wiedziałem, że potrafię. Przyszedłem tu, żeby dziadek nauczył mnie, jak to robić. Nawet teraz... -- spojrzal na swoje szczuple ramiona --...z jego pomocą... ból jest prawie nie do wytrzymania.

--Więc dlaczego to robisz?

Chłopak rzucił Cleve'owi nieufne spojrzenie.

--Żeby nie być sobą. Żeby być dymem, cieniem... Żeby być czymś przerażającym. Nie chciałbyś tego samego?

Cleve zaprzeczył ruchem głowy.

--To, co robiłeś ostatniej nocy, było odrażające.

--Tak samo myślał mój dziadek. Dlatego postanowił z tym skończyć. Kiedyś powiedział oficjalnie: „Jestem narzędziem szatana. Na Boga! Powieście mnie albo spalcie”. -- Billy uśmiechnął się. -- Oczywiście nie uwierzyli mu. Kilka razy próbował sam się powiesić, ale nic z tego nie wyszło. -- Spojrzał poważnie na Cleve'a. -- Nie bój się. Nic ci nie zrobię, dopóki nie zaczniesz opowiadać na prawo i lewo. Nie zdradzisz mnie, prawda?

--Cokolwiek bym powiedział, wezmą mnie za wariata. Nie. nie zdradzę cię.

--Dobrze. Niedługo wyjdziemy stąd i zapomnisz o wszystkim.

--Wątpię.

--Kiedy mnie tu nie będzie, nawet sny ustaną. J Sam się od nich uwolnisz, bo masz pewne zdolności medialne. Uwierz mi. Nie masz się czego bać.

--Miasto... -Tak?

--Gdzie są jego mieszkańcy? Nigdy nie widziałem żadnego. Nie, to nie całkiem tak. Widziałem jednego. Mężczyznę z nożem... idącego na pustynię...

--Nie mogę ci pomóc. Jestem tam tylko gościem. Wiem tylko to, co powie mi dziadek -- to miasto okupowane jest przez dusze zmarłych. Cokolwiek tam widziałeś, zapomnij o tym. Nie masz tam wstępu. Jeszcze nie jesteś martwy.

Czy to rozsądne -- wierzyć we wszystko, co powie umarły? Czy proces umierania oczyszcza ich z dawnych kłamstw, uszlachetnia i od razu wprowadza do stanu świętych? Cleve nie był tego taki pewny. Uważał, że raczej zabierają wszystkie swoje wady i zalety na tamten świat, by wykorzystać je najlepiej, jak potrafią. Przecież w raju też potrzebni są szewcy, a jak wykonywaliby swoją pracę, gdyby zapomnieli, jak zeszyć skórę czy przykleić zelówkę?

Ciekawość okazała się silniejsza niż strach. Cleve chciał poznać całą prawdę: co kryje się w mieście i co przytrafiło się Lowellowi i Naylerowi. Tej nocy znów nawiedził go sen i kiedy miasto stanęło przed nim otworem, wkroczył do niego -- nie jak przerażony rozbitek, lecz jak gość, który przyjechał w ulubione miejsce na wakacje.

Jakby w odpowiedzi na jego pewność siebie, miasto przyjęło go gościnnie -- wszystkie drzwi były otwarte. Bez wahania skorzystał z okazji, by obejrzeć mieszkania. Ale nie zastał w nich nic rajskiego -- wszędzie panował chaos: na podłodze wały się różne narzędzia, zauważył nawet plamy krwi. Meble były poprzewracane i zniszczone. Wiele pomieszczeń było strawionych przez ogień.

Zrozumiał, że w każdym z nich miało miejsce jakieś morderstwo. Mieszkańcy odeszli -- zostali tylko mordercy i ich ofiary. Cleve wyobrażał sobie każde tragiczne wydarzenie: tutaj zmarło dziecko, tam zamordowano kogoś w łóżku... zakrwawiona poduszka, dywan...

Przytłaczał go ogrom okrucieństwa, którego dotąd nie zauważał. Ale gorsza była myśl, że mordercy, nawet po śmierci, stanowili zagrożenie.

Potem przypomniał sobie mężczyznę w odświętym ubraniu, z zakrwawionymi rękami, i zawrócił na pustynię.

--Gdzie jesteś? -- zapytał wyzywająco. -- Pokaż się.

Kątem oka uchwycił ruch. Obejrzał się. Mężczyzna stał na skraju miasta. Cleve zdał sobie sprawę, że przez cały czas musiał go obserwować, tyle że był niewidzialny. Gdy zrozumiał, że każdy z pokoi, które oglądał, kryje mordercę, stracił pewność siebie. Mężczyzna podszedł bliżej. Był w średnim wieku i, najwyraźniej, rano zaciał się przy goleniu.

--Kim jesteś? -- zapytał. -- Widziałem cię już wcześniej.

Jego głos brzmiał miękko i spokojnie. Nie przypominał głosu mordercy -- pomyślał Cleve.

--Jestem tu tylko gościem -- odpowiedział.

--Tutaj nie ma gości. Tylko przyszli mieszkańcy. -- Cleve usiłował zrozumieć, co mężczyzna miał na myśli. -- Znam cię? Coraz częściej zapominam, a to niedobrze. Jeżeli zapomnę, nigdy się stąd nie wydostanę, wiesz?

--Wydostać się stąd? -- zdziwił się Cleve.

--Zamienić się -- wyjaśnił.

--I dokąd pójść?

--Z powrotem, do świata żywych. Cleve'a zamurowało.

--Możesz mi pomóc -- kontynuował mężczyzna. -- Możemy ubić interes.

--Nie rozumiem.

Mężczyzna uśmiechnął się, jakby uważał, że Cleve blefuje.

--Rozumiesz -- powiedział. -- Doskonale rozumiesz. Chcesz się targować, jak wszyscy, prawda? Kim jesteś? Mordercą?

Cleve potrząsnął głową.

--Ja tylko śnię.

--Bądź dobrym kumplem. Nie jestem takim cwaniakiem, jak inni. Dostają się tutaj i już za kilka godzin są wolni. To profesjonaliści. Wszystko mają zaplanowane. Ja to co innego. Nie byłem przygotowany. Zostanę tu, dopóki nie ubiję interesu. Proszę, bądź przyjacielem.

--Nie mogę ci pomóc -- odpowiedział Cleve, nie bardzo wiedząc, czego mężczyzna od niego żąda.

--Oczywiście, że nie -- westchnął morderca. -- Jak mogłem przypuszczać... Wiesz, jak apetycznie pachnie gotujące się ludzkie mięso? Czy to naprawdę aż taka zbrodnia? -- Odwrócił się i odszedł.

Cleve stał zaszokowany. To było odrażające. Czuł, że zbiera mu się na mdłości. Zobaczył już wszystko, co chciał, a nawet za dużo. Miał nadzieję, że ranek jest blisko i wkrótce obudzi go dzwonek rozpoczynający więzienny dzień.

Rozmyślenia przerwało mu pojawienie się dziewczynki. Miała sześć lub siedem lat i z pewnością nie była mordercą. Ruszył w jej stronę, ale uciekła. Podążył za nią. Skręciła w ślepa uliczkę i czekała na niego, a gdy dotarł do ściany, zniknęła. Cleve oparł się plecami o chłodne cegły i nagle znalazł się w celi, w Pentonville. Z trudem łapał powietrze. Co tu jest grane -- pomyślał przestraszony. Po chwili zdał sobie sprawę, że to wcale nie jest jego cela, lecz Lowella i Naylera.

--Boże Wszechmogący! -- mruknął. -- Billy...

Odskokzył od zachlapanej krwią ściany i w tym momencie zadzwieczał dzwonek oznajmiający pobudkę.

To był podstęp! Cleve nie wiedział dokładnie, jak to jest możliwe, ale mordercy wracali wśród żywych. Billy nie wiedział, w co się pakuje. Edgar Tait wykorzystywał wnuka, oszukiwał.

Dlatego nie powiedział mu prawdy o mieszkańcach miasta, nie powiedział mu, że to miasto morderców.

--Mój dziadek nie lubi cię -- odpowiedział Billy.

--Tak? Dlaczego?

--Mówi, że za dużo węszysz. W mieście. Siedzieli na pryzkach. Oczy chłopaka błyszczały gniewem, aż Cleve'owi ciarki przechodziły po plecach.

--Wkrótce umrzesz -- powiedział poważnie. -- Widziałem... w mieście.

Billy wzruszył ramionami.

--Czasami mówisz jak szaleniec. Dziadek uważa, że nie powinienem ci wierzyć.

--Dlatego, że się mnie boi.

Tait parsknął szyderczym śmiechem. Brzmiał odrażająco. Pewnie nauczył się od dziadka -- pomyślał Cleve.

--On nikogo się nie boi -- wycedził przez zęby.

--...boi się tego, co widziałem. Tego, co ci powiem -- nie ustępował Cleve.

--Nie! -- zawołał Billy.

--To on kazał ci zabić Lowella, prawda?

--Dlaczego tak myślisz?

--Nigdy nie chciałeś go zabić. Może nastraszyć ich obu, ale nie zabić. To był pomysł twojego kochanego dziadka.

--Nikt nie mówi mi, co mam robić -- odpowiedział Billy, rzucając mu lodowate spojrzenie. -- Nikt.

--W porządku -- kontynuował Cleve -- to może przekonał cię, co? Podpuścił cię!

--Jeśli nawet, to co?

--Wiem, co się z tobą stanie, Billy. Widziałem przeznaczone dla ciebie miejsce... ono czeka na ciebie... -- Chłopak spojrzał niepewnie. -- Billy, tam mieszkają tylko mordercy. Dlatego jest tam twój dziadek. Jeżeli zgodzisz się być jego narzędziem i zabijesz więcej ludzi, on będzie wolny.

Billy poderwał się, jak w ataku szału.

--Co chcesz przez to powiedzieć?

--On wróci do żywych, wróci tu.

--Kłamiesz...

--Sam go zapytaj.

--Nie wystawilby mnie. Jego krew jest moją krwią.

--Myślisz, że jego to obchodzi? Po pięćdziesięciu latach oczekiwania na taką okazję? Nie bądź naiwny!

--Powtórzę mu to wszystko... -- powiedział Billy. -- Jesteś martwy. Kiedy dowie się, że chciałeś mnie z nim skłócić, dobierze się do ciebie. Tak... będziesz błagał o litość.

Jednak jego złość nie dotyczyła Cleve'a. Po prostu była obroną przed zwątpieniem i strachem.

Wyglądało na to, że Cleve nie może się już wycofać. Nawet gdyby poprosił o natychmiastowe przeniesienie (i tak nie mógłby powiedzieć prawdy, najwyżej, że Billy jest niebezpiecznym szaleniem, albo coś w tym rodzaju), nawet gdyby umieścili go w innej celi -- nie miałby żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Chłopak mówił, że jest dymem, cieniem, a więc nie

istniały dla niego żadne przeszkody. Najlepszym dowodem był los Lowella i Naylera. To nie był już Billy, lecz narzędzie Edgara St Clair Taita. Jaką moc musiał posiadać? -- zastanawiał się. Jednak, z drugiej strony, zostawanie z nim na noc w jednej celi było samobójstwem. Nie miał nic do stracenia.

Przed kolacją odszukał Devlina i poprosił o krótkie widzenie.

--Prosił pan, żebym miał na oku Taita, sir?

--No i? -- zapytał Devlin.

Cleve zastanawiał się, ile może mu powiedzieć, nie zaciskając sobie stryczka na szyi.

--Ja... proszę o przeniesienie do innej celi.

--Dlaczego?

--Chłopak jest niezrównoważony -- odpowiedział Cleve. -- Nie czuję się bezpiecznie w jego towarzystwie.

--Przestań. Dasz sobie z nim radę jedną ręką. To sama skóra i kości -- uśmiechnął się Devlin. Najwyraźniej rozmawiał z Mayflowerem. -- Nie wiem, o co ci chodzi? Jest czysty jak lza. Spokojny, zawsze uprzejmy. Nie jest zagrożeniem ani dla ciebie, ani dla innych.

--Nie zna go pan...

--Co ty próbujesz mi wmówić?

--Niech mnie pan przeniesie do celi nr 43, obojętnie gdzie... ale niech mnie pan z nim nie zostawia. Proszę.

Devlin patrzył na Cleve'a zaskoczony.

--Boisz się go -- powiedział wreszcie.

--Tak.

--Co się z tobą dzieje? Siedziałeś już z większymi twardzielami i nie było problemu...

--On jest inny -- przerwał mu Cleve, ale nie mógł powiedzieć nic, prócz: -- On jest szalony. Niech mi pan uwierzy.

--Cały świat jest szalony, Smith. Nie słyszałeś? -- roześmiał się. -- Wracaj do celi i nie zawracaj mi głowy.

Kiedy Cleve wrócił do celi, Billy pisał list. Siedząc na pryczy, pochylony nad kartką papieru, wyglądał niepozornie. Devlin miał rację -- sama skóra i kości. Trudno było uwierzyć w jego możliwości.

--Billy...

Chłopak nie zareagował.

--...to, co mówiłem o mieście... Przestał pisać.

--...może faktycznie to wszystko było tylko złym snem... Powiedziałem ci to dlatego, że bałem się o ciebie. Zależy mi na twojej przyjaźni...

Billy podniósł głowę.

--To nie zależy ode mnie -- powiedział spokojnie. -- Już nie. Teraz to sprawa dziadka. Może ci wybaczy, a może nie.

--Dlaczego musisz mu powiedzieć?

--Czyta w moich myślach. On i ja... jesteśmy jak jeden. Dlatego wiem, że mnie nie wystawi.

Wkrótce zapadnie noc. Zgasną światła i znowu zaczną się koszmar.

--A więc pozostaje mi tylko czekać? -- zapytał Cleve.

Billy skinął głową.

--Zawołam go, a potem zobaczymy.

Zawola go? -- pomyślał Cleve. Czyżby przywoływał go każdej nocy? Czy dlatego stawał pośrodku celi z zamkniętymi oczami i twarzą zwróconą do okna? Jeśli tak, to mógł go powstrzymać!

Zapadał zmrok. Cleve leżał na pryczy i zastanawiał się, czy czekać i sprawdzić, co z tego wyniknie, czy lepiej przejąć kontrolę nad sytuacją i uniemożliwić temu staremu draniowi powrót do świata żywych. Wyjaśnienia nic mu nie pomogą. Jego agresja zostanie zrozumiana jako agresja. Jeśli jednak przeszkodzi chłopakowi w przywołaniu Edgara Taita -- koszmar skończy się.

Zgasły światła. Jedni więźniowie kładli się spać, inni planowali dalszą karierę po wyjściu na wolność. Cleve wsłuchiwał się w oddech Taita. Czas włókł się niemilosiernie.

Wkrótce wszystko ucichło. Prawdopodobnie Billy wstrzymał oddech i również słuchał. Ale czekał na próżno. Nie zamknie oczu i nie pozwoli zaskoczyć się we śnie. Nie był świnią prowadzoną pod nóż rzeźnika.

Poruszając się możliwie najostrożniej, by nie zwrócić na siebie uwagi, Cleve rozpiął pasek u spodni i zdjął go. W razie potrzeby mógł skrępować nim chłopaka. Czekał.

Tej nocy wdzięczny był innym za hałasy -- śmierć Lowella wywołała panikę -- dzięki nim nie usnął. Billy wstał z pryczy dopiero po dwóch godzinach.

Właśnie minęła północ. Cleve znów usłyszał jego oddech. Spod przymkniętych powiek widział, jak Billy zakrada się na stałe miejsce naprzeciw okna. Nie ulegało wątpliwości, że zamierza przywołać dziadka.

Gdy Billy zamknął oczy, Cleve usiadł, odrzucił koc i ześliznął się z pryczy. Chłopak nie zareagował. Zanim się zorientował, Cleve skoczył w jego stronę, odciągnął go pod ścianę i zakrył mu usta dłonią.

--Nic z tego -- wysyczał. -- Nie mam zamiaru skończyć jak Lowell. Billy szarpnął się, ale Cleve był dużo silniejszy od niego.

--Nie przyjdzie tej nocy -- powiedział, spoglądając mu w oczy -- bo nie możesz go zawołać.

Billy za wszelką cenę próbował uwolnić się -- kopał, bił na ślepo rękami i gryzł. Cleve, mimo woli, rozluźnił uścisk i chłopak dwoma susami dopadł okna. Z jego gardła wydobywały się dźwięki dziwnej pieśni. Po twarzy sływały mu łzy. Cleve odciągnął go ponownie.

--Zamknij się! -- wycedził przez zęby, lecz Billy nie przestawał. Cleve z całej siły uderzył go w twarz. -- Zamknij się! -- powtórzył, ale bez skutku. Rytm pieśni zmieniał się, a on dalej bił. Wtem w celi pojawił się cień.

Ogarnęła go panika. Bez zastanowienia uderzył Billy'ego pięścią. Chłopak zatrzymał się na ścianie i osunął na podłogę. Trzeba było od tego zacząć -- pomyślał Cleve.

Rozejrzał się nerwowo. Cień majaczył niewyraźnie, ale sam nie mógł zmaterializować się do końca. Serce biło mu jak młot. Przeniósł Billy'ego na pryczę. Był nieprzytomny, więc Cleve miał trochę czasu na skrępowanie go. Wykorzystał paski do spodni i koszulę, którą zerwał z chłopaka. Wepchnął mu do ust zwinięty rękaw i przywiązał do pryczy. Zajęło mu to zaledwie kilka minut. Po chwili Tait odzyskał przytomność i rozejrzał się zdziwiony. Kiedy zorientował się w sytuacji -- zaczął się szarpać, jednak nic mu to nie pomogło.

--Nie, Billy -- mruknął Cleve, przykrywając go kocem, bo patrolujący oficer mógł coś

zauważyć. -- Dzisiejszej nocy nie przywołasz go. Wszystko, co ci powiedziałem, jest prawdą. -- Ujął jego szczupłą twarz w dłonie. -- Billy, on nie jest twoim przyjacielem. To ja nim jestem. Zawsze byłem. -- Chłopak próbował się wyrwać, ale Cleve trzymał mocno. -- Nie trać sił. Zapowiada się długa noc.

Zostawił go na pryczy, a sam przycupnął pod ścianą. Była to jedyna pozycja, w której nie mógł zasnąć. Uspokoił się nieco.

Billy przestał walczyć. Chyba zrozumiał, że nie ma szans. Wokół panowała cisza. Cleve siedział w smudze światła wpadającego przez okno i obserwował go. Spojrzał na zegarek. Dochodziła 1.00. Kiedy nadejdzie poranek? Jeszcze co najmniej pięć godzin. Światło, jak magnes, przyciągnęło jego spojrzenie.

Hipnotyzowało go. Czas upływał powoli, a ono nie zmieniał się. Oficer wciąż patrolował piętra. Gdyby zatrzymał się przy celi, Billy mógłby wszcząć alarm, ale nic takiego nie wydarzyło się. Byli sami. Cleve zastanawiał się, czy kiedykolwiek uwolni się od cienia deptającego mu po piętach, a Billy kombinował, jak wezwać dziadka.

Minęła szósta -- do świtu została tylko godzina. Cleve przypomniał sobie słowa Bishopa, że ciała pogrzebane w tutejszej ziemi nie zmieniają się. Przeszył go dreszcz. Wiedział, że nawet jeśli wydobędzie się z tej pułapki, to niezbyt długo będzie cieszył się bezpieczeństwem, że ta noc jest dopiero początkiem piekła, które się rozpęta. Beznadziejność sytuacji załamywała go. -- Bierne czekanie na śmierć -- szepnął. -- To jest realny świat. -- Wciąż wpatrywał się w światło i w jednej chwili zapomniał o wszystkim: o chłopaku leżącym na pryczy, o bólu ścierpiętych nóg, a nawet o oddychaniu... Ostry zapach odchodów przywrócił go do rzeczywistości.

Spojrzał na pryczę. Najwyraźniej chłopak nie był w stanie powstrzymać moczu. Ale dlaczego? Ciałem Billy'ego wstrząsały konwulsje. To ostatecznie wyrwało Cleve'a z letargu. Billy wisiał.

Smith próbował wstać, ale zdrętwiałe nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Upadając omal nie uderzył głową w krzesło. Ze zgrozą patrzył, jak coś zdarło koc z chłopaka, który znów zaczął zmieniać się w obłok dymu. Stopniowo znikало ciało, a potem kości. Cleve, w spontanicznym odruchu, chciał mu pomóc, lecz proces trwał. Jakaś niesamowita siła wydostawała się na wolność.

Ujrawszy nową postać Billy'ego, Cleve cofnął się do drzwi. Był potworem -- olbrzymim insektem. Głowę tworzyła płatanina języków, które z ohydym mlaskaniem oblizywały mu oczy, potem zęby... Z paszczy kapala mu gęsta ślina. Zamiast kończyn miał macki lśniące od lepkiej substancji. Nie pozostało w nim nic z człowieka. Cleve przypomniał sobie krzyk Lowella i przerażenie ścisnęło mu gardło.

Ale Billy miał inne zamiary. Podpełzł do okna i próbował wydostać się na zewnątrz. Cleve zaczął walić w drzwi, w nadziei, że strażnik zjawi się, zanim potwór zmieni zdanie i dopadnie go.

--Szybko! Na Boga! Szybko! -- krzyczał oglądając się co chwilę przez ramię. Billy nadal próbował prześliznąć się między kratami.

Wreszcie Cleve usłyszał, że ktoś biegnie korytarzem.

--Jezu Chryste, pomóż mi! -- wrzeszczał oszalały ze strachu. Poczul za sobą zimny podmuch. Nie musiał odwracać się, by wiedzieć, co dzieje się za jego plecami: z ciemności

wylaniało się miasto. Tam był Tait. Cleve wyczuwał jego obecność. Tait -- dzieciobójca, Tait -- cień, Tait -- potwór. Cleve walił w drzwi, aż osłabł i osunął się na podłogę.

Wiatr wzmagał się. Widział zbliżający się cień, a jednocześnie poczuł zapach piasku i krwi.

Potem dobiegł go głos. Nie chłopaka... -- głos jego dziadka -- Edgara St Clair Taita, wysłannika szatana. W tym momencie Cleve uwierzył, że znajduje się w piekle i jest świadkiem potęgi jego władcy.

--Jesteś zbyt ciekawy -- powiedział Edgar. -- Czas, żebyś wrócił do łóżka.

Cleve nie chciał się odwrócić, ale Tait zmusił go -- miał nad nim kontrolę.

W celi zauważył wisielca, lecz nie mógł rozpoznać jego twarzy. Dopiero po kilku minutach dotarło do niego, że jest zmiądzona, a reszta ciała obdarta ze skóry. Edgar Tait spoglądał na niego z nie ukrywaną satysfakcją. Na jego palcu połyskiwała ślubna obrączka.

--Czas umrzeć, Mr Smith -- powiedział. Gdzieś w oddali Cleve usłyszał wołanie Devlina, ale nie miał siły odpowiedzieć. Potem wydawało mu się, że zazgrzytał zamek i ktoś otworzył drzwi.

W celi szalał wiatr. Była kompletnie zdemolowana: przewrócone krzesło i stół, poszarpane materace... wszędzie pełno krwi. Edgar i Billy stali obok siebie.

--Chodź... -- nalegał Edgar. -- Potrzebujemy cię, twojego ciała i duszy. Chodź z nami, Mr Smith. Nie możesz nam odmówić.

--Nie! -- wrzasnął Cleve. -- Nie pójdę... Ktoś wszedł do sali.

--Nie pójdę, słyszysz?!

Nagle obraz zamazał się. Silny podmuch popchnął Cleve'a w stronę miasta. Stawiał opór, ale czuł, że traci przytomność.

Gdzieś daleko Devlin zaśmiał się jak hiena. Zwariował -- stwierdził Cleve, spadając w przepaść bez dna.

Obudził się w mieście umarłych. Przypomnił sobie ostatnie chwile świadomości -- Devlin wpadł w histerię, jakby zobaczył coś strasznego. Cleve zorientował się, że tylko śni. A więc Tait jeszcze nie wygrał -- pomyślał z nadzieją. W rzeczywistości nadal przebywał w Pentonville.

Wiatr ustał. Niespodziewany, rozdzierający ciszę krzyk był dla Cleve'a szokiem. Zaroilo się od szcurów. Zerwał się na równe nogi i biegł w dół ulicy. W oknach i drzwiach domów pojawili się mężczyźni i kobiety, lecz ich twarze były bez wyrazu, jak wykute w kamieniu. W końcu zrozumiał, że mordercy mieli tyle twarzy, ile ofiar. Cleve sam nie wiedział, jak znalazł się przed ścianą, którą poprzednio pokazała mu dziewczynka.

Wtedy zobaczył Billy'ego, wijącego się u stóp Taita. Do połowy był sobą, a od połowy potworem. Jego ludzka część bezskutecznie próbowała uwolnić się od reszty. Wyglądało na to, że proces transformacji został celowo zatrzymany.

Edgar Tait szczyrzył zęby w triumfalnym uśmiechu. Wnuk przestał go interesować.

--Zwątpił we mnie, Mr Smith... -- wyjaśnił. -- ...chce odejść, bo go zbuntowałaś przeciwko mnie. Musisz ponieść konsekwencje. -- Skóra chłopaka zaczęła pękać i pokazało się krwiste mięso. -- Sprowadziłem cię tu wbrew twojej woli, żebyś mógł obejrzeć agonię, której jesteś sprawcą.

Tait kopnął kupę mięsa drgającą u jego stóp.

--On mnie potrzebuje -- powiedział. -- Nie widzisz tego? Beze mnie zginie.

Cleve osunął się na kolana.

--Billy? -- szepnął.

--Zginie -- powtórzył Tait.

--Billy... -- szepnął Cleve. -- Posłuchaj mnie...

--On nie wróci. Ty tylko śnisz, ale on jest tutaj...

--Billy... Słyszysz mnie? To ja, Cleve. -- Krwista masa znieruchomiała na moment. -- Billy!

Billy! Billy... -- krzyczał zrozpaczony. Jednym z pierwszych słów dziecka jest imię kogoś bliskiego. Jeśli cokolwiek mogło dotrzeć do chłopaka, było to właśnie jego imię. -- Billy! Billy...

Wyglądało na to, że Tait traci swą moc. Zamilkł, a jego cień zbladł. Cleve starał się oderwać oczy od Edgara i całą energię skoncentrować na przywoływaniu Billy'ego. Ciągłe powtarzanie jego imienia skutkowało. Z każdą chwilą odzyskiwał ludzką postać.

--Billy?...

Chłopak spojrział na Cleve'a i skinął głową. Włosy miał posklejane od krwi.

--Wiesz, gdzie jesteś? Kim jesteś? -- zapytał, ale Billy utkwił w nim nieprzytomne ze strachu spojrzenie.

Cleve obejrzał się. Tait stał za jego plecami.

--Należysz do mnie -- powiedział stanowczo. Billy chciał uciec przed wyciągającą się do niego ręką dziadka, ale był zbyt wyczerpany. Dłoń zacisnęła się na jego gardle w stalowym uścisku. Z ust chłopaka trysnęła krew. Cleve krzyknął.

--Jesteś mój -- powtórzył Tait.

Nagle zrobiło się bardzo jasno i obraz zaczął się oddalać. Cleve usiłował schwytać Billy'ego, ale wyśliznął mu się między palcami. Widział znajome twarze, słyszał wołające go znajome głosy...

Na czole czuł dotyk chłodnej dłoni lekarza.

--O czym ty śnisz, do diabła? -- zapytał. Kompletny idiota.

Billy odszedł.

Ze wszystkiego, co gubernator, Devlin i strażnicy ujrzeli ostatniej nocy, zniknięcie Williama Taita -- z zamkniętej i strzeżonej celi -- było najbardziej niewiarygodne. Pomijając to, że Devlin wpadł w szal, łatwiej było uwierzyć w zbiorowe halucynacje niż w realność wydarzeń. Zeznania Cleve'a, przerywane łkaniem i chwilami milczenia, skwitowali pełnymi politowaniami spojrzeniami. Wiele razy musiał powtarzać wszystko od początku, a oni wciąż nie wierzyli mu i pytali, gdzie jest Billy Tait.

--Jest w mieście morderców -- odpowiadał Cleve.

--A jego ciało? -- pytał gubernator. -- Jak myślisz, gdzie jest jego ciało?

Nie wiedział.

Kiedy cztery dni później stał przy oknie, przypomniał sobie trawnik wzdłuż muru i słowa Bishopa.

Natychmiast odnalazł Mayflowera i przedstawił mu swoje domysły.

--On jest w grobie. Ze swoim dziadkiem.

Uznali go za wariata, ale psychiatra stwierdził, że sprawdzenie tego na własne oczy będzie dla Cleve'a najlepszą terapią. Wieczorem wszyscy -- gubernator, Devlin, lekarze, strażnicy i Cleve -- zebrali się przy grobie Edgara Taita.

To, co ujrzeli, zaszokowało ich: ciało mordercy, choć nie całkiem w ludzkiej postaci, było w

idealnym stanie. Obok leżał, nagi jak dziecko, Billy Tait. Dłoń Edgara zaciskała się na jego gardle. Nawet krew nie zdążyła jeszcze zakrzepnąć. Nikt nie odważył się odezwać.

Trzy tygodnie później Cleve został zwolniony warunkowo, ale nigdy nie odzyskał całkowitej równowagi psychicznej.

Billy mówił prawdę -- Cleve miał zdolności medialne. Ilekroć przez dłuższy czas przebywał w towarzystwie człowieka, który planował morderstwo, nawiedzał go sen o mieście. Z czasem doszedł do takiej perfekcji, że wystarczyło, by na kogoś spojrzeć, a już znał jego myśli. Rzeczywistość okazała się przerażająca -- na ulicach roilo się od potencjalnych morderców. Cleve nie mógł tego znieść, wprost bał się wyjść z domu.

Szukał ucieczki w heroinie, ale wkrótce zabrakło mu środków do życia. Musiał wrócić do dawnej profesji, bo tylko to potrafił. Pewnego dnia wezwał go Grimm -- facet, dla którego handlował. Zaproponował mu lepiej płatną pracę i Cleve zgodził się bez wahania.

Kiedy dotarło do jego świadomości, że chodzi o morderstwo, było już za późno.

„Tutaj nie ma gości. Tylko przyszli mieszkańcy” -- nie pamiętał, od kogo usłyszał te słowa, choć znał ich znaczenie. Jeśli nie wykona zadania, dopadną go. Wiedział, że to tylko kwestia czasu.

Szczegóły morderstwa wydały mu się znajome. Kiedy uciekał z miejsca zbrodni, z bocznej ulicy wyszedł policjant i strzelił. Cleve biegł jeszcze kilka metrów, zostawiając krwawe ślady stóp, aż padł drugi strzał i trzeci... Nagle znalazł się w mieście ze snu.

Zimny wiatr targał jego ubraniem. Za plecami Cleve'a rozciągała się pustynia. Gdy rozległo się przeraźliwe wycie, obejrzał się. Na wydmie pojawił się mężczyzna z pistoletem w dłoni. Rzucił go na piasek i wtedy wycie zmieniło się w szaleńczy śmiech, a potem w jęk rozkoszy.

Cleve zrozumiał, że morderca wraca do żywych. Zadowolony ruszył w stronę miasta -- wreszcie wiedział, skąd na świecie bierze się grzech i tacy, jak on.

[1] Noc Ogniska -- święto obchodzone w Anglii, nazywane także Dniem Guya Fawkesa, który 5 listopada 1605 roku próbował wysadzić w powietrze Parlament. Spisek odkryto i G. Fawkes został stracony. Na pamiątkę tego wydarzenia, co roku, dzieci robią duże kukły, ubierają je w stare rzeczy i chodząc po ulicach zbierają pieniądze na fajerwerki. W nocy ludzie zapalają ogniska i palą symboliczne kukły.

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-12

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

[ZAKAZANY](#)
[MADONNA](#)
[DZIECI KRZYKU](#)
[W CIELE](#)
[2010-04-28](#)